



PIOTR ROGOŹA

NISZCZ,

POWIEDZIAŁA

MARGINESY

**PIOTR
ROGOŻA**

**NISZCZ,
POWIEDZIAŁA**

MARGINESY

Wydawca ADAM PLUSZKA
Redaktorka prowadząca AGNIESZKA RADTKE
Redakcja ITA TUROWICZ
Korekta MAŁGORZATA KUŚNIERZ, JAN JAROSZUK
Projekt okładki i stron tytułowych ANNA POL
Ilustracja na okładce © Magda Wolna
Łamanie **manufaktura** | manufaktu-ar.com

Copyright © by Piotr Rogoża 2019
by arrangement with Agencja Literacka Syndykat Autorów
Copyright © for this edition by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2019

Warszawa 2019
Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-66335-14-1

Wydawnictwo Marginesy Sp. z o.o.
ul. Mierosławskiego 11A
01-527 Warszawa
tel. 48 22 663 2519
e-mail: redakcja@marginesy.com.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](#)

Spis treści

Karta redakcyjna

Motto

Prolog

I. CZARNY ANIOŁEK

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

II. WSZYSTKIE ŚWINIE MUSZĄ UMRZEĆ

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

III. NISZCZ, POWIEDZIAŁA

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Into that darkness
into that darkness
in the hovels and gutters
her face to the storm

Death in June, *She Said Destroy*

PROLOG

Być może znasz już moją twarz. Wkrótce poznasz całą historię, ale nie spodziewałbym się prawdy.

Internet przetrawi informacje na mój temat i wyrzyga setki artykułów, komentarzy i statusów na Facebooku. Pojawią się rozmaite interpretacje i wątpliwości, oczywiście nie zabraknie też kpin, ale to już nie mój problem. W pewien sposób przecież zwyciężyłem.

Podchodzę do okna, otwieram szeroko. Dwunaste piętro, Warszawa rozlewa się morzem światła. Przesuwam wzrok wzdłuż poszarpanej linii dachów, wytyczającej granicę między miastem a nocnym niebem. Widać tylko najjaśniejsze gwiazdy, reszta ginie w toksycznej poświacie, za to księżyc wydaje się dziś bliski jak nigdy.

Chce mi się śmiać. Tak naprawdę od dawna zdawałem sobie sprawę, że zbliża się koniec, ale nie chciałem w to uwierzyć. Nadal nie potrafię uwierzyć, że to już. Ta noc nie ma w sobie nic realnego.

Wychyłam się głęboko za okno, wiatr całuje mnie w policzki. Nie wytrzymuję i śmieję się głośno, choć bardziej na miejscu byłyby łzy. A Warszawa śpi niespokojnie, Warszawa drży, jakby wszystko przeczuwała. Może już śni o wielkim ogniu, burzy płomieni, przed którymi nie ma ucieczki. Cały świat zajmie się pożarem, nic nie będzie takie jak do tej pory. Ten ogień już się tli.

Dziwi mnie, że nie czuję strachu. Pewnie ze zmęczenia. Bałem się wcześniej, teraz nie, jakby nie było już we mnie miejsca. Idę do kuchni, wydaję z lodówki butelkę wódki. Trochę jeszcze zostało, niezbyt dużo, ale zawsze. Noc była długa. Leję do szklanki.

Wasze zdrowie, przyjaciele. Wypijam na raz, krzywię się. Zimno spływa przełykiem, tego mi było trzeba. Dolewam jeszcze, do końca. Szkoda, że to już wszystko.

Patrzę na swoje odbicie w oknie. Nie mam twarzy, tylko zdjęcie, które pozna cała Polska. Jestem płaski i półprzezroczysty. Nie mam nazwiska.

Składam się wyłącznie ze słów, które napisałem. Ze słów, które zostaną o mnie napisane. Składam się z kłamstw, nic na to nie poradzę.

Pozostaje czekać. Siadam na podłodze naprzeciw drzwi wejściowych, spokojnie dopijam wódkę. Wasze zdrowie.

Czekam na was.

Czekam, aż nadejdzie Światło.

I

CZARNY ANIOŁEK

1

Zachowaj choć trochę godności.

Powtarzam to sobie w myślach i na głos. Słowa tracą sens, stają się tylko dźwiękami. Wszystko traci sens.

Ewelina powinna przyjechać już dawno. Oczywiście spóźnia się specjalnie, na pewno sprawia jej to satysfakcję. Doskonale zdaje sobie sprawę, że czekam i że nie jest mi łatwo. To bardzo w jej stylu, chce do samego końca czuć, że rozdaje karty. Wyobrażam sobie, jak wyjmuje telefon, upewnia się, że jest spóźniona już dwadzieścia minut, odnajduje wzrokiem moje okno i powolutku zapala papierosa.

Powinienem napisać jej esemesa: „Od teraz co minutę wyrzucam na ulicę losowo wybrany przedmiot, więc rozsądnie byłoby jednak ruszyć dupę, chyba że wolisz zbierać graty z chodnika :)”. Powinienem wystawić kartony na klatkę schodową, zamknąć mieszkanie i pojechać gdzieś, choćby do Wiki. Powinienem wylać butelkę domestosa na jej ubrania. Oczywiście nic takiego nie zrobię.

Na pewno ucieszyłaby się, czując ode mnie alkohol, więc choć o niczym na świecie nie marzę tak mocno jak o otwarciu piwa, to jednak popijam herbatę. Denerwuję się na siebie, bo w ten sposób znowu przyjmuję jej warunki. Ciągle gram w tę grę na jej zasadach, nawet teraz nie potrafię przejść w końcu kontroli.

Zastanawiam się, co jej powiedzieć. Powinnaś się cieszyć, bo ktoś inny na moim miejscu rozegrałby to zupełnie inaczej, a ja naprawdę byłem za dobry. Jesteś skończoną kretynką i mam szczerą nadzieję, że kiedyś to do ciebie dotrze. Nic się nie zmieniło i wciąż czekam, kiedy mi oddasz pieniądze. Powinnaś sobie to wszystko przemyśleć, dziewczyno, i wyciągnąć wnioski na przyszłość.

Cokolwiek bym powiedział, pokiwa tylko głową. Nie słuchała mnie nigdy, teraz nie posłucha tym bardziej.

Patrzę na rozstawione w przedpokoju kartony. Myślałem, że jej rzeczy

uzbiera się więcej. Trochę ciuchów, torebki, buty, dosłownie kilka książek, kosmetyki, ale głównie rzeczy z kuchni: tani ekspres do kawy, zastawa stołowa, plastikowe naczynia, kubki. Akcesoria do zabawy w dom. Zatrzymuję na dłużej wzrok na zestawie foremek do pieczenia.

Lubisz, jak w domu pachnie świeżym ciastem?

Nie, wolę, jak rozsyłasz nagie zdjęcia jakimś fiutom.

Chyba nawet nie zdążyła użyć tych foremek. Nie podejrzewam, żeby w ogóle miała taki zamiar.

Idę do pokoju, siadam w fotelu. Zastanawiam się, czy odczuję brak tych wszystkich przedmiotów. Rozglądam się, przesuwam spojrzeniem po półkach, na których zwolniło się miejsce. Mieszkanie rzeczywiście już teraz wydaje się wybrakowane, zubożale, niekompletne. Myślę o siostrze Eweliny, Goście, którą naprawdę polubiłem. Młoda była u nas jeszcze dwa tygodnie temu. Obiecała, że zachowamy kontakt, ale wiadomo, jak jest. Jej na pewno będzie mi brakować.

Odkąd stało się jasne, że sprawy zaszły za daleko, regularnie wyobrażałem sobie chwilę, w której drzwi ostatecznie zamkną się za Ewelina jak okładka nietrafionej książki. W wyobraźni czułem żal, że po raz kolejny zabrnąłem w ślepy zaułek, czułem ulgę albo radość, czasem złość. Na pewno zawsze coś czułem.

Teraz nic nie czuję. Nawet złość na siebie zaraz przechodzi. Przecież nie muszę nikomu niczego udowadniać.

Wstaję więc po piwo i dokładnie w tym momencie stłumiony pisk domofonu informuje, że ktoś wszedł na klatkę. Nareszcie. Zamiast do kuchni, wracam do przedpokoju. Otwieram drzwi, czekam dłuższą chwilę, aż winda wjedzie na dwunaste piętro.

Nadciąga z dwoma kolesiami, rozpoznaję jednego. Miesiąc temu zrobiła u nas imprezę dla znajomych z pracy, on przyszedł jako pierwszy i pomagał przyszykować stół. Sympatyczny przygłup, takie wyrośnięte dziecko. Nie mogę sobie przypomnieć, jak ma na imię. Drugiego, rudego z cwaniakowatą gębą, nie kojarzę w ogóle.

– Cześć – mówi Ewelina. Widzę, że jest zmęczona.

– Cześć – odpowiadam.

Rzuca mi szybkie spojrzenie. Wchodzi do środka, towarzysze idą za nią. Podają mi bez słowa ręce, uroczy dureń nawet się uśmiecha. Czyżbym na twarzy rudego dostrzegł pogardę? Nawzajem, palancie.

– Dzięki, że to pozbierałeś – mówi Ewelina.

Kiwam głową. Spodziewałem się, że będzie drobiazgowo przeglądać swoje śmieci, ale chyba nie ma na to siły. Nie wierzę, że może dokądkolwiek się śpieszyć.

– Najpierw te najcięższe, zaniesiemy do samochodu – mówi przygłup. – Weźmiemy jedno na drugie, to nie trzeba będzie dwa razy łązić.

Jakoś im się udaje. Matoł łapie się za dwa kartony naraz, trzyma je przed sobą, zasłaniają mu widok. Cwaniak chwytą trzecie pudło, Ewelina bierze ostatnie, najlżejsze, to z kuchennym badziewiem. Wychodzi pierwsza.

– Cześć – mówi.

– Cześć – odpowiadam.

Zastanawiam się, czy wprowadzi się właśnie do tego rudego chujka. Pewnie tak, pewnie to dla niego pozowała wypięta pod prysznicem. Nie mam pojęcia, kim on jest. Widzę jego plecy, gdy bez słowa wychodzi za Eweliną. Jest niższy ode mnie, niewiele wyższy od niej.

Czuję przypływ szczerzej sympatii dla przygłupa, który rusza jako ostatni, taszcząc trzy czwarte jej dobytku. Naprawdę nic nie widzi zza kartonów. Przytrzymuję mu drzwi.

– To na razie, Szymon – sapie.

– No, trzymaj się – odpowiadam.

Zamykam za nimi. Słyszę jeszcze, jak przygłup klnie na klatce, chyba nie trafił w drzwi do windy. Nareszcie sięgam do lodówki po upragnione piwo.

A więc to już. Szybko i sprawnie, cała operacja zajęła im może dwie minuty. Ewelina zniknęła z mojego życia i mogę zacząć udawać, że nigdy się w nim nie pojawiła. Zły cień opuścił bajkową dolinę. Ding-dong! wiedźma nie żyje.

Zanim otworzę puszkę, przykładam ją na chwilę do czoła, cieszę się tym chłodem. Czuję, że lekko drżą mi ręce. Wypiłbym to piwo duszkiem. Jedno, drugie, trzecie i potem czwarte. Ale nie zrobię tego.

– Zachowaj choć trochę godności – mówię do siebie.

Powtarzam jeszcze raz, szeptem.

2

Wika świdruje mnie wzrokiem skupionym jak laser, jeszcze moment i przetnie na pół. Dawno się nie widzieliśmy i trochę już zapomniałem, na czym to polega: ona nie mruga. Jest jak drapieżny kot, który hipnotyzuje ofiarę, zanim skoczy jej do gardła. Nie potrafię wytrzymać tego spojrzenia, zaglądam do butelki, jakbym spodziewał się dostrzec na dnie coś więcej niż tylko resztkę piwa. Siedzimy w Chwili na Żelaznej, w pubie, który swego czasu był dla nas drugim domem.

– A więc gra skończona – mówi Wika. – Ostatecznie zamknąłeś rozdział pod tytułem Ewelina.

– Dokładnie tak.

– I nie będziesz próbował do niej wrócić?

Podnoszę wzrok.

– Nie jestem idiotą.

– A jeśli to ona spróbuje? Wracasz do domu, a tu laska leży zwinięta w kłębek na wycieraczce i skamle, że popełniła błąd. Bardzo, ale to bardzo cię kocha i prosi o wybaczenie, tylko wpuść ją z powrotem.

– Zadzwońiłbym po policję.

Wika kiwa głową. Widzi, że jestem pewny swoich słów.

Jej nie sposób oszukać, to ludzki wariograf, wyczuje najdrobniejsze niedopowiedzenie, natychmiast zauważy milisekundę zawahania. Powinna pracować w jakichś tajnych służbach, rozpracowywać obce agentury, pasowałaby idealnie, błądy cyborg z dredami spiętymi w kitkę. Przez te wielkie jasne oczy i trójkątną twarz wygląda jak zjawa, ale to pozory. Biada temu, kto się na nie nabierze. Wika od trzynastego roku życia ćwiczy karate tradycyjne, jest wykuta z żelaza. Na studiach pokonała w siłowaniu na rękę wszystkich chłopaków z naszej grupy.

– Sucz z niej nieprzeciętna – mówi. – Zabiłabym ją za to, jak cię potraktowała. Współczuję bardzo.

– Dzięki.

Lekko przechyla głowę.

– Strasznie mało mówisz, Szymon. Krótkie, proste zdania. Jak nie ty.

Uśmiecham się.

– Bo nie bardzo wiem, co powiedzieć.

Wika zamyśla się. Wiązka lasera właśnie przebija mi głowę i wypala dziurę w ścianie.

– Tak naprawdę to wydaje mi się, że historia twoja i Eweliny jest, nie gniewaj się, w pewien sposób dość typowa – mówi. – Oczywiście, pomijając wątek tych fotek, bo to jednak z jej strony arcykurewstwo. Podziwiam twoje opanowanie, tak swoją drogą, bo gdybym to ja dowiedziała się, że ktoś wywinął mi coś takiego, to przysięgam, żyłby może jeszcze przez minutę.

Wyobrażam sobie Wikę stojącą z nożem nad drgającym ciałem niewiernego partnera. Choćby mordowała w amoku, w najwścieklejszym afekcie, to w ciągu sekundy po wbiciu ostrza w serce ofiary zdążyłaby opracować dwa solidne alibi. Zanim ciało runęłoby na podłogę, miałyby już gotowy plan, jak się go pozbyć. Nigdy nie dałaby się złapać.

Mówi dalej:

– To jest chyba osobny gatunek lasek, takie modliszki. Mój brat też kiedyś na taką trafił, poznałeś go chyba, nie?

– Chyba tak – kojarzę niejasno. – Jacek, prawda?

– No, Jacek. A tamta szmata to Monika, nieważne zresztą. W każdym razie scenariusz wyglądał bardzo podobnie, wielka miłość, ale tylko do momentu, gdy się do niego wprowadziła.

– Skąd się znali?

– Chodzili razem do liceum u nas w Żyrardowie, byli w równoległych klasach. No i niby już wtedy się w nim kochała, ale jakoś przypomniła sobie, dopiero jak znalazła go w necie, na Naszej Klasie jeszcze, bo to dobrych dziesięć lat temu było, i zobaczyła, że całkiem nieźle sobie w życiu radzi. W przeciwieństwie do niej. Gładko poszło, Gadu-Gadu, telefony, spotkania na weekend. Jakieś długie jej jeszcze pomagał spłacać, nie pamiętam dokładnie. W każdym razie, gdy już uwiła sobie u niego gniazdko i trochę obrosła w stolicy w piórka, zaraz pofrunęła w długą. Bo znalazła kogoś, kto radził sobie jeszcze lepiej od Jacka.

– Faktycznie można dostrzec podobieństwa.

– Akurat wtedy się okazało, że istnieje jeszcze na świecie sprawiedliwość, bo Moniczka jakoś zaraz potem zaciążyła. A jej nowy gach szybko pokapował się, z kim ma do czynienia, i bez większych rozterek wykopał ją z domu. Po narodzinach dzieciaka zażądał testów na ojcostwo i niespodzianka, okazało się, że to nie jego. Chyba w ogóle nie udało się ustalić, kto gówniarza zmajstrował, bo Moniczka cały czas szukała po klubach lepszych kandydatów na męża i sama już nie wiedziała, kogo właściwie pozywać o alimenty. Jacek był gotowy zapłacić w razie potrzeby za testy, gdyby i do niego przyszła, ale miała chociaż tyle przyzwoitości, żeby dać mu już spokój.

Dopijam piwo. Wika mówi dalej:

– Więc, koniec końców, Jacek wyszedł na tym najlepiej. Pobolało, jasne, musiało, bo jednak zawróciła mu mocno w głowie. Ale mogło być gorzej. Mógł w tym szambie całkiem utonąć. Ty też mogłeś, a nie utonąłeś.

– No, to prawda. Mogłem stracić dużo więcej.

– A, jest jeszcze epilog. Laska razem z nie wiadomo czyim synusiem zwinęła się z powrotem do Żyrardowa i o ile wiem, gnije tam do dzisiaj. Synuś dostał od losu chromosom gratis, chyba za grzechy matki, więc już całkiem jest wesoło.

– Dżizas... – Kręcę głową.

Wika wstaje i idzie do baru po następne dwa piwa. Jej dredy sięgają już prawie do pośladków; zastanawiam się, kiedy widzieliśmy się po raz ostatni. Na pewno nie zdarzyło się to, odkąd zamieszkała u mnie Ewelina, a więc od prawie pięciu miesięcy. Mimo to czuję się w jej towarzystwie bardzo swobodnie. Gdybym miał nazwać kogoś przyjacielem, to chyba już tylko ją. Odkąd zamieszkałem sam, to właśnie Wice powierzam zapasowy komplet kluczy, na wypadek gdybym swoje zgubił. Najpierw do kawalerki na Hożej, teraz do dziupli na Granicznej. Gdybym nie miał dokąd pójść, poszedłbym do Wiki.

Wraca, uśmiecha się, choć ktoś, kto jej nie zna, zobaczyłby raczej skrzywienie ust. Podaje mi butelkę, sama przelewa sobie piwo do szklanki.

– Na pohybel wszystkim szmatom.

– Na pohybel.

Upijamy po kilka łyków. To dobry moment, żeby zmienić temat.

– A powiedz, jak u ciebie z robotą? – pytam. – Znalazłaś już coś?

– Już nawet nie szukam, mam stałego klienta. Finansowo wychodzę na pewno nie gorzej, a odpada kiblowanie w biurze.

– Wciąż marketing?

– Powiedzmy. To nie agencja, tylko duży fundusz, właściwie cała grupa kapitałowa, siedzą głównie w nieruchomościach, ale nie tylko, w branży medycznej też na przykład, produkują jakiś sprzęt ambulatoryjny. W każdym razie jest co robić, pracy dla grafika nie brakuje. A u ciebie jak? Mieliście w agencji jakieś zawirowanie, dobrze pamiętam? Zmieniło się coś?

– No, tyle że wtedy nas bujało, a teraz idziemy prosto na dno. Firma się zwija, zostajemy tylko do końca miesiąca.

– No, to nieźle się w czasie z Ewelina zbiegło.

– Nie no... – Macham ręką. – Od dawna było wiadomo, że tak to się skończy. Trochę szkoda, bo naprawdę lubiłem tych ludzi. Ale nie ma dramatu, wszyscy się zdążyli oswoić, nagrać sobie inne roboty.

– Ty też masz już coś?

– Rozesłałem CV, pewnie niedługo zaczną dzwonić. Trochę kasy odłożyłem, nie pali mi się mocno pod dupskiem. Jakoś to będzie, coś się znajdzie.

Znów patrzy mi prosto w oczy.

– Trochę cię podziwiam, Szymon – mówi. – Jak by tego nie nazywać, właśnie ci się życie sypie, a ty sprawiasz wrażenie, jakby w ogóle cię to nie ruszało.

– To właśnie słowo klucz: wrażenie. – Uśmiecham się. – Jestem tym wszystkim cholernie zmęczony po prostu, sporo nerwów straciłem. Tłumaczę sobie, że życie nie kończy się na związkach i pracy. A mała przerwa chyba dobrze mi zrobi.

– Zdrowe podejście, w pełni popieram. Praca znajdzie się sama, za dobry jesteś, żeby rynek pozwolił ci przepaść. Zobaczysz, zaraz zaczną spływać oferty. A lasek poznasz jeszcze wiele, młody z ciebie facet, całkiem przystojny i niegłupi.

– No już.

– Po prostu następną dziewczynę musisz mi przedstawić do oceny, ja się znam na ludziach.

Śmieję się.

– Serio mówię. – Wika z udawaną powagą kręci głową. – A jak coś, deal z pierwszego roku ciągle aktualny.

Na początku studiów umówiliśmy się, że jeśli do czterdziestki oboje pozostaniemy sami, weźmiemy ślub, żeby rodziny nie marudziły. Wtedy brzmiało to abstrakcyjnie, nie wiem, co bardziej – czterdziestka czy życie singla.

– Gramy w scrabble? – pytam.

– A mało ci życiowych porażek? Nie ma, że się zlituję, wiesz o tym?

– Zobaczymy.

Pudełka z grami leżą na regale przy ścianie. Sięgam po scrabble. Chyba nigdy jeszcze nie wygrałem z Wiką i nie mam złudzeń, że uda się właśnie dziś. Za to nie wyjdziemy stąd wcześniej, jestem tego pewien. Cieszę się, że ją znam.

3

Siedziba agencji *Cremè de la Creation* mieści się w wynajętym domku przy *Raławickiej*. Wchodzę spóźniony o dobre pół godziny, a i tak jestem pierwszy w pokoju. Wyglądam chyba niewiele lepiej, niż się czuję, ale nie ma to najmniejszego znaczenia. Mógłbym przyjechać w zarzyganych spodniach i swetrze nałożonym tył na przód, naprawdę nikogo to już nie obchodzi. Siadam przy biurku, odpalam komputer. Przez dobry moment nie mogę przypomnieć sobie hasła.

Zanim *Windows* wybudza się na dobre, w drzwiach staje *Dawid*.

– Siemasz, *Sajmon* – rzuca. Wchodzi, nonszalancko siada na biurku *Doroty*. Przez moment lustruje mnie wzrokiem, uśmiecha się lekko, ale nie komentuje. Drapie się po brodzie. – Masz chwilę?

– Aha.

Odchrząkuje.

– Słuchaj, bez lania wody. Ustaliliśmy z *Łukaszem*, że już definitywnie zwijamy żagle. Nie ma sensu utrzymywać biura, nie ma sensu, żebyście tu przyjeżdżali. Większość załogi od tego tygodnia idzie na urlop, wykorzystać zaległe dni. Wszyscy się zgodzili, żeby nie było, nikogo do niczego nie zmuszamy. No, a do ciebie miałbym prośbę.

– Aha?

– Zostały nam dwa aktywne projekty. Tak się złożyło, że akurat te dwa, nad którymi pracujesz. Mamy jeszcze do dowiezienia ostatnie kreacje. Zostaniesz do końca?

Uśmiecham się.

– A mam jakąś alternatywę?

– No masz, masz, możesz powiedzieć, że pierdolisz, i wybrać zaległe dni urlopowe, tak jak się umawialiśmy na początku. Ale bardzo by mi zależało, żebyś jednak te swoje tematy dociągnął. Wypłacimy ci ekwiwalent za niewykorzystany urlop.

– Nie no, pewnie. – Szybko kalkuluję, że w tym roku nie wykorzystałem nawet połowy przysługujących mi wolnych dni. Wprawdzie formalnie prowadzę własną działalność, jak połowa pracowników Cremè de la Creation, ale byliśmy umówieni, że urlopy rozliczamy tak, jakbyśmy pracowali na etacie. A Dawid zawsze uważał umowy za świętość.

– Tyle że, jak mówię, zamykamy biuro. Więc super by było, gdybyś do końca miesiąca popracował z domu. Oszczędzisz czas na dojazdy, chociaż tyle z tego będziesz miał. To samo zaproponuję Dorocie i Markowi, cały wasz zespół chciałbym mieć do samego końca pod bronią. Spoko?

– Spoko.

– No i jeszcze jedno. Sajmon?

– No?

– Ostatnią wypłatę wyślemy w dwóch ratach. Połowa jak zawsze, przed dziesiątym, druga do końca miesiąca. A ekwiwalent za urlop już w przyszłym, musimy to dopiero wyliczyć z księgową. Może tak być?

– Spoko.

Średnio uśmiecha mi się siedzenie całymi dniami w pustelni na dwunastym piętrze, ale rozumiem, że Dawid chce oszczędzić chociaż na prądzie i wodzie. Agencja przez ostatnie miesiące chwiała się jak celnie trafiony bokser, jeszcze jakimś cudem trzymała się lin, teraz z hukiem pada na twarz.

– To zabierz sobie kompa do domu. Oddasz, jak wystawisz ostatnią fakturę, umówimy się jakoś w listopadzie. Zrób sobie na spokojnie, co ci zostało, chyba nie ma tego bardzo dużo, nie?

– Nie ma – przyznaję.

Dawid spogląda przez okno na Raławicką. Na skrzyżowaniu z Wołoską znowu zgasła sygnalizacja świetlna: kierowcy trąbią na siebie, ktoś wysiadł z samochodu i wymachuje rękami, chyba zdążyło dojść do stłuczki.

– Szukasz już czegoś? – pyta.

– Powolutku.

– Polecę cię wszędzie, gdzie tylko będę mógł. Najlepsze referencje ci wystawię, jestem pewien, że Łukasz też. Naprawdę, gdybyś wiedział, jak mi jest zajebiście przykro, że tak to się wszystko kończy... To, że muszę zwolnić ludzi takich jak ty czy Dorota, to chyba moja największa zawodowa

porażka.

– Spokojnie, Dawid, przecież wiem, że to nie twoja wina. Biznes to biznes, bywa różnie.

– Raz nadwozie, raz podwozie. Wiadomo.

Śmiejemy się. To tekst posta na Facebooka, który kiedyś wymyśliłem dla dużego dealera samochodowego. Osiągnęliśmy wtedy tak absurdalnie wysoki zasięg, że któryś z magazynów branżowych zrobił z tego *case study*. Wcześniej klient odrzucił kilka znacznie lepszych, naszym zdaniem, pomysłów. Ten napisałem zdenerwowany na kolanie, byle coś wysłać, bo garowałem już trzecią godzinę i naprawdę chciałem iść wreszcie do domu.

– A ty? Masz jakieś plany?

– Całe życie nic nie miałem, tylko plany. – Dawid macha ręką. – Przede wszystkim to muszę ogarnąć burdel, jakiego narobił Łukasz. A potem nie wiem jeszcze, ale chyba zmienię branżę. Muszę sobie przypomnieć, jak wygląda prawdziwy świat.

Milczymy przez chwilę. Wreszcie Dawid mówi:

– To jak chcesz, możesz lecieć, Sajmon, nie trzymam cię tu. Odpocznij sobie, przyda się, nie? – Uśmiecha się porozumiewawczo. – A skoro już mowa o piciu, zrobimy jeszcze na pożegnanie ostatnie piwko firmowe w następny piątek, co?

– Jasne.

Wyłączam kompa, ale akurat przychodzi Dorota, account managerka z mojego zespołu, więc rozmawiamy przez chwilę we troje. Dziewczyna zgadza się od razu na pracę zdalną do końca października. Marek i Monika zjawiają się dopiero po dziesiątej, decydujemy, że nie ma sensu na nich czekać. Pijemy kawę z ekspresu, ziarna zostało akurat na trzy filiżanki. Więcej Dawid już nie kupi. Śmiejemy się, że bardziej symbolicznie być nie mogło.

Wychodzimy z Dorotą, zostawiając szefa samego. Zamykam za nami drzwi i czuję się, jakbym pieczętował wejście do grobowca. Sporo dobrych chwil tu spędziłem, poznałem kapitalnych ludzi. Widocznie naprawdę nastał czas zamykania kolejnych rozdziałów.

Deszcz zacina w twarz, jest zimno, a kac trawi do kości.

4

Pada przez kilka kolejnych dni. Takie właśnie te dni są – ściekają jak krople deszczu po szybie, nic po nich nie zostaje. Staram się wstawać rano i narzucać sobie rygor pracy, ale naprawdę nie mam dużo do zrobienia. Nudne, powtarzalne taski, którymi właściwie nie powinienem się zajmować, ale gdy firma zaczęła zaciskać pasa, musieliśmy pożegnać juniorów. Wymyślam więc czerstwe żarty na facebookowy fanpage płatków śniadaniowych i piszę skrypty reklam pre-roll na YouTube'a dla producenta gotowych mieszanek przypraw. To ostatni klienci, którzy z nami zostali. Podczas pracy angażuję połowę mózgu, tak naprawdę mógłbym zająć się w tym czasie czymś zupełnie innym – gdybym tylko miał pomysł czym.

Pod koniec dnia wysyłam zwyczajowy raport Dawidowi, pewien, że nawet do niego nie zajrzy. Zastanawiam się, czy nasze ostatnie projekty w ogóle zostaną zrealizowane. Nie żeby mi to robiło jakąkolwiek różnicę.

Zwykle koło południa mam już wolne, najpóźniej o czternastej. Gdybym tylko trochę się zmusił, napisałbym wszystko w dwa dni i miał wolne już dokumentnie. Ale wcale nie chcę. Taśmowa produkcja bzdur mimo wszystko nadaje jakiś kształt tym dziwnym dniom.

Otwieram plik z moim CV. Rzeczywiście wygląda nie najgorzej. Trzy agencje reklamowe, może nie największe, ale o całkiem przyzwoitej renomie. W pierwszej zaczynałem jeszcze na studiach i zaliczyłem mocne wejście: nominacje do kilku nagród, dwa wyróżnienia. Jeden z branżowych portali napisał o mnie wtedy całkiem na poważnie jako o „złotym dziecku warszawskiego copywritingu”. Potem gdzieś ta kariera wyhamowała, ale i tak nie wyglądała źle. Miałem wiele pozytywnych referencji i bardzo sensownych klientów w portfolio. Nie powinienem mieć problemu ze znalezieniem nowej pracy. A przecież w ostatnich latach robiłem też na boku kilka mniejszych projektów, może właśnie nastął czas, żeby podzwonić, przypomnieć się, podziergać jeszcze coś na freelansie, byle nie ruszać oszczędności. Albo może przeciwnie, uderzyć właśnie do

największych sieciówek, sprzedać duszę diabłu w korpo, ale już za konkretniejsze pieniądze.

Tymczasem dźbię teksty do postów o płatkach.

JAKI STAN UMYŚLU WYWOŁA MISKA PEŁNA NASZEGO PRZYSMAKU?

NAJWYŻSZĄ ŚNIADOMOŚĆ!

Z każdym kolejnym śniadaniowym sucharem wygładza mi się jedna fałda w mózgu. Czasem wciąż łapię się na niedowierzaniu, jakim cudem jako cywilizacja doszliśmy do momentu, w którym poważne firmy decydują się przelewać agencjom reklamowym pieniądze za prowadzenie kampanii w mediach społecznościowych. Stoimy nad krawędzią otchłani. Copywriting, wytłumacz pokoleniu dziadków, na czym polega ta praca. Tego typu zawodami musieli parać się mieszkańcy Atlantydy.

Mózg natychmiast łapie trop, taka inspiracja nie może się zmarnować: wymarła cywilizacja – antyk – dzieła sztuki.

CO ZDOBI ŚCIANY ŚNIADANIOWEGO PAŁACU?

PŁATKORZEŻBY!

Dopijam kawę, otwieram okno. Wychylam się, zimny deszcz kapie na głowę. Tlenu.

Oczywiście, kiedyś wyobrażałem sobie inaczej próg czwartej dekady życia. Miało być ładne mieszkanie, urocza żona i wierny pies. Jest wynajęta dziupla na dwunastym piętrze i włosy Eweliny w pralce. Miała być błyskotliwa kariera. Są płatki i mieszanki przypraw. Sorry, młody. Nie twoja wina, co mogłeś wiedzieć o życiu?

Kończę na dziś robotę i zastanawiam się, co zrobić z resztą dnia. Zaczynam od przejrzania branżowych grup na fejsie i wysłaniu kilku CV w odpowiedzi na ogłoszenia o pracę.

Przez większość tego roku mieliśmy w agencji spore obłożenie i marzyłem wówczas o paru dniach wolnego, o czasie tylko dla siebie, żeby ponadrabiać zaległości w lekturach i serialach. Okazuje się, że nie bardzo wiem, co się robi z tyloma wolnymi godzinami. Zwykle po pracy byłem na

tyle zmęczony, że po prostu zajmowałem się jakimiś bzdurami, gadałem z Ewelina, o ile nie miała akurat popołudniowej zmiany. Załatwiłem jej przez kumpla pracę w dużym call center, nic specjalnego, śmiech nie zarobek, ale mogła zacząć od ręki, zaraz po przeprowadzce do Warszawy, a bardzo jej na tym zależało.

Może w ogóle nie chodziła tam na popołudnia. Może to też było kłamstwem.

Właśnie tak, kłamstwa i wymysły. Słowa, które odkleiły się od sensu i lecą sobie z wiatrem. Słowa, które padają tylko dlatego, że odbiorca chce je usłyszeć. Uśmiecham się. Właśnie takie słowa słyszałem z ust dziewczyny, gdy mówiła, że mnie kocha. Właśnie takimi słowami zarabiam na życie.

5

Wyglądam z okna samotni na rozmiękłą w mżawce Warszawę i zastanawiam się, czy moja nieumiejętność skupienia uwagi to cecha pokoleniowa czy jednak temat dla neurologa.

Znów dość wcześnie odrobiłem pańszczyznę, już ostatecznie kończąc pracę dla Dawida, i oto stanąłem naprzeciw najpoważniejszego z problemów: co zrobić z resztą tego dnia, pięknego jak biegunka. Żadna z czekających od dawna na swoją kolej książek nie przykuwa do siebie na dłużej niż kwadrans, nie chce mi się zaczynać nowej gry na konsoli, a filmy są przerażająco długie.

Siadam więc z powrotem do komputera. Otworzyłem chyba ze trzydzieści zakładek w przeglądarce, przeskakuję między nimi, zamykam i otwieram nowe. Czytam artykuł do połowy, przełączam się na stronę banku, żeby kompulsywnie sprawdzić stan konta, sprawdzam pocztę, odświeżam Facebooka.

Nie mam pojęcia, co bym zrobił, gdyby nagle szlag trafił internet. Odwracam się, patrzę na router mrugający zielonym światełkiem, uśmiecham się do niego – przyjacielu, gdyby nie ty, chyba siedziałbym i patrzył w ścianę.

Newsy na gazeta.pl nie napawają optymizmem. Wystarczy prześlizgnąć się wzrokiem po tytułach. W Niemczech służbom udało się udaremnić zamach terrorystyczny, za to kilkadziesiąt osób zginęło w kolejnej eksplozji samochodu pułapki w Kabulu. Rosjanie ogłosili kolejne wielkie ćwiczenia wojskowe, a w Jaworznie lekarz przyjmował pacjentów, mając we krwi niemal trzy promile. We Francji policja znów stłumiła burdy z udziałem imigrantów.

Przewijam dalej, do informacji lokalnych z Warszawy. Tu newsem numer jeden jest zaginięcie młodej kobiety. Ze zdjęcia spogląda wielkimi oczami nieśmiało uśmiechnięta istotka. Klikam. Jola Kaczmarek, dwadzieścia osiem lat, nauczycielka angielskiego w jednym z mokotowskich liceów. Pochodzi

z Białegostoku, w stolicy wynajmowała mieszkanie razem z młodszą siostrą. Ostatni raz widziana we wtorek, gdy późnym wieczorem wracała od koleżanki. Jej telefon milczy, znajomi nic nie wiedzą.

Przyglądam się zdjęciu. Ładna dziewczyna. Jeśli się szybko nie odnajdzie, czeka nas kolejny medialny spektakl rozpisany na sto aktów. Znowu będzie śledztwo dziennikarskie, relacje ze spotkań z jasnowidzami, oratorskie popisy prywatnych detektywów. Twarz reprodukowana wszędzie. Szczegółowa analiza życiorysu. Biedna Jola, kimkolwiek jest. Oby się odnalazła.

Na Messengerze Dorota pyta, czy przyjdę dzisiaj na pożegnalne firmowe piwo. Pewnie, że przyjdę.

Rozmawiamy chwilę. Ona też zrobiła już wszystko, co miała zrobić dla Dawida. Martwi się, że może być problem z ostatnią wypłatą. Uspokajam ją, bo cokolwiek by o nich mówić, chłopaki zawsze były wobec nas bardzo w porządku. Uśmiechnięte emotikonki zioną pustką z oczu.

Ewelina nie cierpiała emotikoniek. Uważała je za infantylne i głupie. Rozmawiając z nią, a były momenty, jeszcze zanim przeniosła się do Warszawy, że gadaliśmy ze sobą przez większość doby, niemal całkiem odczyłem się ich używać. Teraz więc stawiam żółte uśmiechy na końcu zdania dobitnie niczym pieczęć, z mściwą satysfakcją.

Ciekawe, co u niej. Pewnie rozłożyła już bambetle u tego rudego gnojka i czuje się jak u siebie. Ze mną było identycznie – ani się obejrzałem, a przejęła kontrolę nad mieszkaniem, rozlała się po nim, skolonizowała, niepostrzeżenie wprowadziła swoje zasady. Miała do tego naturalny dar, a ja nie protestowałem, zachłyśnięty szczęściem idiota, przekonany, że oto z nieba spłynął anioł, który przemieni mieszkancko na dwunastym piętrze w coś, co można nazwać domem. Mój czarny aniołek. Zmieniłem dla niej przyzwyczajenia. Zacząłem jadać obiad dopiero po powrocie z pracy, wcześniej kładłem się spać. Odkształcałem się, deformowałem, byłem miękki jak wosk. Ciekawe, czy z rudym pójdzie jej równie łatwo.

Czuję, że zaczynam się denerwować. Kompletnie bez sensu. Wstaję, znowu podchodzę do okna. Warszawa tętni życiem. Spojrzenie na panoramę miasta przywraca perspektywę – takich historii jak moja rozgrywają się tu codziennie setki. Tak jak mówiła Wika: to bardzo typowe historie.

Zastanawiam się jeszcze, czy Ewelina pamięta o pieniądzach, które jej

pożyczyłem. Kwota nie jest bardzo wysoka, chodzi o nieco ponad tysiąc złotych – ale ostatecznie to mój tysiąc. Mógłbym kupić sobie gry na Playstation, pojechać bez sensu na weekend do Amsterdamu, kupić trzy gramy kokainy i whisky do popicia albo nie wiem, zaprosić dwie dziwki naraz. Cokolwiek. Postanawiam, że dam jej czas do początku listopada. Teraz i tak nie odebrałaby telefonu.

Wracam do rozmowy na Messengerze. Dorota ucieka, korzystając z laby, umówiła się na mieście na obiad. Zobaczymy się wieczorem.

Mam wielką ochotę napić się z nimi tego piwa. Dociera do mnie, że od trzech dni w ogóle nie wychodziłem z mieszkania.

6

Modna warszawska młodzież, władcy piątkowej nocy. Kolorowe motyle, które obsiadły jeden ze świecących klubów w Śródmieściu, w każdej sekundzie gotowe zapozować do stylowej fotki na Instagramie.

To z pewnością nie my. Ekipa z agencji *Cremè de la Creation* siedzi przy zsuniętych stołach w pubie *Fortyfikacja* na ciemnych rubieżach Mokotowa i przepija wódkę piwem.

Chyba wszyscy, którzy mieli przyjść, już są. Brakuje Łukasza, drugiego z ojców założycieli firmy, ale akurat jego nikt się nie spodziewał.

– Za wszystkie deadline’y, które stawaliśmy na drodze! – wznosi toast Dawid. – Daliśmy im radę!

Pokornie wnosimy szklanki i kieliszki. Na razie piję piwo, to jeszcze nie czas na wódkę.

Dawid siedzi przy krótkim boku stołu, jak na szefa przystało. Jest starszy ode mnie o niemal dekadę, niedawno przekroczył czterdziestkę. Widać po nim zmęczenie ostatnimi tygodniami, schudł, trochę jakby zapadł się w sobie. Wiem, ile nerwów kosztowała go historia z Łukaszem; słyszałem, jak darli się na siebie jeszcze w poprzedni poniedziałek. Kumplowali się od liceum, agencję założyli zaraz po studiach. Wielkie plany, równie wielkie marzenia. Ich dzieciaki chodziły do jednego przedszkola, nawet na urlopy z rodzinami jeździli razem. A teraz poszli na noże, będą się sądzić, bardzo brzydko się ta bajka kończy.

Kolejny zwyczajny dramat, jeszcze jedna typowa historia.

Upijam duży łyk. Obok Dorota zamasyście stawia kieliszek na stole.

– I jak tam, Sajmon? – Trąca mnie w ramię. – Jak się żyje?

– Wiadomo. Siłą rozpędu.

– Nie wyszło z tą laską?

Widzi, że jestem zdziwiony: nie przypominam sobie, żebym rozmawiał z nią o Ewelinie. Dorota śmieje się.

– Lajkowałeś wszystko, co wrzucała na fejsa. A teraz nie masz jej nawet w znajomych.

Kręcę głową.

– Głowaczewska, stalkerko!

– Spaczenie zawodowe. Zaczynałam jako moderatorka.

Śmiejemy się oboje. Piwo smakuje jak niebo.

– Ano, nie wyszło.

– Nie chcesz o tym mówić.

– Jeśli nie muszę.

– Spokojnie, piwo, drugie, potem wódeczka i wszystkiego się dowiem.

Zawsze wydawało mi się, że trochę się Dorocie podobam. Nigdy nie wyraziła tego wprost, wszystko rozgrywało się na poziomie półśłówek i uśmiechów o pół stopnia cieplejszych, niż wymaga kurtuazja. Niewykluczone, że wiele sobie tylko dopowiadam. Nigdy nie umiałem w porę rozpoznać flirtu.

– Dowiesz się, dowiesz.

Spoglądam na nią, akurat zapatrzyła się na coś przy barze. Niebrzydka dziewczyna. Dwadzieścia pięć lat, ciemne blond włosy, twarz może odrobinę za grubo ciosana, ale za to śliczne, pełne usta. Gdy się uśmiecha, nie sposób zachować powagi; serca miękkły nawet najtwardszym negocjatorom podczas dogadywania szczegółów w umowach z klientami. Nie mogę się nadziwić, że za tym uśmiechem nie podąża sznur ślepo wpatrzonych adoratorów. Sam jednak bym chyba nie podążył. Postanawiam wrócić do tego rozważania za jakiś czas.

Tymczasem Dawid narzuca tempo.

– Za wszystkie fuck-upy, które na nas spadały, ale nigdy nie przygniotły!

Dolewam wódki Dorocie, wychyla na raz. Ja kończę piwo.

Zaczynają się kombatanckie wspominki. Kto się z kim upił, kto z kim przespał. Bohaterowie większości opowieści nie siedzą dziś z nami przy stole. Rotacja w Cremè de la Creation była zawsze spora, z moimi czterema latami stażu w firmie należę do elitarnego grona weteranów. Ludzie, którzy zaczynali pracę z Dawidem i Łukaszem na samym początku, w czasach, gdy reklama w internecie była jeszcze ziemią dziewiczą, od lat piastują wysokie

stanowiska w domach mediowych i dużych międzynarodowych sieciówkach. W branży panuje przeświadczenie, że chłopcy przespali najlepszy moment na sprzedaż firmy jakiemuś dużemu graczowi. Otrzymywali propozycje, ponoć nawet bardzo atrakcyjne, ale woleli pozostać niezależni, no i konsekwencja nie mogła okazać się inna – przeliczyli się, przegrali, właśnie bezceremonialnie wykopano ich z rynku.

Wracam od baru ze świeżym piwem akurat na kolejny toast, tym razem za wszystkie przegrane przetargi, które nie okazały się porażkami, tylko nauką. Dawid pije, jakby płonął w nim ogień, który ugasić może tylko wódka. Wściekle wlewa w siebie kolejkę, ociera usta.

– Sajmon, nie pij tyle piwa – mówi do mnie. – Brzuch ci urośnie. Wóda. Z szefem się nie napijesz?

Wzdycham. Przysiadam się obok niego. Nagle ma dla mnie kieliszek, nie wiem skąd, nalewa nam obydwu.

– Żeby się poukładało wszystko.

Wódka pali w gardle. Popijam piwem i dociera do mnie, jak bardzo potrzebowałem wyjść do ludzi, których lubię, posiedzieć z nimi i pogadać o niczym. Staje się jasne i oczywiste, że urzniemy się tu jak jeszcze nigdy.

Dawid chce od razu nalać kolejną pięćdziesiątkę, ale protestuję, więc niechętnie odstawia butelkę. Rzuca mi się w oczy, że na palcu nie ma obrączki. Kojarzę fakty – od dawna zdarzało mu się zniknąć z firmy na pół dnia albo zamknąć się na całe godziny z telefonem w salce konferencyjnej.

Widocznie trochę za długo patrzę mu na dłoń, zauważa to.

– Tak jest. – Uśmiecha się smutno. – Zgasł na palcu pierścień wieczny. Sprawa już na wokandzie. Jak to mówią, gdy się już w życiu pierdoli, to po całości.

Czuję nagły przypływ empatii. Jednak jestem już pijany bardziej, niż sądziłem. Biorę flaszkę i rozlewam nam do kieliszków. Pijemy, Dawid wychyla czwartą kolejkę w ciągu jakichś dziesięciu minut.

Nieproszony zaczynam opowiadać o Ewelinie. On opowiada o swojej żonie Alicji, o powolnej erozji ich małżeństwa, o tym, jak niespodziewanie poczuł, że łączy ich już tylko wzajemna niechęć i pretensje.

Mijają kwadransy. Nasze obficie podlewane wódką opowieści splątują się ze sobą jak łodygi pokracznych roślin, właściwie nie musimy się już

nawzajem słuchać, snujemy na dwa głosy uniwersalną przypowieść o złej kobiecie. Rozumiemy się jak nikt, jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi. Polewamy kolejkę. I następną. I znowu. Nie wiadomo kiedy przysiada się Dorota, nie zwracamy na nią większej uwagi, zajęci opowiadaniem sobie własnych krzywd. Słowa wypadają z ust jak klocki w tetrisie, coraz szybciej, coraz trudniej je do siebie dopasować. Polewamy kolejkę. I następną. I znowu.

* * *

Wreszcie świat jest stroboskopem, rozpada się na pojedyncze kadry. Chryste, jak to możliwe? Otworzyliśmy trzecią flaszkę.

Dorota kręci głową. Nagle okazuje się, że czynnie uczestniczy w rozmowie. Ciekawe, od jak dawna.

– Tyle to chyba nie chciałam wiedzieć – mówi.

Śmiejemy się we troje. Patrzą na Dorotę, tak jak postanowiłem wcześniej. Teraz jest najpiękniejsza na świecie, choć kontury ma nieostre. Waham się, czy wypada zaprosić ją do mnie. Chcę o to zapytać, ale widzę, że wyjmuje telefon. Własny głos dobiega z dziwnej oddali.

– Co robisz?

Pokazuje Dawida, który właśnie zasnął przy stole. Dochodzi trzecia w nocy. Muszę wyjść do toalety, nie jest łatwo, śmieję się sam z siebie, jak bardzo się upiłem. Gdy wracam, Dorota prowadzi ślaniającego się na nogach Dawida do wyjścia.

– Odstawię go do domu, nie może w takim stanie wyjść sam. Siedź, Sajmon. Zamówię ci ubera.

Kręcę głową, nie chcę pomocy. Jakoś sobie poradzę.

Leżę na łóżku w ubraniu. Włączone światło kłuje w oczy, deszcz bębni głośno o uchylone okno. Nabieram do płuc powietrza i powolutku wypuszczam. Czuję w ustach paskudny posmak, do tego okropnie zdrętwiała mi ręka. Zbieram się w sobie i wstaję, omal nie upadam. Chryste, jeszcze jestem pijany.

Muszę się dobrze skupić, żeby sobie przypomnieć, jak dostałem się do mieszkania. Ostatecznie to chyba accountka Monika zamówiła mi taksówkę, na pewno próbowałem zrobić to sam, ale bezskutecznie. Sięgam po telefon, leży na szafce przy łóżku. Ostatnie połączenie wykonywałem przed czwartą. ECO Taxi. Z niepokojem przeglądam listę wybieranych numerów – na szczęście nie próbowałem dzwonić do Eweliny. Nie wysłałem też nikomu esemesów, nie pisałem na Messengerze, nie robiłem żadnych durnych zdjęć.

Przez godzinę doprowadzam się do porządku. Piję wodę, łykam magnez, jem jajecznicę. Żołądek pulsuje bólem, jakbym wczoraj zamiast piwa i wódki wlewał w siebie wrzącą lawę.

Otwieram laptopa, wchodzę na Facebooka. Widzę, że zostałem otagowany na kilku zdjęciach – jak się okazuje, niewyraźnych i zbyt ciemnych. Wczorajsza nasiadówka Crème de la Creation wygląda jak spotkanie klubu dyskusyjnego, do którego przyjmowani są wyłącznie ludzie nudni i nieciekawi. Fotorelacja z konwersacji prowadzonych w różnym stadium upojenia, najmniej efektowne obrazki w historii mediów społecznościowych. Kurtuazyjnie lajkuję je wszystkie.

Jakby zwabiona moją aktywnością, zaraz odzywa się Dorota.

Jak tam, głowa na swoim miejscu? :)

Bywało lepiej.

No tak. Wczoraj z Dawidem naprawdę popłynęliście, ty to jeszcze, ale szefo zalał się naprawdę do odcięcia.

Tak było.

Na koniec bałam się, czy nic mu się nie stało. Bełkotał już nie jak pijany, tylko jak człowiek po wylewie. Odstawiłam go pod same drzwi, ledwo dałam radę.

Przechodzi trudny czas.

Oj tak. Ty dotarłeś bezpiecznie do domu?

Dzięki, jakoś się udało.

Przez chwilę się waham, ale jednak pytam:

Straszne głupoty wczoraj gadałem?

Emotikonka szczerzy się w radosnym uśmiechu. Po niej pojawia się wiadomość:

No, nasłuchiwałam się trochę o tej Ewelinie, ale nie narzekam, sama chciałam. Straszna z niej suka. Za to jej siostra musi być super. Gośka, nie?

No, Gośka. Przepraszam.

Spoko, Sajmon, widać, że musiałeś się wygadać.

Nie bardzo pamiętam, co dokładnie mówiłem. No ale co mogłem mówić? Przez chwilę milczymy oboje, wreszcie Dorota zmienia temat.

Kojarzysz newsy o tej zaginionej dziewczynie, Joli Kaczmarek?

Wysłała mi link do artykułu, który czytałem wczoraj.

Kojarzę.

To starsza siostra mojej koleżanki z roku, Beaty. Mieszkały razem od niedawna. Jola dopiero co się rozwiodła, zaczynała życie od nowa.

Masakra.

Beata wariuje, ich rodzice wariują.

Nie dziwię się.

Z ciekawości szukam jej na Facebooku. Znalezienie tej konkretnej Joli Kaczmarek chwilę zajmuje, ale udaje się, rozpoznaję od razu – to jej zdjęcie profilowe wykorzystano w artykule. Profil jest zamknięty, mogę zobaczyć tylko podobne do siebie profilówki i kilka zdjęć w tle: czarno-białych, pseudoartystycznych kadrów. Zdjęcie, które zna już pewnie cała Polska, zostało zamieszczone w lipcu i zebrało osiemdziesiąt dwa lajki.

Mam nadzieję, że odnajdzie się cała i zdrowa.

Jej facebookowy profil nazywa się yolandi.kaczka. Ciekawe, czy ma też konto na Instagramie. Szukam użytkownika o takiej nazwie – i bingo, okazuje się, że yolandi.kaczka prowadzi także insta. Tu dla odmiany profil jest otwarty. Założyła go rok temu, doczekała się niecałej setki followersów, opublikowała sześćdziesiąt zdjęć. Selfie, zdjęcia jedzenia, miejska architektura, standardowa instagramowa zupa, przyprawiona najbardziej oczywistymi hasztagami. Konto, jakich na Instagramie tysiące. Patrzę na ostatnie opublikowane zdjęcie. Jola uśmiecha się melancholijnie do swojego iPhone'a na tle okna, za oknem pada deszcz, filtr oblewa kadr ciepłą sepią. Podpis – *Like tears in rain*, hasztagi: #jesień, #autumn, #październik, #october, #warszawa, #warsaw, #polishgirl. Opublikowała je tydzień temu, a więc tuż przed zaginięciem.

A jeśli jednak nie odnajdzie się żywa, jeśli jej zwłoki zostaną wyłowione wiosną z Wisły? Pozostaną zdjęcia na Instagramie, zbiór chwil oprawionych w ramki banalnych tagów.

Właśnie tak, dziewczyno. Właśnie tak. Wszystkie te chwile znikną w czasie jak łyżki na deszczu.

Dorota znika z Messengera. Sprawdzam pocztę. Na LinkedIn od wczoraj czeka zaproszenie od Anny Zofii Karwińskiej z firmy Regnum Lucidum. Akceptuję w ciemno. Loguję się na portal – jak się okazuje, Karwińska wysłała mi tam również bezpośrednią wiadomość.

Dzień dobry, Szymonie, reprezentuję firmę Regnum Lucidum. Jesteśmy stosunkowo młodą, ale bardzo ambitną agencją marketingową. Aktualnie prowadzimy rekrutację na stanowisko copywritera. Twoje doświadczenie zawodowe pozwala przypuszczać, że szukamy właśnie Ciebie. Jeśli byłbyś

zainteresowany zmianą pracy i dołączeniem do zespołu zajmującego się ciekawymi, niestandardowymi projektami, bardzo proszę o przesłanie CV na adres anna@regnumlucidum.com. Super, gdybyś w treści mejla zawarł swoje oczekiwania finansowe. Pozdrawiam serdecznie, Anna Karwińska

Ze zdjęcia profilowego patrzy na mnie poważna kobieta, starsza o kilka lat. Jest senior project managerem, ma tyle pozytywnych referencji, że trzeba przewijać stronę.

Czyżby raz w życiu uśmiechnęło się do mnie szczęście? Jeszcze dobrze nie wytrzeźwiałem po pożegnaniu z Cremè, a tu proszę.

Regnum Lucidum. Nie kojarzę tej agencji, Google też podpowiada niewiele. Ich strona internetowa jest bardzo prosta, wygląda raczej jak tymczasowa makieta. Nie chwala się żadnym dużym klientem, nie udostępniają portfolio, oferta opisana jest zdawkowo. Adres aleja Niepodległości, więc najpewniej biuro znajduje się w wynajętym mieszkaniu.

Entuzjazm zaraz opada – jeśli zażyczę sobie kwoty zbliżonej do tej, którą zarabiałem teraz u Dawida, prawdopodobnie zrezygnują. Regnum Lucidum raczej nie wygląda na gracza dysponującego dużym budżetem. Dobrze, że od razu pytają o oczekiwania, pewnie oszczędzimy sobie sporo czasu.

Piszę do Doroty:

Słyszałaś kiedyś o agencji Regnum Lucidum? Dostałem od nich ofertę pracy.

Ale Doroty nie ma już przy komputerze.

Postanawiam, że mimo wszystko wyślę CV. Nic nie ryzykuję, może na przykład dogadam się z nimi na stałe zlecenia? Wstaję od komputera.

Odpiszę im jeszcze dzisiaj. Ale najpierw sobie poleżę.

Odpowiedź z Regnum Lucidum przychodzi już w poniedziałek.

Moja aplikacja bardzo im się podoba. Jeśli wciąż jestem zainteresowany, proszę o wykonanie krótkiego zadania testowego. W pierwszym odruchu mam ochotę grzecznie podziękować – widzą przecież w portfolio, na co mnie stać, nie jestem świeżakiem po studiach, nie wchodzę do branży z ulicy. Ale zaraz pojawia się konstatacja, że skoro kontynuują temat, najwyraźniej nie odstraszyły ich moje oczekiwania finansowe. Nie widzę też zwyczajowej formułki o przekazaniu praw autorskich do wykonanego zadania, a więc raczej nie próbują pozyskać wartościowych pomysłów za darmo.

Skoro tak – otwieram załączony plik „brief.pdf”.

Przyjmij, że Klient prosi o przygotowanie komunikacji do niecodziennej akcji krwiodawstwa, która zostanie przeprowadzona w Warszawie. W kilku kluczowych miejscach w mieście zostaną rozstawione mobilne punkty, w których ochotnicy będą mogli oddać krew (m.in. na „patelni” przy wejściu do stacji metra Centrum, przy Rotundzie, na placu Defilad – tam, gdzie natężenie pieszego ruchu jest największe). Akcja ma nakłaniać do oddania krwi głównie osoby dotąd niezaangażowane, ma przedstawiać krwiodawstwo jako wartościowy element nowoczesnego, wielkomiejskiego stylu życia.

Kampania składać się będzie z dwóch faz: „tease”, gdy cel pozostanie niejawny, oraz „reveal”, gdy zdradzimy, że chodzi o oddawanie krwi i skierujemy ruch na przygotowaną z tej okazji stronę internetową. Zwłaszcza w fazie „tease” komunikacja powinna szokować, skłaniać do zatrzymania się – ale w granicach dobrego smaku. Jak najbardziej dopuszczalne są odwołania do popkultury, jednak nie chcemy nawiązywać do figury wampira.

W pierwszej fazie nośnikiem komunikatu będą wyłącznie

wielkopowierzchniowe banery rozlokowane w przestrzeni miejskiej Warszawy. W fazie drugiej kampania przeniesie się na Facebooka (reklamy targetowane dla aglomeracji warszawskiej), równolegle wystartuje wspomniana wcześniej strona internetowa.

Twoim zadaniem jest przygotowanie projektu billboardu dla pierwszej fazy kampanii. Zaproponuj:

1. hasło przewodnie akcji,
2. wygląd billboardu (opisz go tak, jak opisywałbyś grafikowi w agencji).

Banery w przestrzeni miejskiej? Niemal przez całą dotychczasową karierę projektowałem content do internetu. Pisałem posty na Facebooka, treści stron, scenariusze interaktywnych reklam, wszystko z myślą o sieci. Znowu pojawia się zwątpienie – czy mam do czynienia z poważnymi ludźmi? W ogóle zajrzeli do mojego portfolio? Jednak granica między reklamą interaktywną a tradycyjną zaciera się coraz bardziej. Kilka naszych projektów w *Cremè de la Creation* czerpało z popkultury pełnymi garściami, może to ich przekonało do mojej kandydatury?

Ostatecznie zadanie nie jest ani trudne, ani szczególnie czasochłonne, a przecież i tak nie mam nic do roboty. Parzę więc sobie kawę i rozsiadam się przed laptopem. Chcą wielkopowierzchniowego banera, będą mieć wielkopowierzchniowy baner.

Akcja oddawania krwi jako element wielkomiejskiego stylu życia. Banery – duże, dobrze widoczne, a więc komunikacja skierowana raczej do masowego odbiorcy. Ma ściągnąć do punktów krwiodawstwa jak najwięcej młodych ludzi, to nie żadna cichociemna zajawka dla hipsterów. Klient chce efektu szoku, czyli o kampanii ma się mówić. Szok jednak powinien być umiarkowany – bez przesadnej kontrowersji, bez jazdy po bandzie.

Zastanawiam się. Jak najprościej i najzgrabniej połączyć „miasto” i „krew”, mieszcząc się w zadanych wytycznych?

Oczywiście przy pomocy „arterii”. Może niezbyt oryginalnie, ale to dobra baza dla efektownego komunikatu.

Wpisuję w Google’a „mapa Warszawy”. Patrę na grafiki. Jeśli spojrzeć na plan miasta pod odpowiednim kątem, przypomina kształt ludzkiego serca, Wisła przecina na skos komory.

Widzę to tak: grafika utrzymana w stylistyce plakatu. Ciemne barwy. Warszawa jako ludzkie serce, z naniesionymi głównymi arteriami komunikacyjnymi i symbolicznie zaznaczonymi miejscami, w których staną te mobilne punkty. Krzykliwe hasło:

NIECH ARTERIAMI POPLYNIE KREW

Szybko spisuję mój pomysł. Jest osadzony na chyba nie najgłupszej grze znaczeń, w pierwszym odruchu łatwo go uznać za wezwanie do przemocy. Waham się jeszcze chwilę, czy nie pójść dalej, nie zaryzykować nawiązania do estetyki radzieckiego plakatu propagandowego. Zaraz pojawia się jednak uczucie, które znam doskonale i któremu nauczyłem się wierzyć – jest dobrze i niech już tak zostanie, nic lepszego nie wymyślę, mogę kombinować, ale tylko zepsuję.

Ładnie formatuję plik z zadaniem, zapisuję go i natychmiast wyłączam Worda. Otworzę za dwie godziny, przeczytam na spokojnie, poprawię błędy i wyślę.

Zastanawiam się, czy wymyślili to zadanie specjalnie na potrzeby tej konkretnej rekrutacji, czy rzeczywiście robią duże kampanie społeczne. Praca przy takich projektach byłaby ciekawym doświadczeniem, na pewno bardziej rozwijającym niż pisanie na kilogramy kiepskich żartów o płatkach śniadaniowych.

Mam trzydzieści jeden lat, od sześciu z hakiem pracuję w reklamie. Wstukałem w klawiaturę dobry milion słów, z których nie wynikało absolutnie nic – nawet ich wartość sprzedażową trudno zmierzyć.

Dojrzałem już chyba do tego, żeby dla odmiany porobić w życiu coś pożytecznego.

Wysiadam z metra na Raławickiej. Niebo wisi nisko, szara płachta rozpięta byle jak nad miastem. Wychodzę z tunelu na ulicę i uderza mnie nagła myśl: świat to jednak tania prowizorka. Wszystko trzyma się tylko na słowo honoru, wystarczy byle mocniejszy podmuch wiatru, żeby rozpadło się w drzazgi.

Anna Karwińska z Regnum Lucidum zadzwoniła wczoraj z zaproszeniem na rozmowę, niecałą godzinę po tym, jak wysłałem zadanie próbne. Umówiliśmy się dzisiaj na jedenastą. Widocznie naprawdę zależy im na czasie, co odbieram jako bardzo dobry znak. Prawdopodobnie nie mam silnej konkurencji.

Biuro znajduje się zaraz przy wyjściu z metra, w jednej z kamienic na Niepodległości, ponurych jak grobowce. Niemal na każdej fasadzie tablice upamiętniają ofiary powstania warszawskiego. Znajduję numer na domofonie, dziwię się, że nie jest w żaden sposób opisany. Generalnie nic nie wskazuje, by znajdowała się tu siedziba agencji reklamowej. Sprawdzam adres jeszcze raz – zgadza się. Dzwonię.

– Parter – słyszę w głośniku kobiecy głos. Drzwi klatki schodowej otwierają się z głośnym brzękiem zamka elektrycznego.

Wchodzę, stoję przed wejściem do mieszkania numer dwa. Nim zdążę wyciągnąć rękę do dzwonka, drzwi się otwierają. Stoi w nich Karwińska, rozpoznaję ją od razu: szczupła, wysoka szatynka. Spięte włosy, okulary, marynarka i buty na obcasie. Klasyczna biurowa madonna. Na pewno obsesyjnie dba o porządek na biurku, wypija pięć mocnych kaw dziennie i ma tu z kimś starannie maskowany romans.

– Cześć, Szymon. Zapraszam.

Biuro pachnie niedawnym remontem. Jest malutkie, dwa pokoje, kuchnia, łazienka.

Anna widzi, że się rozglądam.

– Zaskoczony, że taki mały metraż? – Śmieje się. – Tutaj tak naprawdę

tylko spotykamy się z klientami. Zespół pracuje na poddaszu, tam mamy większy lokal.

Prowadzi mnie do mniejszego pokoju – biurko, dwa krzesła i niemal pusty regał. Jesteśmy sami.

– Chcesz coś do picia? Kawa, herbata, woda?

Proszę o wodę, Anna wychodzi do kuchni. Wbrew pierwszemu wrażeniu coś w tej kobiecie budzi sympatię. Ma ładne, ciepłe oczy i bardzo przyjemną barwę głosu, mogłaby pracować w radiu. To trochę zaskoczenie, bo na zdjęciu w LinkedIn wyglądała raczej na zimną biurwę.

Wraca ze szklanką i butelką wody mineralnej. Nalewa mi i siada za biurkiem, otwiera laptopa.

– Zaraz przyjdzie Piotr, czyli, mam nadzieję, twój przyszły szef. Z nim porozmawiacie już konkretniej, ja tylko odhaczę formalności – mówi, jakby mnie przeproszała.

Opowiada pokrótce historię firmy. Na rynku działają od niedawna, nieco ponad pół roku, ale trzon zespołu stanowią bardzo doświadczeni ludzie. Ich klienci to w większości marki związane z jedną grupą kapitałową, stopniowo pozyskują kolejnych. Spora część projektów to kampanie społeczne, zadanie testowe nawiązywało do jednej z nich, którą rzeczywiście będą prowadzić. Formalnie są start-upem rozwijanym z pieniędzy inwestorów, ale wolą o sobie myśleć jak o grupie zdolnych freelancerów, którzy po prostu pracują razem. Zdarza się, że roboty jest sporo, ale nikt nie oczekuje kiblowania po godzinach.

Podoba mi się to. Anna opowiada rzeczowo, unika HR-owych banałów, całego tego bullshitu, okrągłych zdań o „dynamicznym rozwoju, przyjaznej atmosferze i orientacji na cele”. Mówi wprost, że interesuje ich przede wszystkim współpraca firma–firma, w najbliższym czasie nie planują nikogo zatrudniać na umowę o pracę, nie oferują też bonusów w postaci kart benefitowych – wolą wypłacać premie projektowe. Brzmi to wszystko uczciwie, podobnie zresztą funkcjonowało Cremè de la Creation.

Anna jest wyraźnie zadowolona, że odpowiadają mi warunki, które przedstawiła.

– Powiem wprost, Szymon. – Uśmiecha się, gdy jeszcze raz potwierdzamy kwotę, którą chciałbym widzieć co miesiąc na koncie. – Ja

jestem na tak.

W tym momencie do pokoju wchodzi zapowiedziany wcześniej Piotr.

– Przekazuję ci Szymona – mówi do niego Anna. Z udawaną dyskrecją pokazuje mu uniesiony kciuk, a gdy się żegnamy, uśmiecha się promiennie.

Piotr zajmuje jej miejsce za biurkiem. Ma może trzydzieści pięć lat, jest bardzo szczupły, gładko goli głowę. Podajemy sobie ręce, jego uścisk jest zadziwiająco silny, kontrastuje z łagodnym spojrzeniem.

– Jak wrażenie? – pyta, chyba szczerze zaciekawiony.

– Bardzo pozytywne – odpowiadam zgodnie z prawdą.

– Cieszę się. Anna uznała cię za najbardziej obiecującego kandydata, a gdy wczoraj zobaczyliśmy zadanie próbne, po prostu triumfowała. Bez kurtuazji, świetnie to zrobiłeś, jesteśmy pod wrażeniem.

– Dzięki.

– Jak już ci pewnie opowiedziała, twoja praca polegałaby w dużej mierze na opracowywaniu koncepcji właśnie takich, powiedzmy, nie do końca standardowych kampanii. Według naszej filozofii komunikacja marketingowa powinna być opowiadaniem wciągających historii. Chcemy intrygować naszych odbiorców, dawać im przede wszystkim opowieści. Snuć narracje. Odpowiada ci to?

– Jak najbardziej. Brzmi znacznie ciekawiej niż rzeczy, którymi zajmowałem się ostatnio.

Piotr spogląda na ekran laptopa. Kiwa głową.

– Crème de la Creation. Sporo czasu u nich spędziłeś, jak na dzisiejsze standardy. Cztery lata, trzy awanse, nominacje do nagród... Bardzo klarownie u ciebie ta ścieżka kariery wygląda.

– Dobrze się tam pracowało, po prostu.

– Nie kusilo, żeby próbować nowych rzeczy? Większych wyzwań?

– Zależy, co przez to rozumieć – mówię ostrożnie. – Myślałem o przejściu do większych agencji, jasne, ale bałem się, że zamiast wyzwań będzie tylko więcej biurokracji. Powiedzmy, że nie jestem wielkim fanem kultury korporacyjnej.

Uśmiecha się, chyba podoba mu się moja odpowiedź. Przez chwilę milczymy. Wreszcie pyta:

- Wiesz, co znaczy nazwa naszej firmy? Regnum Lucidum?
- Nie wiem – przyznaję. – Nie sprawdzałem tego. Coś ze światłem?
- Królestwo Światła.
- Ładnie.

Znowu na chwilę zapada cisza; Piotr zamyślił się nad czymś.

– Słuchaj, Szymon – mówi. – Jak pewnie widzisz, kompletnie nie potrafię prowadzić rozmów rekrutacyjnych. Odkąd zobaczyłem zadanie próbne, jestem przekonany, że potrzebujemy właśnie ciebie, i nie widzę powodu, żeby cię tu dzisiaj dłużej męczyć. Dogadałeś się już z Anną na temat warunków?

- Tak, są spoko.
- Kiedy możesz zacząć?
- Od zaraz.
- Możesz przyjść już jutro? – Jakby nie dowierza.
- Jasne.

– Kapitalnie. Zapraszamy. Lokal, w którym pracujemy, jest na samej górze, pod czterdziestką. Tu masz zapisany kod do domofonu. – Wręcza mi wizytówkę. – Przyjdź jutro, o której będzie ci pasowało. Podpiszemy umowę, przedstawię cię ekipie... i zaczniemy zmieniać świat.

- Zatem jesteśmy umówieni.

Podajemy sobie ręce, Piotr odprowadza mnie do wyjścia.

Szybko poszło. Zastanawiam się, co bardziej podoba mi się w perspektywie pracy dla Regnum Lucidum – ciekawe i chyba naprawdę sensowne projekty czy to, jak mocno dali odczuć, że im na mnie zależy.

Zacząłem zapominać, jak to jest, gdy komuś na mnie zależy. Naprawdę przyjemne uczucie.

10

Słowa, które właśnie usłyszałem, nie chcą wybrzmieć, odbijają się echem od ścian wnętrza głowy, stają się tylko zwielokrotnionym, pozbawionym sensu rykiem. Muszę przystanąć, nabrać w płuca zimnego powietrza. Ciężar zakupów w plecaku nagle ciągnie ku ziemi, ledwo utrzymuję równowagę. Dobry Boże.

– Jeszcze raz, spokojnie – mówię.

W słuchawce Gośka ledwo powstrzymuje szloch.

– No, mówię ci, Szymek. Ewel zaginęła. Nie ma z nią kontaktu od piątku.

– Nie pokłóciłyście się o nic?

– Proszę cię. Dzwoniłam ja, ojciec dzwonił, matka też wydzwania... Nic, wyłączony telefon, nie oddzwania, nie odpisuje na esemesy.

Podnoszę wzrok ku niebu. Chmury kłębią się coraz gęstsze, za chwilę znowu lunie deszcz. Warszawa pachnie gnijącymi liśćmi.

– Wiesz, że nie mam z nią żadnego kontaktu, nie pomogę, choćbym...

– Choćbyś chciał – kończy za mnie. – Wiem, Szymek. Słuchaj...

Słyszę moment wahania.

– Aha?

– Nie masz pomysłu, do kogo ona mogła się od ciebie wyprowadzić? Z kim zamieszkała?

A więc Gośka nie wie. Nie dziwi mnie to w ogóle.

– Niestety. Nie mam pojęcia, z kim się spotykała. Raz przyprowadziła jakichś kretynów z pracy na imprezę, ale nawet nie pamiętam ich imion. Mogę spróbować podpytać Kamila, to ziomek, który pomógł załatwić dla niej robotę. Tak podejrzewam, ale nie mam pewności. Zresztą rudy sam się do was nie zgłosił?

– Nie. Nie udało nam się dotąd ustalić, kto to jest. Popytaj, Szymek, proszę.

– Pisałaś do niej na fejsie?

– Na fejsie, WhatsAppie, wszędzie. Nawet nie wyświetliła żadnej wiadomości.

– Mnie wszędzie pablokowała.

– Wiem, to znaczy domyślam się... Wiem, jaka ona jest.

W słuchawce zapada cisza.

– Wszystko będzie dobrze – mówię.

Gośka się rozkleja.

– Wszędzie teraz pokazują tę zaginioną dziewczynę z Warszawy – mówi z trudem. – Sam rozumiesz.

– Rozumiem. Tak jak mówię, zadzwonię do Kamila, ale bardziej chyba nie jestem w stanie pomóc. Zobaczysz, ona zaraz się znajdzie. Może nie ma teraz netu w chacie, a telefon jej ukradli i nie pomyślała, żeby się do was odezwać... Siedzą sobie we dwoje i nawet nie wiedzą, że panikujecie.

– To nie w jej stylu, Szymek. – Szłocha. – Zawsze mówiła, gdzie jest.

Gryzę się w język.

– Gosia, jak mówię. Zrobię, co w mojej mocy.

Pociąga nosem.

– Dzięki, Szymek. Kochany jesteś.

– Trzymaj się mocno, młoda. Będzie dobrze.

Rozłącza się. Stoję bez sensu pośrodku chodnika z telefonem w ręce. Ekran gaśnie. Zastanawiam się, co właściwie mogło się stać. Zastanawiam się, co właściwie powinienem poczuć.

Bo nie czuję zupełnie nic.

Do mieszkania mam już dosłownie parę kroków, pokonuję je sam nie wiem kiedy. Odruchowo wklepuję kod do domofonu. Winda czeka na parterze, wsiadam, wybieram piętro, kabina niechętnie rusza. Otwieram drzwi do mojej pustelni, zdejmuję plecak, zdejmuję buty, rozbieram się. Wypakowuję zakupy, chowam jedzenie do lodówki.

Wyjmuję telefon, wybieram numer, pod który dzwoniłem w ostatnich miesiącach niezliczoną ilość razy.

Abonent nie odpowiada albo ma wyłączony telefon, uprzejmie informuje automat.

Kiwam głową. Staję w oknie, patrzę na świat z wysokości dwunastego

piętra. Zapada zmierzch.

* * *

Dwa miesiące temu szalałbym, rwał włosy z głowy i dzwonił po znajomych, żeby zorganizowali mi jakieś leki na uspokojenie. Dwa tygodnie temu poczułbym prymitywną, okrutną satysfakcję. A teraz, choć szukam w sobie bardzo głęboko, nie znajduję żadnych emocji.

Włączam laptopa, wchodzę na gazetę.pl. Przewijam stronę główną wiadomości lokalnych. Widzę to, czego się spodziewałem.

Ewelina spogląda ze zdjęcia, które znam doskonale – bo sam je zrobiłem. Nie potrafię robić zdjęć, portretów w szczególności, ale ta fotka mi się udała, jakimś cudem uchwyciłem lekko ironiczny półśmiech, w którym wiosną zakochałem się bez pamięci. Nie tak dawno na myśl o tym, że będę go widywał codziennie, czułem szczęście. Dopiero co pogodziłem się z myślą, że nie zobaczę go już nigdy.

WIDZIAŁEŚ JĄ? ZAGINEŁA 27-LETNIA EWELINA KULICZKA, alarmuje nagłówek. Poniżej link prowadzi do artykułu *Kolejne zaginięcie młodej kobiety w Warszawie*.

Nie klikam w żaden z nich. Nie chcę wiedzieć, skąd wracała, z kim widziano ją po raz ostatni. Nie mam też ochoty czytać chamskich komentarzy, jakie na pewno zdążyły pojawić się pod tekstem.

To zapewne skrajnie małostkowe i mam tego pełną świadomość, ale jakaś część mnie cieszy się, że to już nie moja sprawa, nie mój powód do zmartwienia. Szkoda mi Gośki, nawet nie próbuję sobie wyobrazić, jak mocno młoda musi przeżywać zaginięcie siostry.

Jeszcze przez chwilę patrzę na to zdjęcie. Niedawno miałem je ustawione jako tapetę w telefonie. Oczy Eweliny są ciemne, ciemniejsze niż w rzeczywistości. Martwe piksele, tunele donikąd.

Idę do kuchni, wyjmuję z lodówki piwo. Znów zatrzymuję się w oknie. Warszawa rozbłyska już światłami.

Ciekawe, dokąd pojechała wtedy, tamtego wieczoru, z pociesznym idiotą i rudym cwaniaczkiem. Zamieszkała z nim, od razu to wyczułem, ciekawe tylko gdzie, w której części miasta. Może widzę stąd jego okno? Może

gnojek stoi w nim i wypatruje Eweliny, cały oszalały z niepokoju? A może wypatruje kogoś zupełnie innego?

Jeśli nie skontaktował się z rodziną Eweliny do tej pory, teraz nie będzie już miał wyjścia. Pewnie czeka go przesłuchanie. Pewnie nie spał całą noc.

Dobrze ci tak, chujku rudy, jakkolwiek masz na imię. Dobrze ci tak. Może myślisz teraz o mnie i szczerze żałujesz, że to ty stałeś się częścią tej historii?

Unoszę piwo. Mam nadzieję, że twoja dziewczyna jednak się odnajdzie, nie życzę jej źle. Tobie też nie. Ale nie mam nic przeciwko temu, żebyś z nerwów nie przespał kolejnych nocy.

Widzę w szybie swoje odbicie na tle rozedrganego w deszczu miasta. Uśmiecham się.

A jednak coś czuję. Czuję się dobrze, tak po prostu. Wiem, że nie powinienem, ale nie potrafię z tym walczyć, nawet nie zamierzam próbować. Staram się tylko nie napawać tym uczuciem. Nie wypada, Szymon. Nie wolno. Mówię na głos:

– Zachowaj choć trochę godności.

Królestwo Światła zajmuje dwa duże, połączone ze sobą mieszkania na poddaszu kamienicy. Kiedyś znajdował się tu strych, jakieś komórki i suszarnie, przez co geometria pomieszczeń wydaje się mocno nieoczywista. Piotr twierdzi, że kamienica jako jedna z nielicznych w okolicy przetrwała powstanie warszawskie bez większych uszkodzeń.

W pokoju siedzę z nim i dwójką grafików, Zuzą i Cyprianem. Gdy już się wdrozę, utworzymy jeden team kreatywny. Zuza farbuję włosy na soczystą zieleń, a na jej ramionach, szyi i dekolcie wiją się gęste linie tatuaży. Staram się nie przyglądać zbyt nachalnie, ale zdaje mi się, że rozpoznaję wzory z peruwiańskiego płaskowyzu Nazca. Dziewczyna siedzi wpatrzona w ogromny monitor, nieruchoma, tylko uzbrojona w rysik dłoń śmiga po tablecie. Z kolei Cyprian to zwalisty niedźwiedź z ogoloną głową i długą, trochę zaniedbaną brodą. Kiwa głową w rytm metalowych riffów, którymi ogłusza się z wielkich słuchawek.

Gdy tylko ich zobaczyłem, poczułem, że będzie nam się dobrze pracować.

Łącznie firma zatrudnia obecnie około piętnastu osób. Twarze i imiona będą mi się mylić jeszcze przez dłuższy czas. Szef i założyciel Regnum Lucidum, Adam Sommer, siedzi z Anną w pokoju na drugim końcu biura. Wygląda jak przeciwieństwo Dawida z Cremè, choć muszą być w podobnym wieku. Szczupły, zadbany, z wymodelowanym zarostem i w hipsterskich okularach, przypomina raczej modela z katalogu ekskluzywnej męskiej marki odzieżowej niż CEO agencji zajmującej się marketingiem. Zamieniłem z nim kilka zdań, podpisując umowę. Mówił z leciutkim, ale wyczuwalnym akcentem, jak bardzo dobrze zasymilowany obcokrajowiec.

– Adam jest Polakiem? – pytam z ciekawości Piotra.

– Tak, posiada obywatelstwo.

Nie drążę tematu.

Biuro urządzono bardzo prosto, ale funkcjonalnie. Mamy wygodne

krzesła i duże biurka, kuchnia jest dobrze wyposażona. Królestwo Światła najwyraźniej nie podąża za start-upowymi trendami, firma nie zainwestowała w pokój do gier wideo, hamaki ani zestawy do minigolfa. Jak to ujęła Anna:

– No, raczej „Forbes” nie zrobi fotorelacji z naszej kanciapy, ale za to pracuje się wygodnie. Mnie to pasuje.

W firmie panują bardzo luźne zasady. Nie ma konkretnych wymagań dotyczących godzin, w razie potrzeby można pracować z domu, byle dotrzymywać terminów. Nikt nikogo nie kontroluje, jesteśmy dorosłymi ludźmi. To z kolei pasuje mnie. Postanawiam, że spróbuję wysondować, czy nie dałoby się ściągnąć tu Doroty.

Piję kawę i kończę instalować Office’a na laptopie. Piotr zdążył już trzy razy zapytać, czy nie potrzebuję jakiegoś konkretnego oprogramowania do wygodnej pracy, czy chcę mieć zewnętrzny monitor i klawiaturę, czy na pewno odpowiada mi krzesło i czy miejsce w pokoju jest w porządku, bo jeśli wolę siedzieć na wprost drzwi, może się ze mną zamienić.

Zuza przeciąga się. Dobrze mi się zdawało – pod ostro zarysowanymi obojczykami ma wytatuowane figury z Nazca. Ależ jest zgrabna. Nie ma mowy, żebym zamienił się z Piotrem miejscami: zza jego biurka zielonowłosa graficzkę zasłaniałby monitor.

Również Cyprian odrywa się od Photoshopa. Zdejmuje słuchawki, kręci głową, głośno strzela mu coś w karku.

– Jakies żarcie bym zamówił – mówi. – Co wy na to? Opędzujemy coś?

– Ja dzięki. – Piotr kręci głową.

– Młoda?

– Chińczykiem nie pogardzę – przyznaje Zuza.

– Szymon?

– Jasne, czemu nie.

– Przez neta zamówię, chodźcie wybrać.

Stajemy mu nad głową.

– Sajgonki chcę – mówi Zuza. – Te z warzywami.

Przeglądam menu.

– Kurczaka mają niezłego i wołowinę – podpowiada Cyprian. – Za to

kwetki chyba najgorsze w mieście. Zobacz, jakie tanie. To pułapka.

Wybieram kurczaka w pięciu smakach, odliczam należność i wręczam gotówkę wielkoludowi. Zuza nie ma przy sobie pieniędzy, rozliczą się jutro.

– Musimy jakieś apki ogarnąć do zamawiania razem – mówi. – W poprzedniej robocie ludzie z czegoś takiego korzystali, sprawdzało się.

Pół godziny później siedzimy już w kuchni we troje. Kurczak rzeczywiście daje się zjeść.

– Jak wrażenia? – pyta Zuza znad sajonka. – Podoba się w Królestwie?

Cyprian śmieje się tubalnie. Nieco sosu kapie mu na brodę.

– Jakie wrażenia można mieć po trzech godzinach? Lalka, litości.

– Spoko – mówię. – Podoba mi się.

– Tak między nami... – Zuza puszcza do mnie oko. – To Anka zapowiadała cię tu jak jakiegoś mesjasza.

– Serio?

– Serio. Pokazała nam twój pomysł na tę kampanię o oddawaniu krwi, faktycznie zajebisty. Skąd do nas przychodzisz?

– Crème de la Creation.

Nazwa oblała im się o uszy, ale to tyle. Cyprian trafił tu z dużego domu mediowego, jest na pokładzie właściwie od samego początku. Zuza pracowała wcześniej w raczej niszowym wydawnictwie, Regnum Lucidum zwerbowało ją dwa miesiące później. Obojgu póki co bardzo się podoba. Nikt nie wpieprza im się w kompetencje, klienci nie są szczególnie uciążliwi, mają duże zaufanie do agencji i praktycznie nie zdarzają się prośby o bezsensowne poprawki. Przelewy przychodzą zawsze na czas, byle pamiętać o terminowym wystawieniu rachunku. I naprawdę nikt nie rozlicza z wysiedzianych przy biurku godzin – nie ma problemu, żeby wyjść coś załatwić albo urwać się wcześniej. Pracować z domu można, gdy tylko ma się ochotę, ale właściwie po co, skoro tu taka dobra kawa.

Rozmawiamy sobie tak jeszcze kwadrans, potem wracamy do biurka. W międzyczasie informatyk Adrian skonfigurował mi sieć i zainstalował drukarkę, wszystko działa już, jak powinno. Dziś nie mam jeszcze żadnego konkretnego zadania, więc tylko patrzę na dotychczasowe realizacje Królestwa, do których linki podrzucił mi Piotr, przyjmuję nowych kolegów do znajomych na Facebooku i przeglądam ich profile.

Po jakiejś godzinie idę do domu, przekonany, że jednak szczęście nie opuściło mnie do końca. Wszystko wskazuje, że przynajmniej z pracą nie mogłem trafić lepiej.

Wracam do samotni na Granicznej jeszcze przed piętnastą. Otwieram komputer i widzę, że na Skypie dobijała się do mnie Gośka. Pisała też na Messengerze, wcześniej nie zauważyłem. Nie próbowała dzwonić na komórkę – czyli albo nic bardzo pilnego, albo młodej tradycyjnie skończyły się środki na karcie.

Piszę w oknie czata, że już jestem. Nie mija dziesięć sekund, gdy charakterystyczna melodyjka oznajmia nadejście połączenia.

– No hej – odbieram.

W okienku pojawia się niewyraźna twarz Gośki. Zabawnie sterczy jej grzywka. Dziewczyna robi przestraszoną minę i znika, wyłącza kamerkę. Teraz widzę tylko jej awatara, uśmiechniętą Elbę z filmu *Frozen*.

– Jezu, przepraszam – mówi głos Gośki. – Jak ja wyglądam...

– Dobrze wyglądasz. Co tam, młoda?

– No nic nowego, Szymek. Wciąż zero kontaktu z Ewelina...

– Przykro mi to słyszeć.

– Słuchaj... – Waha się chwilę. – Pisałeś, że ten kumpel, który załatwiał Ewel pracę, jest teraz za granicą, tak?

– Tak jest. Kamil siedzi z żoną do końca tygodnia w cholernym Wietnamie. W necie są z doskoku, tylko żeby wrzucać nowe fotki na insta.

– Zazdro. Słuchaj, skoro on teraz nie pomoże... Tak sobie pomyślałam...

– Aha?

– Szymek, bo widzisz, ja wiem, co ona zrobiła, i że pewnie masz to w ogóle w dupie. – Głos zaczyna jej drżeć. – I oczywiście rozumiem, masz pełne prawo, wstyd mi za nią. Ale to moja siostra jest...

– Gosia, spokojnie – staram się zabrzmieć najłagodniej, jak potrafię. – Jak mogę pomóc?

– Moglibyśmy przejrzeć profile osób, które dodawała w ostatnim czasie do znajomych? Może rozpoznasz tego chłopaka.

– Zablokowała mnie, wiesz o tym, nie mogę nawet wejść na jej profil.

– Wiem, ale przecież ja mam ją w znajomych. Będę ci podsylać linki, może akurat gościa po zdjęciu rozpoznasz, to zawsze coś.

Wzdycham. Miałem nadzieję rozsiaść się przed konsolą, ale nie potrafię odmówić Goście. Rodzice zachowali dla niej chyba w komplecie geny, których poskąpili starszej o sześć lat siostrze – zwłaszcza te odpowiadające za empatię i uczciwość. Gdy zacząłem spotykać się z Ewelina, siostry mieszkały razem w Mińsku Mazowieckim. Polubiliśmy się od razu. Po rozstaniu młoda zadzwoniła do mnie z płaczem i przepraszała, jakby to była jej wina.

– Pewnie. Dawaj.

Słyszę, że Gośka intensywnie klika.

– To laska, to też laska... – mruczy. – O, mam.

Odpalam link, który wyświetla się na czacie. To facebookowy profil Konrada Kruczkowskiego. Profil jest zamknięty dla nieznanym, widzę tylko zdjęcie profilowe – legitymacyjną fotkę, z której patrzy smętnie chudy okularnik z włosami jasnymi i kręconymi jak owieczka.

– Nie on – mówię. – Koleś, z którym wtedy przyszła, był rudy.

– Może ten?

Wchodzę na profil jakiegoś kibola Legii, podpisanego jako Łuki z Ł3. Zamiast zdjęcia profilowego ma ustawiony herb klubu, jako zdjęcie w tle – dymiące racowisko na Żylecie. Poza tym żadnych opublikowanych treści, jeśli nie liczyć niszowych piłkarskich memów.

– Wiesz co, nie podejrzewałbym jej...

– No ja też nie. A ten?

Dzień dobry, Karolu Lisiewski. Jak na ironię chłopak jest rzeczywiście rudy, ale na tym podobieństwa się kończą. Ma otwarty profil, przeglądam dodawane dopiero co zdjęcia. Groźnie łypie z nich długowłosa wiking w koszuli w kratę. Zapewne jest postrachem wszystkiego, co żywe, podczas sesji RPG z kumplami, czyta sagi fantasy i słucha power metalu. Nawet nie próbuję zagłębić się w jego profil.

– Znowu pudło. To kuc jakiś, tamten był taki raczej szczurkowaty.

Gosia wzdycha.

Kolejny link, kolejny profil. Artur Kamiński. Na zdjęciu profilowym – chichoczący pies Muttley z *Szalonych wyścigów*. Wzdycham również ja. Przeglądam, co Kamiński ostatnio publikował. Widzę kilka zdjęć, na których został oznaczony. Najświeższe sprzed dwóch tygodni: wysoki brunet obejmuje uroczą szatynkę, Ulę Kamińską. Podpis „z Dziubaskiem :*” sugeruje, że raczej nie chodzi o siostrzaną miłość.

- Widzę – uprzedza mnie Gośka. – Nie no, to chyba jednak bez sensu jest.
- Dużo ich jeszcze zostało?
- Niedawno dodanych? Cztery osoby, ale dwie to dziewczyny.
- To pokaż tych dwóch kolesi.

Pod pierwszym linkiem czeka profil Tomasza Byczewskiego. Tomasz Byczewski jest łyсы jak kolano, na oko ma jakieś pięćdziesiąt lat, pracuje w Szpitalu Praskim. Nawet nie komentujemy. Za to pod drugim linkiem widzę znajomą twarz

- Tego typu znam – mówię. – Był wtedy u mnie.

Patrzę na profil Jana Pietruszyńskiego, sympatycznego idioty, który pomagał Ewelinie przy wyprowadzce. Janek, tak miał na imię. Widocznie Ewelina nie wymieniała go nigdy z nazwiska, bo raczej bym zapamiętał.

- To on...?
- Nie on, ale pomagał im wtedy, razem wynosili jej rzeczy. Przyszedł też do mnie miesiąc wcześniej, gdy Ewelina zrobiła imprezę dla znajomych z pracy. Wydawał się całkiem w porządku. Musi znać się z rudym.
- O widzisz... – Gośka ożywia się. – Jan Pietruszyński. Super, odezwę się do niego.

- Odezwij się. Może coś będzie wiedział.
- Rany, Szymek, dziękuję ci bardzo. Nawet nie wiesz, jak...
- Spokojnie. Cieszę się, jeśli mogłem pomóc.
- A co w ogóle u ciebie?
- W porządku, dzięki. Zacząłem nową pracę, nie jest źle.
- Super! Wiesz, w ogóle to ja ci bardzo dziękuję, że po tym wszystkim chcesz jeszcze rozmawiać z kimś, kto się Kuliczka nazywa...
- Daj spokój, Gośka. Trzymam kciuki, żeby się wszystko z tą twoją rodzoną szybko wyjaśniło.

– Dzięki, dzięki wielkie. Będę lecieć, ogarnę tego Pietruszyńskiego.

– Leć. Trzymaj się mocno, młoda.

Gośka się rozłącza. Skype prosi, żebym ocenił jakość połączenia. Wybieram „bardzo dobra”, nie będę żałował.

Idę do kuchni, otwieram butelkę wody. Piję kilka dużych łyków. Nagle dopada mnie zwątpienie, czy Ewelina rzeczywiście zamieszkała właśnie z rudym, czy to z nim mnie zdradzała. Nie mam przecież żadnych dowodów, nawet poszlak, tylko przypuszczenia. Instynkt. Rudy by się już odezwał, szukałby kontaktu z jej rodziną. Może to jednak tylko kolejny znajomy?

Swoją drogą, jak łatwo jej przyszło znalezienie tabuna nowych znajomych, wystarczyło kilka tygodni w mieście, żebym zaczął gubić się w imionach. Ludzie lgnęli do niej jak ćmy do ognia. Nie próbowałem tego w żaden sposób kontrolować, wychodziłem z założenia, że im szybciej poczuje się w Warszawie swobodnie, tym lepiej. Nie chciałem, żeby zamykała się w mieszkaniu, skazana wyłącznie na moje towarzystwo. Kiwam głową. Wiarygodność mojego instynktu jest żadna.

Odstawiam wodę. Zmywam naczynia, których trochę zebrało się już w zlewie, staram się nie myśleć o niczym. Bezskutecznie. A jeśli rudy milczy, bo ma coś wspólnego ze zniknięciem Eweliny? Ledwie się wprowadziła, zaczęła kręcić z kimś innym, dowiedział się i w szale chwycił za pierwsze, co miał pod ręką, a teraz sam ukrywa się gdzieś na drugim krańcu Europy?

Odkładam gąbkę. Chlapię się po twarzy zimną wodą. Otrzeźwiej, człowieku, to już naprawdę nie twoja sprawa.

Wycieram ręce i wracam do pokoju. Siadam przed komputerem. Na Facebooku czeka wiadomość; otwieram.

Pisze do mnie nie kto inny jak Jan Pietruszyński.

Cześć Szymon jesteś?

Mam ochotę go zignorować, ale i tak widzi już, że przeczytałem.

jesteś??? – ponagla mnie.

Jestem.

Napisła do mnie Gosia, siostra Eweliny. Słuchaj, masz chwilę?

Nie mam, nie mam ani sekundy. Sam pomogłeś tej kobiecie zniknąć z mojego życia, człowieku. Palce aż świerzbią. Ale przecież jestem dobrym chłopakiem.

No, mam. Co jest?

Wyskakuje powiadomienie, że Janek zaprosił mnie do znajomych. W okienku czata animowany wielokropek zapowiada kolejną wiadomość. Matołek coś tam pisze, wpatruję się w ten wielokropek i jestem pewien, że za sekundę wykiełkuje z niego nowy wątek historii, której nie mam ani trochę ochoty rozwijać.

Śpię źle. W nocy budzę się kilka razy, w efekcie poranek przychodzi zbyt wcześnie, zastaje mnie zmęczonego i rozdrażnionego. Muszę zagadać do Wiki, ona zawsze ma tabletki na sen, porządne, z benzodiazepiną, jedyne, którym można wierzyć. Wika twierdzi, że bez nich nie byłaby w stanie zmrużyć oka.

W Regnum Lucidum melduję się po dziewiątej. Grafików jeszcze nie ma, Piotr siedzi w pokoju sam. Witamy się, włączam komputer, idę do kuchni po kawę.

– Chodź, zobacz – mówi, gdy rozsiadam się za biurkiem. – Mamy już pierwsze projekty.

Podchodzę zaciękawiony. Na ekranie laptopa wyświetla się baner z mapą Warszawy naniesioną na schematycznie narysowane ludzkie serce. Tło jest czarne, linie jasne, jak rysunek kredą na tablicy. Kluczowe punkty na mapie miasta zaznaczone są czerwonymi kropkami, również hasło NIECH ARTERIAMI POPLYNIE KREW jarzy się czerwienią.

– Zrealizujemy to w tej formie?

– No tak, Anna nie wspominała? Klient ponoć zgodził się od razu, bez żadnych zastrzeżeń.

– No proszę.

– Są jeszcze dwie wersje.

W drugiej wersji serce wygląda bardziej realistycznie. Siatka ulic Warszawy mocniej się od niego odcina, wszystko utrzymane jest w odcieniach czerwieni i bordo, tylko hasło świeci na białło. Trzecia wersja to już czysto komiksowa kreska, pozorny chaos w kompozycji, pstrokate kolory.

– Moim zdaniem pierwsza najlepsza – zastanawia się Piotr. – Kupuje mnie ten minimalizm.

– Mnie też najbardziej się podoba, tak to sobie mniej więcej wyobrażałem

– przyznaję. – Kto to rysował?

– Dwa pierwsze Zuza, trzeci to robota Cypriana. Też fajnie zrobił, ale moim zdaniem za mocno się zasugerował briefem od klienta. On tak ma, że gdy tylko padnie magiczne hasło „popkultura”, to najchętniej od razu by narysował album o Spider-Manie. Pierwszy projekt Zuzy najbardziej wprost nawiązuje do estetyki plakatu, tak jak to opisałeś.

– Zbriefowaliście ich na moje zadanie testowe? – dziwię się.

Piotr z uśmiechem kiwa głową.

– Dokładnie tak. Uznaliśmy z Anną, że nie ma sensu tracić czasu. Przygotowałeś to na tip-top, gotowy brief roboczy.

Mimo wszystko jestem zaskoczony. Ale nawet nie staram się ukrywać zadowolenia.

– A powiedz mi – zastanawiam się. – Podczas tej rekrutacji wielu kandydatów braliście jeszcze pod uwagę? Ktoś jeszcze oprócz mnie dostał to zadanie do zrobienia?

– Nie. Uznaliśmy, że wyślemy zadanie innym tylko wtedy, jeśli ty zrezygnujesz. Anna miała na oku kilka profili na LinkedIn i jakąś dziewczynę z polecenia, ale jak znalazła ciebie, postanowiła, że będzie walczyć do upadłego.

Kręcę głową.

– Słodzisz mi do tej kawy.

– Jeśli zobaczymy, że ci za bardzo ego tyje, weźmiemy cię w obroty, nic się nie martw.

– Trzymam za słowo. – Wracam do swojego biurka. – Masz już dzisiaj coś dla mnie?

– No, coś już niestety będzie. Nic spektakularnego, Anna dogadała wczoraj z klientem detale drugiej części kampanii, już na Facebooku. To właściwie nie powinno być zadanie dla ciebie, potraktuj je jako rozgrzewkę. Będziemy potrzebowali treści postów, które dokładnie wyjaśnią ludziom, o co chodzi, gdzie tę krew mogą oddawać i tak dalej. Prześlę ci zaraz mejla.

Po chwili dostaję wiadomość. Otwieram załącznik, wordowski plik z ramowym planem kampanii. Przeglądam na szybko – trzeba przygotować dosłownie dziesięć prostych postów. Uderza mnie jedna rzecz.

– Piotr? – pytam. – Właściwie dla kogo to robimy? Nigdzie nie pada

nazwa zleceniodawcy.

Piotr uśmiecha się szeroko.

– Dla dużej firmy, która planuje wejść na rynek sprzętu medycznego w Polsce. Ale to nie ma wielkiego znaczenia. Akcja nie będzie w żaden sposób obrandowana, klientowi na tym nie zależy.

– Ciekawe. Nigdy się z takim podejściem nie spotkałem.

– Prawdę mówiąc, dla nas to żadna różnica. Podejrzewam, że mogą być nie najlepiej kojarzeni z działań na innych rynkach, więc wolą zacząć od dobrego uczynku, zanim się ogłoszą.

– Pewnie tak – zgadzam się. – Na dzisiaj te posty potrzebne?

– Na jutro rano, odesłamy je razem z ostatecznym projektem banera. Ale super, gdyby dzisiaj można było coś już pokazać grafikom, bo jeśli klient zaakceptuje koncepty, od razu ruszymy z produkcją.

Siadam więc do pracy. Wytyczne są bardzo jasne, przekaz ma być prosty i jednoznaczny, tym razem żadnych błyskotliwych gier słownych, żadnego efekciarstwa. Szybko przygotowuję pierwszą wersję i zaczynam przeglądać newsy w sieci. Informacje o zaginionych Joli i Ewelinie pojawiają się już w ogólnopolskich mediach, ale nigdzie nie są numerem jeden. Nie nastąpił żaden przełom, nie wytypowano podejrzanych, najpewniej sprawy nie łączą się ze sobą.

Po jedenastej przychodzą Zuza z Cyprianem. Śmieją się głośno, słyhać ich z daleka. Zuza ma na sobie prostą tunikę i legginsy, Cyprian spraną bluzę zespołu metalowego z szalenie skomplikowanym, krzakowatym logo; wyglądają jak postacie ze współczesnego retellingu *Pięknej i Bestii*.

– Siema – rzucają od wejścia. – Widziałeś te projekty, Piter?

– Oglądaliśmy już z Szymonem, dobra robota. Pierwszy chyba weźmiemy, co sądzicie?

– Mówiłam! – cieszy się Zuza.

– Tak myślałem. – Kiwa głową wyraźnie rozczarowany Cyprian.

– Zuza, w nagrodę zrobisz grafiki do postów na fejsa, co? Kojarzysz, będzie rozwinięcie tej kampanii, dziesięć prostych obrazków. Szymon przygotuje teksty, usiądźcie sobie potem w konferencyjnej czy gdzieś i pomyślcie, jak to sprawnie ograć.

– Luz. – Graficzka się uśmiecha. – Szymon, o której?

– Za godzinę? Mam to już właściwie gotowe, przejrzę tylko i poprawię.

– Szybki jesteś. – Puszczą oko. – Niech będzie za godzinę.

Bierze z biurka kubek i idzie do kuchni. Staram się nie przypatrywać, jak tunika opina się na małych zgrabnych pośladkach. Tylko prześlizguję się wzrokiem po szczupłych udach w zielonych legginsach.

Mam wrażenie, że czuję na sobie rozbawione spojrzenie Cypriana. Udaję, że bardzo pochłania mnie ekran laptopa. Ziewam. Kawa się skończyła, potrzebuję drugiej. Czekam, aż Zuza wróci, i dopiero wtedy wstaję.

W kuchni przy ekspresie spotykam Adama Sommera, szefa Królestwa.

– Cześć, Szymon. – Podaje mi rękę. Ma na sobie prostą sportową marynarkę, pachnie dobrymi perfumami. Zabiera filiżankę z espresso. – Widziałem projekt tego banera, fajne to będzie, bardzo fajne. Dobra robota.

– Dzięki!

Mija mnie, uśmiecha się i pokazuje uniesiony kciuk. Kiwam głową. Zastanawiam się, czy szybko przywyknę do tych pochwał.

Łatwo mnie podejść. Najprostsze socjotechniki wystarczyły, żebym usiadł do komputera zmotywowany, z zamiarem szybkiego doszlifowania na wysoki połysk tekstów do postów o oddawaniu krwi. Wystarczyło parę miłych, a do tego nader autentycznie brzmiących słów, bym poczuł się w obowiązku wzbić na copywriterskie wyżyny. Przecież nie chodzi o to, że chcę zrobić wrażenie na Zuzie; widziałem na Facebooku, że ma chłopaka.

Patrzę w przejęte oczy Janka Pietruszyńskiego i zachodzę w głowę, po jakie лихо zgodziłem się z nim spotkać. Potrzebuję warsztatów z asertywności. Siedzimy u mnie w kuchni, dochodzi osiemnasta. Zapadł już zmrok.

– Piwa chcesz? – pytam.

– Autem jestem.

Kiwam głową. Wyjmuję sobie puszkę z lodówki.

– Może herbaty ci zrobić?

– A weź zrób.

Wstawiam wodę w elektrycznym czajniku, natychmiast żałując, że zaproponowałem. Mam nadzieję, że matoł przyszedł naprawdę na pięć minut, tak jak zapowiedział.

– To jeszcze raz, właściwie do czego jestem potrzebny?

Janek drapie się w głowę. Siedzi w za dużej ciemnozielonej bluzie z kapturem, gubi się w niej, wygląda jak groteskowa wariacja na temat dziecka w kapuście. Jak to się stało, że już trzeci raz wpuściłem go do mieszkania?

– Bo widzisz, tak naprawdę to widzieliśmy ich razem tylko ty i ja.

– Ewelinę z Marcinem. Z tym rudym.

– No.

– Tyle to zrozumiałem na czacie. Rozumiem też, że nie znałeś go wcześniej.

– No właśnie nie znałem. Tylko z opowieści Eweliny. Poprosiła, żebym im pomógł autem z przeprowadzką.

– Skąd on się w ogóle wziął?

– Z internetu. Z Sympatii. Tak mówiła.

Przygryzam wargę. A więc mieszkając u mnie, Ewelina szukała sobie faceta w sieci. Całowała mnie, gdy wychodziłem rano do pracy, i siadała

przy komputerze. Wieczorem rozmawialiśmy o tym, jak minął nam dzień, a gdy wychodziła do łazienki, ukradkiem sprawdzała w telefonie, czy nie dostała nowych wiadomości. Nagle boli: to paznokcie wbijają się we wnętrza dłoni.

– Mniejsza z tym. No dobra, widzieliśmy ich razem. I co teraz?

– Napisała do mnie ta jej siostra, że szukaliście Marcina i nie mogliście znaleźć. No a ja przecież byłem u niego z rzeczami, nie? Zapisałem adres w telefonie. To na Żoliborzu, na Broniewskiego, w tych wysokich blokach.

Woda się gotuje. Zalewam herbatę.

– Słodzisz?

– Nie, dzięki.

Podaję mu kubek.

– Janek, to dobrze, że masz ten adres. Myślę, że całkiem niegłupio by było, gdybyś zgłosił się z nim na policję. Ewelina jest poszukiwana, pewnie dawno przetrzepali jej konto na fejsie i esemesy, myślę, że znają już też adres, ale kto wie, może informacja okaże się przydatna.

– Jakby znali, toby nie było wiadomo?

– Nie mam pojęcia, nie pracowałem w policji. Pewnie nie chcą sobie utrudniać roboty, wiesz przecież, jak to wygląda. W mediach jest zawsze więcej spekulacji niż potwierdzonych faktów.

– No tak.

Nie wydaje się przekonany.

– Co byś chciał z tym zrobić? Pojechać tam?

– No na przykład.

– Po co?

– Upewnić się, że tam jej nie ma.

– Gdyby była, to przecież odezwałaby się do kogoś. Kiedy ostatnio przyszła do pracy?

– No, od początku tygodnia już jej nie było. Ale ja nie sądziłem, że coś jest nie tak, dopóki mi nie pokazali, że w internecie o niej piszą, no a teraz jeszcze ta jej siostra.

– Stary, jak masz ochotę, to jedź na Broniewskiego, dzwoń, krzycz do okien. Rzeczywiście niewykluczone, że wciąż nie wyszli po prostu z łóżka

i ze zdziwieniem zauważą, że to już cztery dni minęły.

– Śmiejesz się – mówi niepewnie.

– Nie śmieję. Dla mnie to oczywiste, że ona albo nie chce się z nikim kontaktować, bo coś jej nagle odbiło, uwierz, nie zdziwiłbym się wcale, no, albo się kontaktować nie może. Bo coś się stało. Miała wypadek, ktoś ją porwał albo zabił.

Janek podnosi na mnie wzrok.

– Mówisz o tym, jakbyś opowiadał o filmie.

– Chłopie, a jak mam mówić? – Denerwuje mnie to jego oskarżycielskie spojrzenie. – Przykro mi, że zaginęła, naprawdę. Mam nadzieję, że wszystko dobrze się skończy. Ale to nie jest moja sprawa, dokładnie od momentu, w którym razem z tym Marcinem wynieśliście stąd jej graty. Nie wiem, może gdyby tu została, nic by się nie stało. Mam nadzieję, że się znajdzie i będzie żyć długo i szczęśliwie.

Kiwa tym wielkim łbem. Już wiem: Muminka mi przypomina. Okrągły, blade, jakby ulepiony z surowego drożdżowego ciasta.

– U nas w firmie ludzie mówią, że to pewnie ty – mówi nagle.

– Co?

Chyba teraz dociera do niego, co powiedział.

– Ja oczywiście wiem, że nie, bo cię poznałem i widzę, że tak naprawdę jesteś w porządku – zastrzega. – Ale ci, co tylko od niej słyszeli, to różnie kombinują.

Spostrzegam, że trzymam wciąż zamkniętą puszkę piwa. Otwieram, upijam kilka łyków.

– Ja pierdolę. – Wzdycham. – Co ona o mnie opowiadała?

– No... – Waha się, patrzy na puszkę w mojej dłoni. – Że dużo pijesz. Że dopiero jak się wprowadziła, to zobaczyła, jaki jesteś naprawdę, znaczy się, że dziwny i trochę straszny. Że jej nie dawałeś pieniędzy, a wszystkie swoje wydała na przeprowadzkę do Warszawy...

– No kurwa mać. – Przez moment autentycznie brakuje mi słów. – Nie dawałem jej pieniędzy? Janek, czy ty wiesz, że ona wisi mi ponad kafla? To na kosmetyki potrzebowała, to na bilet do rodziców, na jakieś jebane imieniny, na coś tam jeszcze... Twierdziła, że odda zaraz, jak tylko jej się w pracy poukłada.

– Szymon, ja wiem, jak to bywa z dziewczynami. – Matołek unosi ręce, jakby się poddawał. – Mówię tylko, co ona ludziom opowiadała. Że ją chciałeś kontrolować, byłeś zazdrosny. Ja ci się zresztą przyznam, że jej wtedy wierzyłem.

– Dobra – mówię zrezygnowany. – Już mi chyba tej wiedzy wystarczy. Nie chcę wiedzieć nic więcej. Jedź na ten Żoliborz, chłopie, i przekaż jej pozdrowienia. Albo idź na komendę, tu na Nowolipiu jest, niedaleko. Cokolwiek. Po prostu nie chcę mieć z tym już nic wspólnego.

– Przepraszam. – Na dziecięcej twarzy durnia maluje się zakłopotanie. – Nie chciałem cię wkurzyć, Szymon. Ja ci mówię, jesteś w porządku.

– Spoko, dzięki.

Janek nie wie, co ze sobą zrobić. Dopija tę herbatę, chociaż jest jeszcze gorąca, krzywi się, chyba oparzył sobie język.

– Będę leciał – mówi. – Dzięki, że pogadaliśmy.

Podajemy sobie ręce, odprowadzam go do drzwi.

Czuję, jak wzbiera we mnie fala zimnej wściekłości. Z trudem powstrzymuję się przed uderzeniem pięścią w ścianę. Chcę otworzyć okno i krzyczeć na całą Warszawę, aż gardło zamieni się w krwawy strzęp. Chcę krzyczeć, że życzę, aby ten Marcin okazał się zwyrodniałym sadystą. Mam nadzieję, że od czterech dni przetrzymuje ją w jakimś bunkrze i na zmianę brutalnie gwałci, bije kluczem francuskim i topi w wiadrze z gównem.

Siadam przed konsolą i rozstrzeliwuję wrogów w nowym *Call of Duty*. Temperatura powoli opada, wkurwienie ustępuje. Ciekawe, czy w ogóle cokolwiek z tego, co od tej szmaty usłyszałem, było prawdą. Czy Ewelina Kuliczka jest fizycznie zdolna do mówienia prawdy. I ciekawe, jak to możliwe, że jej rodzona siostra to dobry człowiek.

Mija pół godziny, gdy Pietruszyński pisze na Facebooku. Osioł oczywiście pojechał na Żoliborz, dzwonił do domofonu i dzwonił, ale – o matko wszystkich niespodzianek – nikt nie odebrał. Chciał zaczekać, aż ktoś będzie wychodził, i wtedy wejść na klatkę, ale ludzie z okien zaczęli dziwnie mu się przyglądać, więc opuścił. W każdym razie nikogo tam chyba nie ma.

Nic mu nie odpisuję.

Przed miliardami lat dochodzi do podziału pierwszej komórki i odtąd jest już tylko gorzej. Ani się obejrzeć, a życie rozlewa się w ciepłych wodach praoceanu. Któreś z tych nieświadomych żyjątek, mieszkańców młodej Ziemi, to mój praprzodek. Widzę go, przysięgam, że widzę, jak prowadzi swój nieskomplikowany żywot prokariota. Wyobrażam sobie, ile wysiłku kosztuje go przekształcanie w mitochondrium pokarmu w energię. Doceniam brawurę, gdy za wszelką cenę dąży do podziału, bo gatunek musi trwać – to przecież nadrzędny cel organizmu, jedyny sens jego istnienia. Praprzodek ewoluuje, może się wydawać, że dopiero co wykształcił najprostsze organelle, a tu proszę, już ma strunę, już kręgosłup. Odradza się w coraz to bardziej złożonej formie. Sztafeta pokoleń wychodzi cało z kosmicznych katastrof. O, patrzcie go tylko, skurczybyka, już wypęła na ląd. Nie każdy dotarł tak daleko. Nie zliczę, ilu dramatów udaje się uniknąć, jak wiele razy ciągłość naszego rodu staje pod poważnym znakiem zapytania – zawsze jednak samiec znajduje odpowiednią samicę i zapładnia ją w porę, zanim odejdzie w nicość. Rodzą się kolejne młode. Wokół wybuchają wulkany, asteroidy kaleczą skórę Ziemi. Przodkowie porastają włosiem, wreszcie przyjmują postawę wyprostowaną. Planetę skuwa lód. Świszczą rzucone kamienie, śmigają strzały i włócznie. Ile pocisków mierzy w serca moich przodków? Ale chybiają, jakimś cudem. Aż trudno sobie wyobrazić takie nagromadzenie szczęśliwych przypadków, wydaje się nieprawdopodobne, aby wychodzić z takich opresji – a jednak. Teraz śmiga ołów, płonie ziemia i niebo płonie. A sztafeta trwa, nieprzerwanie od setek milionów pokoleń. Aż tu nagle, nie wiadomo kiedy – pałeczka trafia w moją dłoń.

Gdyby przodkowie, zaczynając od moich rodziców, a kończąc na czcigodnym pradziadku pierwotniaku, ustawili się kolejno pod oknem, końca tego szeregu nie dostrzegłbym nawet z wysokości dwunastego piętra.

Widzę ich, jak tak stoją, nieruchomi w ciemności. Wpatrują się w moje okno. Kiwam głową.

– I na chuj wam to było?

Piwo się kończy. Wszystko się kończy. Ruszyłem się do sklepu po więcej, ale skrajnie nie chce mi się wychodzić z mieszkania. To mój prywatny test na uzależnienie. Gdybym pisał autobiografię, mógłbym ją zatytułować *Zbyt leniwy na alkoholika*.

Siadam do komputera, przeglądam newsy. Na świecie ani w kraju nie wydarzyło się nic godnego większej uwagi, więc internet wciąż żyje zaginięciami Joli Kaczmarek i Eweliny. Praktycznie nie pojawiają się żadne nowe fakty. Rzecznik policji rzuca tylko mediom zdawkowe zdania, rodziny nie chcą w ogóle wypowiadać się publicznie. Ale ludziom to nie przeszkadza, prowadzą własne dochodzenie, sugerują rozmaite wątki. Zawsze mnie fascynowało, skąd biorą na to czas i energię. Jak bardzo beznadziejny trzeba wieść żywot, żeby wklepywać komentarze pod artykułami online, angażować się w jakieś piętrowe polemiki? Po spotkaniu z Jankiem powinienem zająć się czymś innym, ale nie mogę przestać czytać komentarzy. Dla internautów to oczywiste, że sprawy łączą się ze sobą. Ktoś rzekomo widział Jolę w Berlinie, ktoś inny Ewelinę na dworcu kolejowym w Gdyni. Dziewczyny mogły zostać porwane i sprzedane do luksusowych burdeli. Ktoś podaje link do artykułu z norweskiego portalu, tam również niedawno zaginęła młoda dziewczyna. To nie może być przypadek. Typ o nicku iamtheonewhoknocks79 w bardzo obszernym, za to ubogim w znaki interpunkcyjne komentarzu sugeruje, że za wieloma niewyjaśnionymi zaginięciami młodych ludzi w ostatnich latach stoją Rothschildowie, to na ich polecenie wynajęci siepacze porywają zdrową młodzież, aby stale uzupełniać prywatne banki organów na przeszczepy. Ktoś inny jest pewien, że nieraz widywał Ewelinę w Luzztrach, w towarzystwie mocno szemranym.

Przecież to widać na pierwszy rzut oka że takie jak ona najmocniej to lubią hajs i koks :) no a jak się lubi hajs i koks i ma się ładną buźkę to się czasem znika. Jakoś zawsze znikają takie lale z klubów dla bogatych a nie normalne dziewczyny.

Patrzę na to jej zdjęcie, próbuję wejrzeć głęboko w martwe piksele oczu. Może i racja. Widzisz, Ewelinko, mieszkałem z tobą, budziłem się obok,

śniadania razem jedliśmy, a cię nie poznałem. To anonim z internetu od razu się na tobie poznał.

Skrolluję dalej.

A może warto przyjrzeć się ich chłopakom, obecnym, byłym? Czemu nikt o tym nie wspomina? W 90% zabójstw sprawcami są bliskie osoby.

Z jakiegoś powodu tę wypowiedź czyta w mojej głowie kretyn Pietruszyński. Kimkolwiek jesteś, adriano.wlkp, grzecznie proszę: wy-pier-da-laj. Łatwo, zbyt łatwo przychodzi mi wyobrażenie sobie newsa o konieczności zbadania nowego wątku, wątku tajemniczego Szymona P., byłego chłopaka zaginionej. Rozstali się niedawno, to ona odeszła od niego. Detektyw Rutkowski podczas zwołanej naprędce konferencji ogłasza, że to wyłącznie jego starania doprowadziły do aresztowania podejrzanego. Z zeznań świadków, w tym Jana Pietruszyńskiego, kolegi z pracy zaginionej, wynika, że Szymon P. niejednokrotnie twierdził pod wpływem alkoholu, iż zamorduje Ewelinę Kuliczkę. ZABÓJSTWO Z MIŁOŚCI? – pyta „Super Express”. ZABIŁ, BO ODESZŁA! – wyrokuje „Fakt”. Zatrzymany nie przyznaje się do winy, ale też nie ma żadnego mocnego alibi: twierdzi, że feralnej nocy pił piwo i grał na konsoli.

Stop. Wystarczy. Odruchowo otwieram systemowy kalendarz, liczę dni. Jeśli się nie mylę, Ewelina zaginęła tej nocy, gdy z ludźmi z Crème de la Creation robiliśmy chlew w Fortyfikacji. Śmieję się sam z siebie, ale skłamałbym, twierdząc, że w ogóle nie poczułem ulgi.

W kolejnym komentarzu ktoś nawołuje, żeby przestać ferować wyroki, a zamiast tego pomodlić się w intencji szczęśliwego odnalezienia się zaginionych.

To musi być straszna próba także dla bliskich tych biednych dziewczyn, ludzie, miejcie chociaż trochę przyzwoitości.

O, temu apelowi mogę przyklasnąć.

Jest jeszcze dość wcześnie. Wstaję od komputera, idę do przedpokoju, wiążę buty, zakładam kurtkę. Pieprzyć to wszystko. Jednak potrzebuję więcej alkoholu.

Zjeżdżam windą. Niedaleko jest Żabka, ruszam w jej stronę, przypominam sobie, że trwa promocja na whisky. Cięży mi to milczące spojrzenie niezliczonych przodków; muszą być mną straszliwie rozczarowani.

Nową kartę przeglądarki otwieram w trybie incognito, jakbym wstydził się sam przed sobą. Pomysł, który właśnie przyszedł mi do głowy, wydaje się idiotyczny, ale przecież możliwość spędzania wieczorów na realizacji idiotycznych pomysłów to aktualnie moje największe bogactwo.

Początkowo zaskoczyło mnie, że zgodnie ze słowami Janka Ewelina znalazła nowego faceta właśnie na Sympatii. Niedawno przeglądałem w którymś branżowym magazynie analizę rynku portali randkowych i choć temat nieszczególnie mnie interesował, zapamiętałem, że już od kilku lat Sympatia pozycjonuje się raczej jako miejsce dla rozwodników koło pięćdziesiątki. Młodszy korzystają z Tindera. Po namyśle doszedłem jednak do wniosku, że działała bardzo racjonalnie – trudno byłoby ukryć przede mną Tindera zainstalowanego w telefonie. Wyszłoby na jaw, gdybym tylko zechciał sprawdzić. A na Sympatię można logować się bez pobierania żadnej aplikacji, po prostu przez przeglądarkę, wystarczy wejść w tryb incognito i przy odrobinie ostrożności nie pozostawi się żadnych śladów, które mógłby znaleźć laik. Dokładnie tak, jak robię teraz.

Założenie profilu trwa kilkanaście minut. Tworzę fikcyjną postać, wybieram pierwszy nick, jaki przychodzi mi do głowy. Symeon_stylita, dzień dobry. Dodaję sobie dwa lata, odejmuję kilka centymetrów wzrostu, zmieniam kolor włosów na blond, a oczu na niebieskie. Znajduję i kupuję za dolara odpowiednie zdjęcie na stocku, mam jeszcze dostęp do konta podpętego pod kartę kredytową Cremè de la Creation. Dawid wybacz, o ile w ogóle zauważy. Na wszelki wypadek zmieniam nasycenie barw, przycinam fotkę i wykonuję jej lustrzane odbicie; jeśli jakiś algorytm weryfikuje autentyczność zdjęć dodawanych przez użytkowników, tyle powinno wystarczyć, żeby go oszukać. Piszę o sobie kilka ogólnikowych zdań. Staję się fantomem z twarzą anonimowego modela, chyba jakiegoś Szweda, jeśli sugerować się nazwiskiem autora stockowego zdjęcia.

Po chwili wahania decyduję się wykupić konto Premium, kosztuje mnie

to trzy dyszki, które przelewam portalowi PayPalem. Nie potrafiłbym powiedzieć, właściwie po co. Chyba podpowiedziała mi to whisky z colą, którą sącę.

Mija parę chwil i mój profil jest już aktywny, mogę grasować po Sympatii do woli. Od razu przechodzę do wyszukiwarki. Wybieram kolejne kryteria – wiek 27 lat, 168–172 centymetrów wzrostu, szczupła budowa ciała, oczy szare, włosy czarne. Wyszukiwarka wypluwa ponad sześćdziesiąt profili. Przeglądam je uważnie jeden po drugim, widzę niewiele różniące się od siebie twarze i podobne banalne opisy.

Uśmiecham się. Właśnie znalazłem niszę na rynku: będę proponował użytkownikom Sympatii napisanie oryginalnych, ciekawie brzmiących tekstów, które wyróżnią ich profil. Pięć dych od sztuki, zwrot kasy, jeśli w ciągu tygodnia nie umówią się dzięki nim na randkę. Jesteś nieciekawą osobą, nie masz o sobie nic do powiedzenia? Nie martw się, doświadczony copywriter tak dobierze słowa, że przedstawiś się przyszłemu mężowi jako tajemniczna, intrygująca kobieta!

Dolewam sobie whisky, moczę usta i omal się nie krztuszę.

Jest, jest Ewelina. Tutaj jako jemcukierkinakolacje. Od razu rozpoznaję zdjęcie profilowe, przez długi czas miała je ustawione na Facebooku.

Nie jestem już białą kartką, mam swoją historię, którą staram się zrozumieć i wyciągnąć z niej wnioski. Wierzę, że najlepsze wciąż przede mną. Może właśnie z tobą?

Rozglądam się po jej profilu. Wszystkie zdjęcia pamiętam z Facebooka i Instagrama. Nie mogę zobaczyć daty ostatniego logowania, a żeby je ukryć, trzeba zainwestować w pakiet Premium. Zapewne poszły na to moje pieniądze, bo przecież stale twierdziła, że jest kompletnie spłukana. Przyglądam się opisowi „wymarzonego partnera”.

Napisz do mnie tylko, jeśli jesteś dojrzały, stabilny emocjonalnie i szukasz stałego związku.

– Kurwa mać.

Ewelinko, kochanie, pomyliłaś słowa, strasznie poplątałaś. Miałaś na

myśli: „napisz do mnie, jeśli jesteś frajerem, który zechce oddać mi swój czas, emocje i pieniądze, żebym mogła się chwilę pobawić, zanim znajdę sobie innego”, prawda?

Odstawiam szklankę, żeby za chwilę nie musieć wyciągać z dłoni kawałków szkła.

W pewien sposób wolałem wersję wydarzeń, w której Ewelina poznaje w nowej pracy przystojnego kolegę, a ten zawraca jej w głowie tak skutecznie, że po krótkiej walce z samą sobą ona decyduje się do niego odejść. Mimo wszystko brzmiało to lepiej niż decyzja o ucieczce do kogokolwiek, byle dalej. Ciekawe, kiedy właściwie założyła ten profil, kiedy zaczęła chodzić na randki. Jak mogłem nic nie zauważyć?

Piszę do niej wiadomość, walę w klawiaturę, jakby zrobiła mi coś złego.

Cześć, podoba mi się Twój opis. Chyba spełniam wymogi, pogadamy? :)

Wysyłam. Ciekawe, ile takich wiadomości otrzymywałaś, jemcukierkinakolacje. Ciekawe, na ile odpowiedziałaś, ile takich rozmów zaprowadziło cię do kawiarni, do restauracji, do łóżka.

Wylogowuję się. No przecież. Czuję, że serce bije szybciej. Wpisuję w oknie logowania jej nick, w pole hasła – to, którym logowała się wtedy na Facebooku, uderzam w enter. „Błędny login i/lub hasło”. Wpisuję hasło, którym logowała się na swoim komputerze do Windowsa i na Gmaila. „Błędny login i/lub hasło”.

Więcej haseł nie pamiętam, za żadne nie żałuję. Popijam whisky, dolewam do szklanki coli. Dawid zawsze się śmiał, że piję whisky jak dzieciak, mężczyźnie tak nie przystoi. Mam to gdzieś, lubię whisky z colą.

Loguję się z powrotem na swoje konto. Chcę napisać Ewelinie, co tak naprawdę myślę o jej opisie, ale w porę dociera do mnie, że to zły pomysł – jeśli się szybko nie odnajdzie, w toku śledztwa policja na pewno zawita także na Sympatię i dokładnie przeanalizuje każdą podejrzaną wypowiedź. Bezmyślnie przyglądam się wiadomości, którą jej wysłałem. Ostatnie, czego potrzebuję, to kłopoty.

Nagle pod szarym dymkiem z moją wypowiedzią pojawia się ikonka z zieloną parafką.

„Przeczytała Twoją ostatnią wypowiedź”.

Po chwili przychodzi odpowiedź.

Cześć. Czemu nie?

Wstaję od komputera. Serce wali mi w niezdrowym rytmie. Patrę na zegarek – dochodzi dwudziesta druga. Zamykam oczy. Patrę znowu – nadal dochodzi dwudziesta druga. Nie śnię.

Czuję, że kręci mi się w głowie. Otwieram okno, wciągam w płuca zimne powietrze, aż boli. Warszawę spowija całun mgły zmieszanej ze smogiem, światła są miękkie, nawet dźwięki jakies przytłumione. Idealna noc na rozmowę z duchami.

Siadam z powrotem. Zastanawiam się przez chwilę, dochodzę do wniosku, że muszę zaryzykować.

Głupio to zabrmi, ale trochę jesteś na zdjęciach podobna do tej dziewczyny, która teraz zaginęła :)

Upijam kolejny łyk drinka.

„Przeczytała Twoją ostatnią wypowiedź”.

Mija minuta. Odpowiedź się nie pojawia.

To taki żart był tylko! :)

Żadna odpowiedź nie pojawia się też po pięciu minutach, ani po dziesięciu.

Nie pojawi się nigdy.

Whisky mówi: ktoś tu brzydko z kimś pogrywa, Szymonku.

Trochę się już gubię wśród otwartych zakładek w przeglądarce. Trochę się już gubię w tym wszystkim. Ewelina wciąż patrzy na mnie ze zdjęcia profilowego na Sympatii, zjawia w formacie jpg. W okienku czata wciąż widzę jej wypowiedź. Zrobiłem zrzut ekranu, zapisałem na pulpicie, ale zaraz skasowałem.

Zastanawiam się, czy nie odezwać się do Gośki, widzę, że jeszcze nie śpi, jest dostępna na Messengerze. Nawet otwieram okienko rozmowy, ale zaraz rezygnuję. Niby co miałbym napisać? Nic się nie martw, młoda, Ewelina ma się dobrze, siedzi sobie na Sympatii i łowi fagasów? Przez bardzo krótką chwilę czuję absolutną pewność, że to nie ona odpisała na moją wiadomość. Przez bardzo krótką chwilę czuję wątpliwość, czy ona w ogóle kiedykolwiek istniała.

Whisky mówi: Szymonku, może lepiej włącz sobie jakąś grę.

Sprawdzam, czy nie odblokowała mnie na Facebooku. A skąd, nie mogę wyświetlić jej profilu, nie widzę jej komentarzy pod postami znajomych, lajków. Na Facebooku przestała istnieć. Nigdy nie publikowaliśmy wspólnych zdjęć. Jedyne miejsce, w którym pozostaje obecna, to historia rozmów na Messengerze. Zapis naszej znajomości, wielka księga kłamstw i oszustw.

Wszystko zaczęło się od jej: *Cześć, przepraszam, że zawracam Ci głowę, a kończy na moim: Naprawdę nie musisz być skończoną kurwą, oddaj mi chociaż hajs i wtedy znikaj, rób, co chcesz, po którym kontakt urwał się na zawsze.*

Przewijam historię naszych rozmów, cofam się w czasie, sam nie wiem po co. Co chwilę Messenger dławi się, doładowuje starsze wiadomości. Ileż my ich napisaliśmy. Był czas, gdy pisaliśmy do siebie całymi dniami, gołąbki zakochane.

Kotek, słuchaj, a czy ja w ogóle zmieszczę ciuchy w Twojej szafie? Tam chyba tak średnio z miejscem...

Nic się nie martw, ja w połowie moich nie chodzę od dawna, zrobię Ci miejsce. Wywalę stare albo oddam do PCK.

Oddaj lepiej, szkoda wyrzucać, jak dobre.

No, dobre, dobre :)

Mówiłam Ci, że nie lubię emotek... czuję się, jakbym rozmawiała z dzieckiem.

Uch, no tak, pardon. W ogóle to można by kupić taką niby-szafę z Ikei, kojarzysz, taki jakby stelaż, szafa namiot, to kosztuje grosze, a pojemne, że hej.

Ale jak to będzie wyglądać...

No to zwykłą kupię, jest jeszcze miejsce w pokoju. Coś wymyślę.

Przewijam dalej. Wysłane znienacka zdjęcie, na którym pozuje dla mnie przed lustrem w przedpokoju. Ma na sobie tylko majtki i wysokie szpilki, czarne włosy falami opadają na ramiona. Nie wyłączyła lampy błyskowej, jej głowa wygląda, jakby eksplodowała białym światłem.

Przewijam dalej.

Co Ty właściwie masz tam w kuchni?

No jakieś talerze, kubki itd. Garnki i patelnię. Wszystko, co potrzebne do życia.

A mikser masz?

Nie mam...

Wyciskarka do czosnku?

No nie...

Nóż do sera?

Jezu, dziewczyno, ja tu tylko mieszkam, nie prowadzę restauracji...

No trudno, przywiozę wszystko. Będziemy mieszkać jak ludzie, kochanie.

Teraz to dla mnie jasne jak słońce: wcale nie zakochałem się w człowieku, tylko w obietnicy lepszego życia. Życia, w którym wracam nie

do mieszkania, tylko do domu. Życia, w którym ktoś na mnie czeka. Okazałem się bardzo, ale to bardzo łatwym celem. Nie musiała się nawet specjalnie wysilać, żeby przejąć nade mną kontrolę. Od samego początku dyktowała warunki. Omotała mnie jak ten upiorny grzyb, który infekuje mrówki w Amazonii, zmusza do opuszczenia mrowiska, a potem przeżera na wylot, rozsadza pancerzyk owada i wyrasta wysoko ponad martwe ciało, żeby rozsiać zarodniki.

Whisky mówi: Szymonku, masochisto, weź już to zostaw.

Wchodzę na jej Instagrama. Oczywiście, tam też mnie zablokowała, ale ponieważ prowadzi otwarte konto, wystarczy, że się wyloguję i wejdę jako anonimowy gość.

Nic się tu nie zmieniło. Ostatnie zdjęcie dodała nazajutrz po wyprowadzce ode mnie, choć myślę, że zrobiła je jeszcze tego samego dnia. Kartony z jej rzeczami stojące w czymś przedpokoju, a nieco głębiej, przy ścianie, jej buty i męskie air maxy. W opisie zdjęcia pytanie: „Gdzie dziś w Warszawie dobra impreza?”, hasztagi: #rocknroll, #yolo, #przeprowadzka. Siedemnaście polubień, wprawdzie nie mogę podejrzeć od kogo, ale pamiętam, że to chyba jedyne zdjęcie Eweliny na insta, którego nie polubiła Gośka. W komentarzach jakieś wywłoki trzymają kciuki, życzą powodzenia i wierzą, że odtąd już będzie świetnie.

Unoszę szklankę. Wasze zdrowie, zdziwy, coś słabo te kciuki trzymałyście. Przez bardzo krótką chwilę marzy mi się, aby po wejściu na gazetę.pl zobaczyć oznaczonego jako pilny newsa o znalezieniu zwłok Eweliny Kuliczki.

Ile tych zdjęć pochodzi z czasu, gdy byliśmy razem? Co najmniej kilkanaście. Publikowała rzadko, kolejne fotki dzielą od siebie dwa, trzy tygodnie. Jakiś pokraczny filtr zamienia widok z mojego okna w skrajnie kiczowaty pastisz weduty, brakuje chyba tylko hasztaga #Canaletto. Nie podejrzewam, żeby Ewelina wiedziała, kim był Canaletto. Dwa razy zaczynała studia na uniwersytecie ekonomicznym, zaocznie, pracując w tym czasie na recepcji w hotelu. Dwa razy rzucała po pierwszym roku. Wiedziałem od samego początku, że może nam brakować tematów do rozmowy, a intelektualnie dziewczyna zawsze pozostanie o pół kroku z tyłu – ale wtedy nawet mi się to podobało, odnosiłem wrażenie, że jej imponuję. Mówiła, że lubi mnie słuchać. Ciekawe, o czym tak naprawdę myślała, gdy

do niej mówiłem.

Kolejne zdjęcie to selfie na tle graffiti w jakiejś uliczce na Woli: Ewelina uśmiecha się, a za jej głową wściekle żółta litera O, bodajże z hasła „jebać Polonię”. Chyba wtedy powiedziałem jej pierwszy raz, że wygląda jak aniołek. Mój czarny aniołek.

Wycieczkę do Budapesztu w lipcu dokumentuje tylko jedna fotografia, widok na parlament, jakżeby inaczej. Dalej foto z Krakowa, z Gdańska, z jej rodzinnego miasteczka. Zdjęcia jedzenia zamawianego w restauracjach. Zdjęcia z Goską i chłopakiem Goški. Zdjęcia kawy i książek, które akurat czytała. Zdjęcia z koleżankami. Mnie nie ma na żadnym, nigdy nie było, choćby w domyśle, nawet cienia nigdzie nie rzucam. Już wtedy powinno mi to być dać do myślenia.

Krążę tak w pętli między Facebookiem a jej Instagramem, zaglądam jeszcze raz na Sympatię. Dolewam sobie whisky, dolewam coli, dolewam whisky, cola się kończy, więc piję bez coli. Oglądam zdjęcia, które mi wysyłała, patrzę na jej zgrabne nogi, na tyłek, małe, ale krągłe piersi. Wydaje mi się absolutnie nierealne, że tak niedawno ich dotykałem. Nie pamiętam tego dotyku. Nie chcę myśleć o Ewelinie ani sekundy dłużej, niech ona zniknie całkiem, żebym już nigdy nie musiał o niej myśleć.

Nie potrafię myśleć o niczym innym. Komputer na moment zawiesza się, zamiera, za dużo tych zakładek naotwierałem, i ja też się zawieszam.

Wreszcie whisky lituje się nade mną. Szymonku, pora już spać, mówi cicho z dna butelki.

Anna pochyła się nad moim biurkiem, czuję delikatny zapach jej perfum. Zdejmuję słuchawki.

– Aha? – staram się nie mówić w jej stronę.

– Dobre wiadomości. – Uśmiecha się. – Klient przyjął bez żadnych zastrzeżeń projekt banera. Już wczoraj im się spodobał, a ostateczną wersję nazwali, cytuję, „po prostu kapitalną”. Billboard jutro rano wyjdzie z drukarni.

– Super!

– Mają za to drobne uwagi do treści postów. Ale to naprawdę drobiazgi. Sforwarduję ci mejla może, co? Szybciej będzie.

– Jasne, nie ma sprawy.

Anna śmieje się.

– Jak na memach, blondyna na stanowisku forward manager. – Puszczą oko. – Cała kreacja zastanawia się, za co jej płacą.

– Kreacja to akurat ma się czym zająć – rzuca Cyprian. – Przecież te poprawki do mojej ulotki to dopiero są jak z memów, Anka, z dupy kompletnie powyjmowane. A prosiłem, nie rozpieszczajmy ich tak, bo skończy się orką jak w sieciówce.

Anna odwraca się do niego, widzę ją z profilu. Lekko wysuwa brodę.

– A widziałeś w ogóle ten twój projekt? Litości, sama miałam do niego sto zastrzeżeń.

Widać, że tak naprawdę tylko się przekomarzają. Cyprian teatralnie wzdycha, kręci wielkim łbem. Nic już nie mówi. Dopiero gdy Anna wychodzi z naszego pokoju, mruczy pod nosem:

– Zwariuję przez tę milfetkę. Zwariuję normalnie.

Siedzimy w pokoju we dwóch, Piotr ma coś do załatwienia, nie pamiętam dokładnie, chyba u notariusza, w każdym razie przyjdzie dopiero koło południa, a Zuza pracuje dzisiaj zdalnie. Zdaniem Cypriana znowu załała

pałę, zdarza się jej to notorycznie, a Regnum Lucidum to w rzeczywistości przytułek dla alkoholików, niby funkcjonalnych, ale ledwie.

– To chyba jak każda agencja – zastanawiam się.

– Bo tak to ktoś wymyślił, cały ten chory system – przytakuje. – Żeby wysysał z nas dusze, kropla po kropli, w zamian dając co? Pieniądze na chłanie. Mamy pracę, w której możemy do woli zgonować na kacu, a gdy popłyniemy za mocno, całkiem zostać w domu. To wygodne i daje poczucie bezpieczeństwa. Nam, ale nie tylko. No bo zobacz, Szymon. Dostajemy, umówmy się, całkiem godziwe hajsy za generowanie na kacu bzdur, które tak naprawdę ludzkości nie są do niczego potrzebne, no nie?

– No tak – zgadzam się. – Też często o tym myślę.

– Gdyby nagle pierdolnęła jakaś katastrofa, jak na filmach, kometa czy superwulkan, tak że wiesz, ludzkość cofnęłaby się w rozwoju, szlag trafiłby prąd i tak dalej, i trzeba by dosłownie walczyć o przetrwanie, nagle okazałoby się, że my zupełnie nic nie potrafimy.

– Zjedliby nas jako pierwszych.

– Więc to jest tak, że w rzeczywistości płacą nam za rozmiękanie talentu na drobne. Za rezygnację. Gdyby w renesansie istniały agencje reklamowe, nikt by nigdy nie usłyszał o da Vincim, bo kiblowałby gdzieś jako dyrektor kreatywny. System po prostu boi się artystów, a wiesz dlaczego? Bo tak naprawdę tylko artyści potrafią zmieniać system. To co się dziwić, że bezpieczniej jest dać nam na wódkę.

– Jeszcze na studiach wierzyłem, że będę pisarzem.

– Ja chciałem komiksy rysować.

Zaglądam do skrzynki. Mejl od Anny przyszedł dosłownie przed momentem. „Fwd: Uwagi do projektów postów na fb”. Otwieram, szybko przeglądam.

Rzeczywiście, poprawek nie ma zbyt wiele. Kontrowersje wzbudził właściwie tylko jeden projekt. „Dziel się krwią, nie tylko krwawicą. Życie uratujesz za darmo!” Wymyśliłem do tego grafikę, na której pacjent podłączony do kroplówki zmarł, bo ktoś wypchał zbiornik na krew stuzłotówkami. Zuza sprawnie to naszkicowała, obrazek wygląda jak bardzo porządny kadr storyboardu; docelowo mamy przeprowadzić do tej kampanii sesję zdjęciową.

No nie jesteśmy do tego akurat przekonani... – głosi komentarz. Po pierwsze, strasznie to dosadne, a po drugie, może być odebrane jako zniechęcanie do udzielania wpłat. Nie wiem, czy nie będziemy prowadzić w tym roku jeszcze jakichś zbiórek charytatywnych i trochę by to wyglądało niekonsekwentnie ;) Podrzucicie nam coś nowego albo spróbujcie jakoś inaczej ograć ten koncept.

Aż mi głupio, że wczoraj uznałem ten pomysł za dobry. Teraz projekt posta wydaje mi się prymitywny i idiotyczny. Większość klientów, dla których pracowałem do tej pory, skwitowałyby go krótkim „słabe”, „tego nie chcemy” albo „eee nie”. Rozbudowaną wypowiedź, złożoną z poprawnie skonstruowanych zdań, odbieram jako przejaw szacunku.

– A jak już o tym mówimy, Szymon – odzywa się Cyprian. – To tak sobie myślę, że może warto byłoby zrobić jakiegoś brona?

– Pewnie – zgadzam się. – Nie można uczciwie pracować z kimś, z kim się browara nie wypilo.

Na twarzy niedźwiedzia rozlewa się szczery uśmiech.

– Kiedy?

Póki co nie mam absolutnie żadnych planów na ten tydzień, ale niekoniecznie chcę się do tego tak od razu przyznawać.

– Piątek?

– Brzmi jak plan. Wyciągniemy młodą, może Piter też da się namówić.

Pozostałe komentarze do tekstów to już drobnostki – sugestie, żeby w kilku miejscach użyć innych określeń albo rozbić zdanie podrzędnie złożone na dwa krótsze. Są też drobne uwagi do grafik, ale ponieważ i tak mówimy na razie o szkicach, to raczej pomysły, w większości zresztą niegłupie.

Szukam nadawcy mejla. Anna przesłała tylko fragment wiadomości, zapewne całość była znacznie dłuższa. Nie widzę podpisu ani żadnej stopki, ale został nagłówek – tam zaś w polu nadawcy figuruje <agata.kociuk@lucelume.com>.

Domena lucelume.com. Pod tym adresem mieszka w sieci tajemniczy klient, który zamówił u nas komunikację akcji krwiodawstwa. Czuję

delikatne rozczarowanie – w pewien sposób podobała mi się ta maskarada, gdy mogłem sobie wyobrazić, że Piotr naściemniał, a w rzeczywistości zatrudnia nas tajna rządowa fundacja albo mafiosi z lat dziewięćdziesiątych, którzy powychodzili z pierdła i kombinują, w jaki jeszcze sposób wyprac poukrywane na zamorskich kontaktach majątki. A może saudyjscy szejkwowie, którzy planują potajemnie wysyłać polską krew do szpitali polowych na Bliskim Wschodzie, aby ratowała życie rannym bojownikom dżihadu.

– No to w piątek.

Wpisuję adres w przeglądarkę. Lucelume kropka com, enter.

Ta witryna jest nieosiągalna. Nie udało się znaleźć adresu DNS serwera lucelume.com.

No proszę, przynajmniej tyle. Szukam w takim razie Agaty Kociuk, o której domniemywam, że jednak istnieje, skoro koresponduje z Anną. Na Facebooku nie znajduję nikogo takiego, a wyniki wyszukiwania Google'a także są bardzo skromne i nierozstrzygające. Może to pseudonim? Postanawiam, że podpytam Annę przy następnej okazji.

Pomysłu z banknotami w kroplówce nie da się uratować, bez żartów, muszę wymyślić coś lepszego. Dobrze, bo i tak nie mam nic innego do roboty. Wstaję zza biurka i idę do kuchni po kawę. W naszym pokoju panuje półmrok, dwa monitory rzucają bladą poświatę na twarz Cypriana. Dzień dopiero się zaczyna. Wielkolud patrzy na płótno Photoshopa na ekranie jak więzień wbijający wzrok w ścianę celi. Chyba też wczoraj popił. Myślę o tatuażu na dekolcie Zuzy. Szkoda, że jej dzisiaj nie będzie.

To jednak nadszpiewanie dziwne uczucie, zobaczyć realizację swojego projektu w samym centrum Warszawy. Baner, a właściwie „siatkę reklamową w technologii plastra miodu”, rozpięto na szczytowej ścianie jednej z kamienic przy skrzyżowaniu Marszałkowskiej i Alei Jerozolimskich. NIECH ARTERIAMI POPŁYNIE KREW. Czerwone litery zdają się żarzyć ogniem.

Czekam na Wikę, umówiliśmy się na szybką kawę. Zawsze jest punktualna i faktycznie równo o osiemnastej wychodzi z przejścia podziemnego. Uśmiecha się na mój widok. W jasnej puchowej kurtce i wehniałej czapce jest bladym, szczupłym duchem.

Całujemy się w powietrze koło policzków.

– Długo czekasz?

– Dopiero przyszedłem. Caffè Nero?

– Pewnie, może być.

Wika patrzy na billboard. Specjalnie umówiłem się z nią tu, a nie w kawiarni, bo chciałem zobaczyć reakcję. O samym projekcie opowiedziałem jej kilka dni wcześniej na Messengerze.

Kiwa głową.

– Bardzo fajnie to wyszło, podoba mi się. Gdybym nie wiedziała, o co chodzi, miałabym sporą zagwozdkę. Dobrze to, niepokojące. Gratulacje!

Uśmiecham się.

– Dzięki, dzięki, zadowolony jestem z tego bardzo.

– I masz pełne prawo.

Idziemy do Nero. Kawiarnia przy Marszałkowskiej wygląda, jakby wziąć wszystkie sieciowe kawiarnie świata, dodać do siebie i podzielić przez ich liczbę. Przestrzeń pozbawiona właściwości, miejsce, które samo siebie bierze w nawias. Każdy, kto tam wchodzi, automatycznie staje się nijakim modelem ze stockowego zdjęcia. Ale za to kawa jest przyzwoita, a niestety

piwo nie wchodzi dziś w grę – Wika idzie potem na trening.

Zamawia dużą latte, ja americano. Siadamy przy witrynie. Patrę na ludzi przechodzących tuż obok Marszałkowską. Wracają z pracy, z uczelni. Ciekawe, ilu z nich podniesie wzrok na billboard i zastanowi się, o co właściwie chodziło autorowi. Kobieta w średnim wieku niesie wypchaną reklamówkę z Biedronki. Ciemnoskóry młodzieniec taszczy laptopa w torbie. Grupa dzieciaków przekrzykuje się w zaaferowaniu, coś sobie pokazują, pewnie nawet bym nie zrozumiał, o czym rozmawiają.

– Opowiadaj, jak w nowej pracy – mówi Wika.

– Póki co super. Ludzie w porządku, jutro na piwo idziemy. No i trochę ciekawsze rzeczy robimy niż w Cremè. Jak zresztą widziałas.

Skupia na mnie ten swój laserowy wzrok.

– Czujesz dumę?

– Dumę? Nie wiem, to chyba mocne słowo...?

– Dlaczego? – Wzrusza ramionami. – Z dobrze wykonanej roboty należy być dumnym.

Myślę o rozmowie z Cyprianem.

– Dumę to chyba może czuć autor książki albo nie wiem, obrazu. A to w końcu tylko billboard. Chałtura. Wydaje mi się, że byłbym jednak trochę śmieszny, mówiąc o dumie z billboardu.

– Gadanie. Gdy stolarz zbije deski tak, jak powinien, popuka w blat i powie do siebie z dumą: „To naprawdę dobry stół”, to zaraz staje się śmieszny?

– Wiesz, o co mi chodzi. Chciałbym jednak być dumny z rzeczy, które robię poza pracą.

– To znaczy?

– No właśnie.

– W porządku. – Wika wciąż nie odwraca spojrzenia, krzywi się za to w szerokim uśmiechu. – Skoro ty nie umiesz, to ja będę dumna z ciebie. Bo to dobry projekt jest, i koniec.

Woła mnie dziewczyna zza baru. Przynoszę do stolika dwie kawy.

– Niech będzie.

Dochodzę do wniosku, że właściwie wcale nie miałem ochoty na kawę.

Już sam zapach wydaje mi się nieprzyjemny. Trudno, zmuszę się jakoś.

– O, mam – mówię. – Zaprojektowanie billboardu, choćby i naprawdę fajnego, to raczej nie jest coś, czym można zbajerować laskę przy barze.

Wika marszczy brwi.

– A chcesz laski bajerować?

– Nie, podaję przykład.

– Wiesz, Szymon, mam szczere wrażenie, że jednak nie chciałbyś laski, która daje się poderwać na reklamę outdoorową.

– No, właśnie o tym mówię. Na żadnej spoko dziewczynie raczej nie zrobiłoby to wrażenia.

– Na spoko dziewczynie chyba generalnie nie tak łatwo zrobić wrażenie. A przede wszystkim nie szukałabym takiej przy barze.

Wzdycham.

– Zanotowane.

Zmieniam temat, opowiadam jeszcze o Królestwie Światła. Wika mówi o swojej rozmowie kwalifikacyjnej, z której niestety nic nie wynikło. Jestem wdzięczny, że nie porusza tematu Eweliny, choć wie o jej zaginięciu – napisałem do niej chwilę po tym, jak Gośka zadzwoniła z informacją, a i bez tego skojarzyłyby fakty, przecież zagląda do internetu. Uwielbiam tę cechę Wiki – doskonale wyczuwa, o czym rozmówca wolałby milczeć. To jej naturalny dar, odpowiednik słuchu muzycznego, który podpowiada, w które klawisze nie uderzać, aby nie wypaść poza skalę. A czasem wydaje mi się, że tym rentgenowym spojrzeniem prześwietla po prostu duszę, widzi wszystko, wszystko wie.

Siedzimy jeszcze pół godziny. Nie dopijam swojej kawy. Odprowadzam Wikę na przystanek autobusowy przy Domach Centrum, a wracając, zatrzymuję się jeszcze na chwilę przy skrzyżowaniu i patrzę na billboard.

Wika ma rację, nie muszę odmawiać sobie dumy. Czytałem kiedyś opracowanie dotyczące oczekiwanej długości życia w antycznym Rzymie. Nie pamiętam już, czy było mi to do czegoś potrzebne, czy akurat prokrastynowałem w robocie, klikając z linka w link. To, co zapamiętałem, to liczba dwadzieścia pięć – tyle lat średnio żył Rzymianin. Ćwierć wieku. Gdybym był statystycznym obywatelem Cesarstwa Rzymskiego, od sześciu lat leżałbym w grobie. A tu proszę. Budzę się i wstaję rano, co samo w sobie

jest już pewnym osiągnięciem, a w dodatku dopiero zaczynam się rozpędzać. Całe miasto ogląda mój projekt. Takich projektów opracuję jeszcze wiele. Przez najbliższe dekady zrobię sporo rzeczy, z których będę dumny. Możesz mi tylko zazdrościć, statystyczny Rzymianinie.

– Wszystko w porządku? – słyszę niespodziewanie.

To starsza kobieta, sprzedawczyni kwiatów ze stoiska przy samym przejściu podziemnym. Musiała podejść do mnie przed chwilą.

– Tak, dziękuję.

– Stoi pan tak na tym chodniku, już nie wiem, kilka minut...

– Zamyśliłem się. – Przywołuję uśmiech. – Zapatrzyłem się na tę reklamę.

Kobieta podąża za moim wzrokiem, patrzy na billboard. Przechyliła głowę, przypomina starego ptaka.

– Straszne paskudztwo – mówi.

Wybucham śmiechem.

Pakujemy się z Zuzą do audi Cypriana i jedziemy do centrum. Wielkolud mieszka przy Siennej, w jednej z kamienic stojących na dawnej granicy getta. Auto zostaje na parkingu, a my pieszo ruszamy na Chmielną. Przecinamy plac Defilad, brniemy pod prąd strumienia studentów z plecakami i torbami podróznymi, zmierzających w stronę Centralnego. Tylko jeden bezdomny decyduje się nas zaczepić, ale na widok miny Cypriana kuli się w sobie i zaraz odchodzi. Pałac Kultury sterczy niczym monstualny środkowy palec wymierzony w szare niebo.

Mamy zrobioną rezerwację w Hoppiness, przyjemnym pubie z jeszcze przyjemniejszym wyborem piw rzemieślniczych. Dobrze, że Zuza zawczasu o tym pomyślała, bo zaraz okazuje się, że piątek nie bierze tu jeńców: jeszcze nie wybiła siedemnasta, a pozajmowano już wszystkie stoliki.

– Krafty to jedyny znany dowód, że Bóg nas ociupinkę kocha – twierdzi Cyprian, odstawiając szklanę z brytyjskim ale. Trochę piany niczym szron osiadło mu na brodzie.

– O ja pieprzę. – Zuza przygląda mu się ze szczerym zainteresowaniem. – Pół wrąbałeś naraz.

– Lalka, ja od południa nie myślałem o niczym innym.

Czekam na zamówionego burgera. Byłem tu raz z ekipą z Cremè, jeszcze jakoś na wiosnę, pamiętam, że siedzieliśmy w ogródku, choć wcale nie było bardzo ciepło; podawali naprawdę niezłe jedzenie. Upijam łyk piwa, aksamitnego lagera z browaru, którego nazwy nie słyszałem nigdy wcześniej.

– To co, chłopaki... – Zuza unosi szklanę pełną delikatnego cherry lambic, „no, takie owocowe lekkie piweczko”, jak to raczył określić wytatuowany barman. – Za nasz pierwszy wspólny sukces?

– Czy sukces, to jeszcze nie wiadomo – zauważam.

Cyprian patrzy na mnie z udawaną dezaprobatą.

– Wiszą billboardy? Wiszą. A więc sukces.

Stukamy się szklankami.

– Spoko wyszło – mówi Zuza. – Ludzie naprawdę o tym mówią. Słyszałam w autobusie, jakieś dziunie się zastanawiały, czy to film, czy o co chodzi. Przy rondzie ONZ, palcami sobie przez okno pokazywały.

– W całym mieście wiszą te serducha – przytakuje Cyprian. – Nie sposób nie zauważyć.

– Jak się okaże, że to tylko akcja krwiodawstwa, ludzie będą rozczarowani. – Uśmiecham się.

– W dupie będą mieli.

– Czyli żaden sukces.

Cyprian wzdycha.

– Nie będę się na słówka licytował z copywriterem.

Czuję się z nimi swobodnie, sam się dziwię, jak bardzo. Bałem się trochę, kończąc przygodę z Crème de la Creation, że trudno będzie odnaleźć się w nowej pracy, wśród nowych ludzi. Zupełnie niepotrzebnie – mam wrażenie, jakbym znał Cypriana i Zuzę dużo dłużej niż niecałe dwa tygodnie. Może to oko Anny, która przeglądając setki profili na LinkedIn, uznała, że akurat ja dopasuję się do zespołu? Albo jestem na tyle nijaki, że dopasowałbym się wszędzie. Może odtąd tak to już będzie wyglądało – picie na pożegnanie jednej pracy, picie na przywitanie drugiej.

– Oho... – Cyprian wyciąga telefon z kieszeni. – Piter napisał, że będzie za jakąś godzinę.

Zuza przesuwa palcem po ścianie szklanki. Lakier na jej paznokciach przypomina kolorem mokry beton.

– Ciekawe, czy razem przyjdą.

– Stawiam, że tak.

– Razem, znaczy Piotr z Anną? – pytam i nagle rozumiem. – To oni kręcą ze sobą?

– A nie zauważyłeś? – Zuza szczerzy równiutkie zęby. – Piter ją rano podwozi, wychodzą z biura jedno po drugim, a ostatnio, no zabijcie mnie, jedli to samo na obiad, tyle że pół godziny po sobie. Z pojemniczków, kurwa, identycznych!

– Ale że jak? – dziwi się niedźwiedź. – Ona mu gotuje?

– No chyba tak. Risotto jakieś, specjalnie zwróciłam uwagę.

– Tacy starzy, a tacy głupi – wzdycha. – Toć każdy wie, kuda rabotajesz, tam nie jebiosz.

– A co to niby, jakieś prawo? Święte przykazanie? Każdy szuka, gdzie może.

Barman woła, żebym odebrał burgera. Wreszcie. Zdążyłem już porządnie zgłodnieć, mało dzisiaj jadłem. Wstaję, przeciskam się przez grupkę studentów, którzy usiłują ustalić, czy zmieszczą się przy stoliku pod oknem. Wystarczy rzut oka, żeby zawyrokować z absolutną pewnością: nie, nie zmieszczą się.

– A ty, Szymon? – pyta Cyprian, gdy rozsiadam się już przy stoliku z burgerem. – Masz kogoś?

– Ale chamski podryw. – Zuza marszczy nos. – Tak prosto z mostu? Co to niby za pytanie, El Cypriano?

– Jezu, z ciekawości zapytałem. No ale może racja, sorki, Szymon, cham ze mnie i prostak, pogadajmy o pogodzie.

– Rozstałem się dopiero co – mówię, starając się, żeby zabrzmiało to obojętnie. Nie mam najmniejszej ochoty drażnić tematu, ale też nie chcę go obcesowo ucinąć. – Życie.

– No tak. Wiem coś o tym, w zeszłym roku rozwód brałem. Tak samo jak Piter zresztą, on też świeży rozwodnik.

– Jest coś, kurde, w powietrzu... – Myślę o Dawidzie, o tym, jak smutno spoglądał na miejsce po obrączce, gdy piliśmy w Fortyfikacji. – Gdzie nie spojrzę, rozwody.

– Uratował mnie ten rozwód, normalnie uratował. Oszalałbym z tą kwoką do reszty. Nie ma co się dołować, bracie, życie, że tak powiem, potrafi być piękne.

– Cyprian, postrach małolatek z Tindera – parska Zuza. – Już, wystarczy, panowie, nie ma mowy, żebym tego słuchała na trzeźwo.

– Jeszcze i my się nasłuchamy, spokojnie. Jak to było nad Wisłą wtedy? „Cyprian, weź mi wytłumacz, jak mózg faceta działa, bo ja tego dekła mojego to czasem już w ogóle nie rozumiem”. Pamiętasz to?

– Japa, bydlęciu.

– A właśnie, oświadczył się w końcu?

– A weź może trochę pospierdalaj?

Zuza wychyla się nad stolikiem, próbuje palnąć Cypriana w wielki łeb, śmieją się przy tym oboje. Gdyby ktoś przedstawił mi ich jako rodzeństwo, uwierzyłbym bez wahania. Po chwili się uspokajają, dopijają swoje piwa.

– Drugie takie samo? – pyta niedźwiedź, dźwigając się z krzesła.

Kiwam mu tylko głową, mam pełne usta wołowiny.

* * *

Ktoś otwiera drzwi i w tym momencie od strony Marszałkowskiej dobiega ostry sygnał karetki pogotowia. Wzdrygam się. Dźwięk jest nienaturalnie głośny, jakby zwielokrotniony, tnie powietrze jak nóż. Słysząc, że to więcej niż jeden ambulans.

– Jakiś duży wypadek musiał być... – Zuza odstawia pustą szklanę.

W sali narasta szum. Goście podnoszą głosy, kilka osób przeklina. Odwracam się i widzę przez szybę ludzi biegnących Chmielną. Ktoś wpada do środka, za nim kolejni. Ludzie doskakują do bram wejściowych, ktoś potyka się i przewraca. Do upiornego chóru karetek dołączają kolejne dźwięki, teraz chyba również policja i straż pożarna, nakładają się na siebie, aż po chwili można odnieść wrażenie, że wycie syren szczelnie wypełnił całe słyszalne pasmo. Coś się stało, coś niedobrego, gdzieś blisko. Rozglądam się po pubie.

– Wybuch był – mówi ktoś. – Zamach w metrze!

Patrzymy po sobie z Zuzą, jak na komendę wyjmujemy telefony. Cyprian wraca do nas przed baru, jeszcze zanim zdąży się załadować główna strona gazety.pl. Czerwone litery krzyczą:

EKSPLOZJA W WARSZAWSKIM METRZE!

– O kurwa.

Wpatrujemy się wszyscy w ekrany. Sieć ledwie zipie, a po chwili pada całkiem.

– Na Świętokrzyskiej jebło – mówi ktoś.

Widzę, że Zuza jest mocno wystraszona.

– Co teraz? – pyta przytomnie.

– Zostajemy tu, dopóki nas nie wygonią – mówi Cyprian. – Tak najbezpieczniej. Szymon?

– Zostajemy.

Ktoś przy stoliku obok martwi się o znajomych, którzy mieli przyjechać właśnie metrem. Słyszczyć przekleństwa. Kakofonia syren nie milknie. Przeciążona sieć nie działa. Barman wychodzi na środek i woła głośno:

– Kto chce, niech zostaje, zamykamy się!

Nie widać, żeby ktokolwiek śpieszył się do wyjścia. Ludzie są zdezorientowani. Jakiś facet tłumaczy, żeby wszyscy odsunęli się od okien. Nie mam pojęcia, jak się zachować. Gryzę kolejny kęs burgera, mięso jest wyjątkowo słabo wysmażone, czuć słodki posmak krwi. Cyprian wskazuje na moje niedopite jeszcze piwo, patrzy pytająco. Kiwam mu głową. Wypija wszystko jednym haustem.

– Ale jaja – mówi. – Ale, kurwa, jaja.

– To dopiero przedsmak tego, co was czeka – mówi mężczyzna stojący tyłem do kamery. Ma ciemne, krótko przycięte włosy. Mówi powoli i wyraźnie, bez śladu obcego akcentu.

Nagranie pojawiło się na YouTube godzinę temu, a liczba wyświetleń zbliża się już do pół miliona. Na pewno za chwilę zostanie usunięte z serwisu.

Mężczyzna stoi w jasnym, pustym pomieszczeniu. Jego cień ostro odcina się od białej ściany.

– Przyzwyczajcie się. Strach będzie wam towarzyszył na co dzień.

Po tym, jak oficjalnie potwierdzono informację o eksplozji, zostaliśmy z Zuzą i Cyprianem w Hoppiness jeszcze przez ponad pół godziny. Głos z telewizora potwierdzał: doszło do zamachu terrorystycznego. Lepiej nie wychodzić na ulice, są zabezpieczane właśnie przez policję. Razem z resztą gości prowizorycznie zabarykadowaliśmy okna i drzwi stolikami, pustymi kegamami, skrzyniami z kuchni, plecakami i kurtkami, wszystkim, co wpadło nam w ręce. Wyglądało to jak groteskowa zabawa, hipsterska zajawka, jakby kilometr dalej wcale nie doszło do wybuchu, w którym zginęli ludzie. Modny pub na Chmielnej gotowy na oblężenie, hashtag #stanwojenny, prawie jak powstanie. Spodziewałem się, że policja zaraz nas przegoni, ale nikt nawet nie zajrzał do środka.

Siedzieliśmy na podłodze, oparci plecami o bar z grubego szkła.

– Jezu – odezwała się nagle Zuza. – Piter z Anką, oni nie mieli jechać metrem?

– Pewnie nawet nie zdążyli wyjść z biura – uspokoił ją Cyprian. – A nawet gdyby, wysiedliby jeszcze na Centrum.

– Ja pierdołę. – Zuza patrzyła w podłogę. – Świętokrzyska po siedemnastej. Zawsze przesiadam się tam na tramwaj. Mniej więcej o tej porze. Mogłam tam dzisiaj być...

– Ale nie jesteś.

Głos z telewizora informował, że w eksplozji zginęło co najmniej szesnaście osób, a ponad pięćdziesiąt jest rannych. Do tragedii doszło na stacji pierwszej linii metra, w momencie, gdy pociągi stały na obydwu torach. Relacje świadków wskazywały zgodnie, że eksplodował ładunek pozostawiony na peronie w plecaku. Ktoś siedział na ławce w jego pobliżu, więc ochrona nie zorientowała się w porę. Zaprzeczono za to wcześniejszym doniesieniom o strzelaninie, do której miało dojść w centrum tuż po wybuchu na Świętokrzyskiej.

Sieć wróciła szybko, więc wszyscy wysłaliśmy rodzinom i bliskim esemesy z zapewnieniem, że żyjemy i mamy się dobrze. Oznaczyliśmy na Facebooku, że jesteśmy bezpieczni. Wciąż nie mogłem pozbyć się wrażenia, jakbym nieudolnie odgrywał rolę z filmu sensacyjnego.

– Selfie sobie może zrobimy? – zaproponowała Zuza i dopiero wtedy zauważyłem, że zdążyła się już lekko upić. Spojrzeliśmy po sobie z Cyprianem, nie zaprotestowaliśmy.

Mam więc selfie, na którym szczerzę się do obiektywu w zabarykadowanym pubie, jakiś kwadrans po potwierdzeniu informacji o zamachu. Zuza wysłała mi je przed momentem – tak jak przypuszczałem, wbrew zapowiedziom wcale nie poszła spać – gdy tylko wróciła do siebie. Jak tu iść spać? Dziś Warszawę czeka długa, bezsenna noc, Warszawa będzie niespokojnie oddychać, pocić się pod ciężką kołdrą chmur.

Inne tematy ucichły i długo nikt nie dopuścił ich do głosu. Portale informacyjne, Facebook – wszędzie tylko i wyłącznie aktualizowane na żywo informacje o zamachu. Wypowiedzi świadków, komentarze ekspertów, amatorskie, rozedrgane nagrania przedstawiające ludzi wybiegających ze stacji metra, zakrwawione twarze, krzyki, płacz. Kolejne newsy: Parlament zwołał nadzwyczajne posiedzenie, premier wygłosił przemówienie o niezłomności polskiego ducha, który nie ugnie się przed tak tchórzliwym atakiem. Chwilę później prezydent ogłosił wprowadzenie stanu wyjątkowego. Kondolencje i wyrazy solidarności spływają do stolicy z całego świata, świat modli się za Warszawę. Mam wielką nadzieję, że Zuza nie wpadnie na pomysł oznaczenia mnie na zdjęciu z Hoppiness; nie mam najmniejszej ochoty z nikim rozmawiać, a już na pewno nie o dzisiejszym popołudniu.

Stojący tyłem do kamery mężczyzna mówi:

– Zmienimy Warszawę w ubojnię.

Nagranie nazywa się krótko „warszawa.mkv”, opublikował je na YT użytkownik o nicku vlam. To jedyne wideo, jakie zamieścił, choć posiada konto w serwisie od blisko roku.

– Nie spoczniemy, dopóki żyjecie. Wszystkie świnie muszą umrzeć.

Mówi spokojnym, wręcz ciepłym głosem, jakby czytał dzieciom bajkę.

Po trzydziestu minutach wyszliśmy z pubu. Teoretycznie najbliżej mieszkał Cyprian, ale musielibyśmy przejść przez plac Defilad, a całe ściśle centrum zamknęła policja. Poszliśmy więc do mnie, na około, najpierw Nowym Światem, choć bałem się, że nas nie przepuszczą, a potem wokół parku Saskiego. Nad miastem, śmiertelnie spokojnym, jakby zastygłym w stopklatce, krążyły śmigłowce. Antyterrorysty patrolujący opustoszałe ulice przypominali postacie wrogów z komputerowych strzelanek.

Przesiedzieliśmy u mnie dwie godziny, odświeżając tylko główne strony serwisów informacyjnych. Oficjalnie podawano już, że śmierć na Świętokrzyskiej poniosło dziewiętnaście osób, a stan wielu rannych jest bardzo ciężki.

Mężczyzna mówi:

– Przyjdziemy po was. Arteriami Warszawy popłynie krew.

Zatrzymuję nagranie. Przewijam o kilka sekund.

Pierwsze linki do nagrania pojawiły się dosłownie kilka minut po tym, jak Cyprian i Zuza ode mnie wyszli. Zostałem sam. Jestem tylko ja i stojący tyłem mężczyzna w filmie. Uderzam w spację.

– Arteriami Warszawy popłynie krew – powtarza mężczyzna.

Znów pauzuję. Wstaję, podchodzę do okna i otwieram na oścież. Uderza zimno, tego mi było trzeba. Czuję gorąco, potworne gorąco pulsuje w głowie. Idę do kuchni, tam też otwieram okno i staję w przeciągu. Trochę lepiej. W lodówce znajduję jeszcze jedno piwo, dzięki ci, Boże.

Wracam do komputera. Znów uderzam w spację, mężczyzna mówi dalej:

– Wasza krew. Już jesteście martwi. Najpierw wasze dusze umrą ze strachu, potem wasze ciała obrócą się w popiół.

Przewijam jeszcze raz. I jeszcze. Ten film zaraz zostanie usunięty.

– Nie spoczniemy, dopóki żyjecie.

Chyba nigdy nie czułem się tak bardzo sam.

– Wszystkie świnie muszą umrzeć.

Unoszę piwo do ust, ręka dygocze.

– Arteriami Warszawy popłynie krew.

II

WSZYSTKIE ŚWINIE MUSZĄ UMRZEĆ

1

Zachowaj choć trochę godności, powtarzam sobie, zatrzymując się przed budynkiem komendy stołecznej. Do pałacu cię w końcu zaprosili, Szymonku. Plecy prosto, głowa wysoko.

Gdybym powiedział, że bardzo się zdziwiłem, odbierając wczoraj rano od uprzejmego listonosza polecony z wezwaniem na przesłuchanie – skłamałbym. Od pewnego czasu było jasne, że prędzej czy później policja zechce ze mną porozmawiać, tym bardziej że poszukiwania Eweliny nie przyniosły jak dotąd żadnych konkretnych rezultatów. Gdyby było inaczej, dowiedziałbym się od Goški, bo los zaginionych dziewczyn chwilowo przestał interesować media. Trudno się dziwić, kraj wciąż drży w posadach po wybuchu na Świętokrzyskiej. W dalszym ciągu nie udało się ustalić tożsamości ani motywacji sprawcy, żadna organizacja terrorystyczna nie przyznała się do zorganizowania zamachu. Ruszyło tyle niezależnych śledztw, że trudno już się w tym połapać. Życie w Warszawie szybko wróciło do względnej normy i gdyby nie wyraźnie więcej policyjnych patroli na ulicach, można by uznać, że dramat na stacji metra to tylko zły sen. Nie zgodziliby się z tym zapewne właściciele kebabu na Woli, podpalonego w nocy przez niezidentyfikowanych sprawców, ani czterech młodzi inżynierowie z Egiptu pobici późnym wieczorem w samym centrum miasta. Ulica wiedziała swoje.

Do pałacu Mostowskich wchodzę mniej więcej tak pewny siebie, jakby czekał mnie tu średniowieczny sąd boży, podczas którego mojej niewinności dowiedzie próba rozgrzanego żelaza. Nigdy dotąd nie miałem do czynienia z policją, nie uczestniczyłem nawet w wypadku drogowym, nie zostałem pobity ani choćby okradziony. Cyprian, który za młodu działał w bydgoskiej Antifie i nieraz zdarzało mu się przenocować na dołku czy obejrzeć policyjną pałkę z odległości dużo mniejszej, niż by sobie życzył, przyjacielsko doradzał, żebym nie sugerował się wezwaniem w charakterze świadka i najlepiej z góry odmówił składania jakichkolwiek zeznań, bo psiarnia tylko czeka, żeby z moich własnych słów ukręcić powróż, na

którym zaciągnie mnie przed sąd, a wtedy to już różnie może być i nawet jak ostatecznie nic mi nie przyklepią, ubabram się tym głównem po uszy. Uznałem jednak, że najlepiej będzie po prostu odpowiedzieć na wszystkie pytania, żeby jak najszybciej mieć to za sobą.

Spodziewałem się, że gliniarze posadzą mnie w małym pokoiku tyłem do drzwi i zasypią gradem pytań. Spodziewałem się nerwowej atmosfery, ciężkich spojrzeń, wyszczekiwaných komend puentowanych uderzeniami pięścią w blat. Tymczasem trafiam do schludnego gabinetu, który równie dobrze mógłby się znajdować w zwyczajnym urzędzie. Dwoje oficerów prowadzących przesłuchanie robi sympatyczne wrażenie, zupełnie jakby nie udało się znaleźć nikogo do roli złego gliny. On trochę starszy, szpakowaty, ona młodsza, pewnie koło trzydziestki. Podkomisarz Albert Kalina, starsza aspirant Beata Maj-Jasińska. Wyglądają jak statyści grający policjantów w polskim serialu, jak goście na tematycznym balu przebierańców. Usiedliśmy po dwóch stronach szerokiego biurka, niemal pustego, jeśli nie liczyć teczek i dwóch notatników. Orzeł biały z godła na ścianie odwraca głowę, jakby nie chciał na nas patrzeć.

Prowadzący potwierdzają moją tożsamość, pouczają, dlaczego składanie fałszywych zeznań to nie najlepszy pomysł, i mechanicznie zadają kilka kontrolnych pytań o miejsce zamieszkania i pracę. Poziomem zaangażowania przypominają pracownika szaleców miejskich w środku nocy.

– Co łączy pana z zaginioną Ewelina Kuliczka? – podkomisarz Kalina przechodzi wreszcie do rzeczy.

– Obecnie nic. A wcześniej miłość.

Podkomisarz krzywi się tylko, jakby go ząb rozbolał, za to starsza aspirant Maj-Jasińska uśmiecha się smutno i notuje coś w zeszycie. Odkąd usiedliśmy, nie wypuszcza z dłoni długopisu.

– Panie Szymonie – mówi miękko. – Oczywiście rozumiemy, nie rozstaliście się w zgodzie. Ale zdążył pan ją dobrze poznać, była pana dziewczyną, mieszkaliście razem. To, co pan powie, może okazać się bardzo ważne dla jej odnalezienia, może nawet uratować jej życie. Proszę mieć to na uwadze i opowiedzieć nam teraz spokojnie, co pan o tym wszystkim myśli, co mogło się z nią stać.

Rzecz jasna przygotowałem się do przesłuchania, na ile mogłem.

Przeczytałem wszystkie porady, jakie udało mi się znaleźć w internecie. Wchodzimy właśnie w fazę swobodnej wypowiedzi: będę sobie mówił, policjanci wysłuchają, wszystko trafi do protokołu.

Zaczynam więc opowiadać. O tym, że tak naprawdę nie mam zielonego pojęcia, do kogo Ewelina się wyprowadziła, nigdy jej o to nie pytałem. Gdy wreszcie przyznała, że mnie zdradza, nie chciałem już wiedzieć nic więcej, najdosłowniej unikaliśmy się nawzajem, starając się nawet nie przebywać jednocześnie w mieszkaniu. Znajomy, Jan Pietruszyński, który pomógł jej w przeprowadzce, powiedział później, że nowego partnera poznała przez internet, i wydaje mi się to całkiem prawdopodobne, przecież i my poznaliśmy się w ten sam sposób. Zdaniem Pietruszyńskiego jej nowy chłopak ma na imię Marcin, ale to wszystko, co o nim wiemy. Sam widziałem go tylko raz, właśnie w dniu, w którym się wyprowadzała. Rudy, szczupły, koło metra siedemdziesięciu pięciu. Nie zamieniliśmy ani słowa. Jan twierdzi, że wspólnie pojechali z rzeczami Eweliny na Żoliborz, do jednego z bloków na Broniewskiego.

Śledczy kiwają tylko głowami i notują. Podkomisarz Kalina przygląda mi się wodnistymi, pozbawionymi wyrazu oczami. Jestem pewien, że o wszystkim, o czym mówię, wiedzą już od Janka. Odnoszę wrażenie, że wręcz trochę ich nudzę. Gdy kończę wypowiedź, przez moment panuje cisza.

– Ewelina była panu winna pieniądze, prawda? – Kalina pyta beznamiętnie.

– Tak. Nieco ponad tysiąc złotych.

Maj-Jasińska znowu uśmiecha się smutno, znowu coś notuje.

– Szukał pan z nią kontaktu, wiedząc już, że zaginęła?

– Tylko natychmiast po tym, jak z informacją o zaginięciu zadzwoniła do mnie Małgorzata, jej siostra. Próbowałem wtedy dzwonić kilka razy, ale Ewelina miała wyłączony telefon.

– Ostatni kontakt Eweliny z rodziną miał miejsce w piątek, dwudziestego października. Wieczorem rozmawiała z matką. Potem zamilkła. Przepraszam, ale musimy o to zapytać... – Starsza aspirant spogląda na mnie, ciągle z tym uśmiechem aktorki z francuskiego filmu. – Potrafi pan przypomnieć sobie, co robił tamtego wieczoru?

Wdech, wydech. Czym tu się denerwować?

– Tak. Byłem ze znajomymi z poprzedniej pracy w klubie Fortyfikacja. Piliśmy alkohol.

– O której wrócił pan do mieszkania?

– Nie pamiętam – przyznaję wprost. – Koło trzeciej w nocy, może wpół do czwartej, koleżanka zamówiła mi taksówkę. Można to sprawdzić. Byłem już mocno pijany. Spotykaliśmy się po raz ostatni, firma, w której pracowaliśmy, upadała.

– Rozumiem.

– Jak się ta firma nazywała?

– Crème de la Creation – mówię. Widzę, że policjantka waha się, robiąc notatkę. – Powtórzyć?

Kręci głową. Podkomisarz Kalina wygląda, jakby tylko najwyższą siłą woli powstrzymywał się od ziewania.

– A gdy jeszcze mieszkaliście państwo razem, wychodziliście do jakichś konkretnych miejsc? – pyta. – Miała jakieś ulubione kluby?

– Mało wychodziliśmy. Ja nie przepadam za klubami, a Ewelina nie miała w Warszawie wielu znajomych, z którymi mogłaby wyjść beze mnie. Przynajmniej nic o takich nie wiem. Czasem chodziliśmy nad Wisłę, dopóki było ciepło. Jeśli spędzała czas beze mnie, to głównie z koleżankami z pracy. – Waham się. – A przynajmniej tak mi mówiła.

– Wspominała może o jakichś planach, marzeniach? Jakiś zagraniczny wyjazd, może przeprowadzka do innego kraju?

Kręcę głową.

– Nie znała języków obcych. Tylko angielski, niezbyt dobrze. Gdy latem byliśmy przez weekend na Węgrzech, wstydziła się choćby odezwać.

Policjanci spoglądają po sobie, pierwszy raz lekko ożywni. Maj-Jasińska natychmiast notuje.

– A Jan Pietruszyński – pyta policjantka. – Potrafiłby pan określić ich relację?

– Moim zdaniem była czysto koleżeńska. Nic więcej, przynajmniej z jej strony. Janek chyba ją po prostu mocno polubił, bardzo się przejął jej zaginięciem. Zresztą nie wiem – zastanawiam się. – Może nawet się w niej

zakochał. Nie potrafię ocenić. Wiem, że prosił mnie, żebym pojechał z nim na Broniewskiego sprawdzić osobiście, czy na pewno jej tam nie ma.

– Pan nie chciał.

– Nie chciałem.

– A co pan o nim sądzi, o samym Pietruszyńskim?

Wzdycham.

– Myślę, że to dobry człowiek. Zawsze był wobec mnie życzliwy.

Zadają kolejne pytania, jakby czytali je z listy. Czy Ewelina nie zachowywała się, jakby coś jej groziło? Czy nie chciała pożyczyć ode mnie więcej pieniędzy? Czy nie pożyczła pieniędzy od innych? Czy wiadomo mi coś o konfliktach w jej rodzinie, może o jakichś nieporozumieniach na tle spadków? Czy zdarzało jej się odbierać telefony, po których robiła się zdenerwowana, rozbita?

Odpowiadam spokojnie i rzeczowo. Nic nie wiem o pieniądzach, które miałyby pożyczać od innych, jej rodzina wydawała się raczej zgodna, a z telefonem owszem, czasem znikła w kuchni albo łazience. Jak sądzę, przeglądała wówczas wiadomości na portalu randkowym.

Już czuję się rozluźniony. Nic nie wskazuje, żeby za chwilę oficerowie mieli zdjąć maski i zacząć okładać mnie pałkami, razić prądem i podtapiać w wiadrze. Prowadzą po prostu rutynowe przesłuchanie świadka, pewnie jedno z kilkudziesięciu w tej sprawie. Są zmęczeni, znudzeni i zapewne tak samo jak ja czekają tylko, aż to się skończy.

Wreszcie odczytują moje zeznania. Wszystko się zgadza, wbrew paranojom Cypriana nikt nie przekręcił moich słów tak, abym automatycznie wydał się głównym podejrzanym. Składałem autograf, potwierdzając zeznania w całości i zostaję oficjalnie zwolniony z komendy. Koniec imprezy, po stresie. Jest już na tyle późno, że powrót do Królestwa nie ma większego sensu. Idę do domu, spacer dobrze mi zrobi.

Chowam pismo o wezwaniu na przesłuchanie do szuflady biurka, będzie leżało obok starych biletów na koncerty. Jestem zmęczony. Siadam przy komputerze, ale zaraz czuję, że nie mam już ochoty czytać kolejnych informacji o próbach ustalenia, kto stoi za zamachem w metrze. Nie chcę oglądać kolejnych rozmów z poszkodowanymi, nie chcę więcej nagrań z miejsca zdarzenia ani zagranicznych komentarzy. Czuję mdłości, czytając

wypowiedzi polityków, niemal identyczne, odbite z jednej sztancy, jakby doradcy od PR-u nie nadążali z obsługą swoich klientów.

Wreszcie kładę się spać. Gdy zamykam powieki, znowu patrzę w wodniste oczy podkomisarza Kaliny.

2

– I jak, Szymon, mocno cię w psiarni wymęczyli? – W głosie Cypriana słyszę szczere zainteresowanie. Przygląda mi się uważnie, jakby szukał widocznych siniaków i otarć. – Wszystko w porządku?

Nawet nie zdążyłem jeszcze usiąść za biurkiem. Wyjątkowo oboje graficy zjawili się dziś w biurze przede mną.

– W porządku, dzięki. Nic mi nie zrobili.

Opowiadam pokrótce, jaki charakter miała wczorajsza rozmowa na komendzie. Zuza patrzy na mnie w sposób, którego nie potrafię nazwać. Odkąd wyszło na jaw, że zaginiona Ewelina – jej zdjęcie zdążyło się już wszystkim opatrzyć – to moja była, zielonowłosa graficzka traktuje mnie trochę inaczej, wyczuwam pewien dystans, odrobinę skrepowania. Zauważyłem to już dawno: w pewien sposób boimy się ludzi borykających się – jak sądzimy – z osobistą tragedią. Jakby stawali się figurami z kryształu, które można zbić jednym nieuważnym dotknięciem. Współczujemy, oczywiście. Ale przede wszystkim boimy się poczucia winy, gdybyśmy niechcący powiedzieli o jedno słowo za dużo.

Cyprian kręci ogolonym łbem.

– Stary, z tego, co mówisz, to jakby ci tam próbowali sprzedać kredyt, a nie przesłuchiwali. Piknik rodzinny. Piętnaście lat temu, jak szedłeś do psiarni, to zakładałeś w ciemno, że wyjdiesz następnego dnia. Wyjdiesz, co ja mówię. Wyczołgasz się, daj Boże, z kompletem zębów.

Zuza wzdycha.

– Typie – mówi. – A może weź pod uwagę, że Szymon nikomu nie przyjebał kastetem? Nie rzucał w nikogo kamieniami?

– Tak, bo to przecież takie istotne – burczy Cyprian. – Wejdz sobie może, lalka, w neta i poczytaj, co się dzieje na komisariatach. Ty w ogóle miałaś kiedyś do czynienia z psami?

– Miałam.

– Ehe, pewnie muzykę za głośno puszczaliście w jakimś studenckim chlewie. Mniejsza z tym zresztą. – Zwraca się do mnie. – Dobrze, że tak to się potoczyło, Szymon, naprawdę dobrze. Mocno trzymam kciuki, żeby obyło się już bez żadnego dalszego ciągu.

Nie do końca jestem pewien, co ma na myśli – kolejne przesłuchania czy historię z Ewelina. Pewnie jedno i drugie, doceniam tym bardziej.

– Dzięki.

Widzę, że na biurku Piotra leży złożony laptop. Nie widać też jego kurtki na wieszaku. Dziwne, zwykle szef przychodzi do Królestwa jako pierwszy.

– Piotra dzisiaj nie ma?

– Będzie, będzie. Uprzedzał, że może się chwilę spóźnić.

Kiwam głową. Idę do kuchni po kawę; nieopatrznie zgodziłem się, żeby Windows pobrał aktualizację, więc i tak przez kilka minut nic nie zrobię przy komputerze. Jak na złość w ekspresie skończyło się akurat ziarno, a gdy wsypuję świeże, wyświetla się komunikat o konieczności opróżnienia pojemnika na fusy. Technologia nie stoi dzisiaj po mojej stronie.

Wreszcie wracam z parującym kubkiem. Aktualizacja nie zdążyła pobrać się nawet do połowy.

– Powiedzcie mi – mówi Zuza. – Jak to jest możliwe, że do tej pory nic nie wiadomo o zamachu? Dwudziesty pierwszy wiek, drony, satelity, a tu nawet kolesia z tego filmu nie udało się jeszcze namierzyć.

– Nie wiemy, co robią służby – zastanawia się Cyprian. – Wszyscy tam pewnie zapieprzają jak mróweczki. Nie wszystko przedostaje się do mediów. – Zgląda Zuzie w monitor. – Tyle razy widziałem już to nagranie, a wciąż mnie przeraża.

– Mnie też. A gdy widziałam je po raz pierwszy, o w mordę, ale się zeschizowałam.

Upijam łyk kawy. Gorąca, parzy w język.

– Niech arteriami popłynie krew – mówię, na co Zuza aż się wzdryga.

Cyprian uśmiecha się krzywo.

– Myślicie, że jako agencja moglibyśmy pozwać tych kurwiów o tantiemy?

Oryginalny plik „warszawa.mkv” oczywiście zaraz zniknął z YouTube’a,

ale natychmiast pojawiły się kopie. Każdy z nas jest w stanie z pamięci wyrecytować kwestie wypowiediane przez stojącego tyłem do kamery mężczyznę. Pół Polski zna już te słowa.

– Skoro tak im się podobają nasze hasła, to może powinni w ogóle się zgłosić do współpracy – mówi Zuza. – Moglibyśmy im na przykład filmy przygotowywać, jak już tak bardzo chcą przygwaździć na YouTube. Mamy sprzęt, mamy soft, ja umiem obrabiać wideo. To ich gównu wygląda jak nakręcone puszką tuńczyka.

Podobieństwo słów psychopaty z YouTube’a do hasła, które kilka dni wcześniej zakwitło na warszawskich elewacjach, nie mogło umknąć uwadze mediów. Do zamachu na Świętokrzyskiej doszło w piątek tuż przed osiemną, dosłownie kilka minut przed tym, jak ruszyła strona internetowa poświęcona akcji krwiodawstwa. Jej premierę zaplanowaliśmy wcześniej, tak samo jak start kampanii na Facebooku. Obie ruszyły automatycznie. Strona wisiała w sieci przez dobrych kilkanaście godzin, nikt nie miał głowy, żeby pomyśleć o jej zdjęciu. Dopiero w sobotę wstrzymaliśmy zupełnie komunikację, a firma zdemontowała banery. Artykuł o zbieżności naszego przekazu z zapowiedzią dalszych zamachów pojawił się nawet jako news na głównych stronach Wirtualnej Polski i portalu o2.pl, ale nie zajął eksponowanego miejsca. Mimo to wykwitły pod nim setki komentarzy utrzymanych w różnym tonie, od paranoicznych po doceniające niezamierzony czarny humor. Sam autor tekstu pisał tylko o mrocznym zbiegu okoliczności.

Aktualizacje pobrały się w siedemdziesięciu pięciu procentach. Do pokoju wchodzi Piotr, wita się, wieszka kurtkę na wieszaku. Wygląda na zdenerwowanego, przystaje przed biurkiem, drapie się po podbródku.

– Słuchajcie – mówi. – Spotkamy się dzisiaj z LuceLume. Przyjadą do nas koło dwunastej.

Patrzemy na niego.

– Tu, do biura? – dziwi się Cyprian. – Myślałem, że Anna spotyka się z nimi tylko w restauracjach, i to nie byle jakich.

– Tym razem to wyjątkowa sytuacja, wiadomo dlaczego. Chcą, żebyśmy przygotowali wspólne oświadczenie i opracowali plan działań na najbliższe dni. Ponoć całą noc debatowali, co właściwie powinni teraz zrobić.

– A więc jednak – mówi Zuza.

Piotr siada za biurkiem.

– Wiecie, mnie to jakoś bardzo nie dziwi. Na ich miejscu każdy bałby się o reputację. Studentów będą na tym przykładzie uczyć o kryzysach pijarowych.

– Kryzys pijarowy? – Cyprian robi wielkie oczy. – Można o czymś takim w ogóle mówić w przypadku firmy, która praktycznie nie istnieje w mediach?

– Już istnieje. Tylko nie do końca tak, jak by chciała.

Wielkolud kiwa głową.

– Słusznie, racja. Mów, Piter, mamy coś przygotować?

Piotr zastanawia się.

– Nie, wy chyba nic. Słuchaj, Szymon – zwraca się do mnie. – Klient chciałby cię poznać jako autora tego nieszczęsnego hasła. Pewnie będą mieli kilka pytań. Chcielibyśmy, żebyś wziął udział w spotkaniu. To nie powinno potrwać jakoś bardzo długo.

– Jasne.

– Przepraszam, że tak zniecka. Sam dowiedziałem się po drodze do biura, że chcą się spotkać. Jeszcze wczoraj Anna twierdziła, że LuceLume wstrzyma się od jakichkolwiek działań.

– Spokojnie, Piotr. – Widzę, że szef się ciągle denerwuje. – Nie ma sprawy.

Pobieranie aktualizacji przyśpiesza, wreszcie osiąga sto procent, po kilku sekundach triumfalnie wyświetla się pulpit. Komputer jest gotowy do pracy.

3

Wyteżam wzrok najmocniej, jak potrafię, ale wciąż nie jestem w stanie rozszyfrować napisów na tablicy suchościeralnej. Biała powierzchnia upstrzona jest drobnymi literami, które równie dobrze mogą pochodzić z alfabetu obcych. Obok widać się też jakieś wykresy, piętrzą złożone tabele. Sprawia to wszystko wrażenie kiczowatej dekoracji, średnio subtelnego rekwizytu.

Piotr zauważa, że się przyglądam.

– Nie da rady już tego zetrzeć. Informatycy coś tu kiedyś wyliczali, ale nie zwrócili, głąby, uwagi, że wzięli zwykłe markery. Wyszło i kaplica, trzeba kupić nową.

– Dobrze, że chociaż nie narysowali kutasów.

Siedzimy przy długim dębowym stole, na razie we dwóch. Porozkładane na talerzach ciastka i małe kanapeczki sugerują, że spotkanie może potrwać. W pomieszczeniu pachnie drewnem, podoba mi się ten zapach. Piotr bębni palcami o blat. Wydaje mi się, że perspektywa spotkania z klientem naprawdę go peszy. Chcę coś jeszcze powiedzieć, zażartować, ale zaraz otwierają się drzwi. Stoi w nich Adam Sommer, przepuszcza przodem Annę. Za nią do salki wchodzi smukła dziewczyna z krótko obciętych rudymi włosami i mocno zbudowany mężczyzna koło czterdziestki. Oboje elegancko ubrani, garsonka, garnitur. Piotr i ja mamy na sobie zwykłe bluzy.

– Jesteśmy w komplecie – mówi Adam, zamykając za sobą drzwi.

Przedstawia nas. Ruda nazywa się Agata Kociuk, kojarzę od razu – to ona komentowała moje projekty postów; jej towarzysz to Johan Kellerman. We dwoje odpowiadają za działania marketingowe w LuceLume.

Podnoszę się. Agata z uśmiechem podaje mi rękę. Smukła, zadbana dłoń jest zaskakująco chłodna. Oczy kobiety mają kolor zielonych oliwek. Jeśli jest ode mnie niższa, to minimalnie. Johan to z kolei barczysty, zбитy w sobie byk, typ korpwojownika, który po dwunastu godzinach za biurkiem zrzuca marynarkę i biegnie półmaraton. Uścisk jego dłoni jest

niemal tak mocny jak spojrzenie, a wyćwiczonego uśmiechu pozazdrościłaby połowa polskich aktorów. Na perfumy wydał więcej niż ja na laptopa.

– Dobrze was poznać – mówi do Piotra i do mnie. – Choć oczywiście wolałbym inne okoliczności.

Mówi po polsku bardzo poprawnie, choć z silnym akcentem. Podejrzewam, że jest Belgiem albo Holendrem. Patrząc na niego i od razu znam całą historię. Przyjechał do Polski z pierwszą falą korporacyjnych managerów, gdy tylko dołączyliśmy do Unii Europejskiej, a wiatr z zachodu przywiewał specjalistów niczym nasiona dmuchawca. Już tu został, znalazł żonę, teraz mieszkają w Miasteczku Wilanów i wychowują piękne dwujęzyczne dzieci.

– No, niestety – wzdycha Adam. – W takich czasach żyjemy.

Chętnie sięgnąłbym po ciastko, ale się wstydzę. Nalewam tylko wody do plastikowego kubka, upijam spory łyk.

– Nic już nie poradzimy na to, co się stało – mówi Johan. – Musimy teraz zadbać, żeby tego zła, tego terroru nie łączono z naszą firmą. A niestety pojawiają się różne głosy.

– Monitorujemy sieć – dodaje Agata. Ma leciutką wadę wymowy, minimalnie sepleni. – Nazwa firmy pojawiła się w polskim internecie już blisko dwieście razy w kontekście zamachu.

Adam uśmiecha się samymi ustami.

– Nie możemy brać odpowiedzialności za to, że terroryści wykorzystali nasze hasło, celowo czy nie. To była i pozostaje nasza opowieść. Najpewniej zwykłym przypadkiem użyli takich słów.

– Oczywiście – zgadza się Johan. – Przypadkiem, złym zrządzeniem losu. Ale już się stało. To hasło miało kojarzyć się z robieniem dobra, z pomaganiem ludziom, a nie ze strasznym złem.

– Naszym zdaniem nie powinniśmy wdawać się w żadne dyskusje ani polemiki, nie musimy się przed nikim usprawiedliwiać – podtrzymuje Adam. – Ani jako LuceLume, ani jako agencja Regnum Lucidum.

Przytakuje mu Anna.

– Wystarczy, jeśli odetniemy się od tej sprawy krótkim, rzeczowym oświadczeniem. Każdy rozsądny zrozumie. Nawet jeśli wypowiedź

terrorysty jest inspirowana naszym hasłem, w co szczerze wątpię, nie możemy brać za to odpowiedzialności. Równie dobrze mogli skorzystać ze sloganu Pepsi albo Lay's.

– Tak, zgoda, pełna zgoda – przyznaje Johan. – Też tak myślimy.

– Krótka notka prasowa powinna wystarczyć – zgadza się Agata. – Przygotujecie jej treść?

Adam spogląda na Piotra.

– Jasne – mówi Piotr.

– Super. – Johan się uśmiecha. – Dacie radę jeszcze dzisiaj?

– Dasz radę, Szymon?

Czuję, że wszyscy patrzą na mnie.

– Tak, oczywiście – mówię. – Dzisiaj to napiszę. Odcinamy się od wszystkiego, z serca współczujemy poszkodowanym i ich rodzinom. Przelewanie krwi niewinnych ludzi to barbarzyństwo, z którym nigdy się nie pogodzimy. Coś w tym stylu.

– O to, to – cieszy się Johan. – O to właśnie chodzi.

– Odcięcie się od jakichkolwiek powiązań z terroryzmem to jedno – mówi Agata. – Ale drugie to pójście krok naprzód. Moim zdaniem powinniśmy jakoś zareagować, wykonać jakiś gest solidarności z rodzinami ofiar.

– To znaczy? – Adam patrzy na nią zdziwiony.

– Jako LuceLume powinniśmy po prostu coś zrobić. Wywołuje się nas do tablicy w komentarzach pod artykułami, w notatkach na blogach. Nasza marka była do tej pory bardzo słabo rozpoznawalna. Akcja krwiodawstwa miała rozpocząć pozycjonowanie nas jako firmy wspierającej dobroczynność, zaangażowanej społecznie. Zdarzyło się to nieszczęście i teraz nawet nie chcę wiedzieć, co się wyświetla jako pierwsze po wpisaniu w Google'a „LuceLume krew”. Musimy jakoś zareagować.

Adam kiwa głową.

– Tak, zgoda.

– Może po prostu powinniście udzielić pomocy finansowej ofiarom? – zastanawia się Piotr.

– To chyba dość skomplikowane prawnie, no i wizerunkowo jednak byłby to dziwny ruch – powątpiewa Anna. – Przy odrobinie złej woli można to

odebrać jako próbę odkupienia win czy nawet jakiegoś przekupstwa. To byłaby woda na młyn świrów od teorii spiskowych. I pamiętajmy, że dopóki marka jest słabo widoczna w internecie, nawet wpisy na blogach dla wariatów będą się wysoko pozycjonować. Lepiej dmuchać na zimne.

– A może konsekwentnie, zbiórka krwi? – proponuję. – Na mniejszą skalę, w konkretnym celu, dla poszkodowanych w zamachu.

Agata i Johan przyglądają mi się z uwagą.

– To brzmi niegłupio. Wciąż wielu rannych przebywa w szpitalach, czeka na operację. Krew może być bardzo potrzebna.

– Nawiążemy w ten sposób do tamtej nieszczęsnej akcji – podłapuje Adam. – A przy okazji w świat pójdzie przekaz, że mimo wszystko robimy swoje.

– Dobrze, dobrze. – Johan jest zadowolony. – Podoba mi się.

– Musielibyśmy ruszyć z tym jak najszybciej – mówi Anna. – Tym razem już bez żadnej tajemniczej otoczki, przekaz powinien być bardzo prosty, a komunikacja wyważona. Jesteście w stanie zorganizować logistycznie samą zbiórkę jeszcze w tym tygodniu? Czasu jest mało, a trzeba dopełnić formalności. Byliśmy dogadani z Centrum Krwiodawstwa, ale trzeba będzie potwierdzić nowy termin.

– Tak, nie powinno być z tym problemu.

Sięgam po ciastko. Czuję, że zasłużyłem. Widzę, jak zadowoleni z obrotu sprawy są Adam, Anna i Piotr. Zabieramy się do omawiania szczegółów.

* * *

Agata zamówiła taksówkę, kierowca powinien zjawić się za kwadrans. Biuro LuceLume znajduje się na Domaniewskiej, w samym sercu Mordoru. Niewykłuczone, że szybciej dotarliby na miejsce tramwajem.

Spotkanie skończyliśmy z właściwie gotowym briefem. Zorganizujemy zbiórkę krwi na Facebooku, tym razem nie wychodząc w ogóle poza internet. LuceLume we współpracy z Centrum Krwiodawstwa przygotowuje mobilne punkty, w których warszawiacy będą mogli oddać krew, i weźmie na siebie techniczną stronę przedsięwzięcia, najpewniej przy pomocy stricte eventowej agencji. Pewnie wydadzą fortunę, żeby przygotować wszystko

w tak krótkim czasie. Akcja ruszy jeszcze przed weekendem.

Idziemy z Agatą do kuchni. Johan nie pije kawy, został w salce z Adamem.

– Jesteś tu nowy, prawda? – pyta dziewczyna, podczas gdy ekspres wypluwa do jej filiżanki cienką czarną strużkę.

– Tak, dopiero zaczynam.

– Podobają mi się twoje pomysły. Gdy zobaczyłam projekty postów na Facebooka, od razu wiedziałam, że tym razem pisał ktoś inny, a nie Piotrek. Anna miała rację.

– Dzięki.

– Pewnie sporo będziemy razem pracować – mówi. – Słuchaj, macie tu gdzieś cukier?

Cukierniczka powinna stać przy ekspresie, ale jak zawsze ktoś przestawił ją na stół. Podaję Agacie i przypadkiem dotykam jej dłoni, wciąż jest chłodna; od razu cofam rękę. Żeby ukryć zmieszanie, odwracam się i wyjmuję z szuflady łyżeczkę.

Agata się uśmiecha.

– Wiesz, jak to jest. Niby nie słodzę, ale po tej nasiadówce zaraz zejść. Jeśli coś mnie może ocalić, to kofeina i cukier.

– Nie oceniam – mówię. – Masz rację, trochę posiedzieliśmy.

Nie siada, opiera się o parapet. Za oknem siąpi.

– Jeszcze się nasiedzimy.

Przez chwilę rozmawiamy, jak wyobrażamy sobie opis facebookowego wydarzenia ze zbiórką krwi. Im lepiej się teraz zrozumiemy, tym mniej czeka nas poprawek. A pracy na pewno i tak nie zabraknie, szykują się dwa bardzo intensywne dni.

Esemes z informacją o przybyciu taksówki przychodzi kilka minut przed umówioną porą. Agata idzie po Johana, razem wrócą na Domaniewską.

– Do zobaczenia – mówi.

4

Telefon wibruje dokładnie w momencie, gdy wsiadam do windy. Jedną ręką wybieram numer piętra, drugą odblokowuję ekran. Powiadomienie na Facebooku. No proszę: „Użytkownik Aga Ta zaprasza do znajomych”. Akceptuję w ciemno.

Wchodzę do mieszkania i jej profil przeglądam już na laptopie. Ledwo rozpoznaję Agatę na zdjęciu profilowym, czarno-białym i mocno wystylizowanym, najpewniej zrobionym podczas profesjonalnej sesji; z tym typem urody nadawałaby się na modelkę. Pochodzi z Gdańska, studiowała na uniwersytecie w Warszawie. Urodziny obchodzi 26 stycznia. I to już wszystko, czego można dowiedzieć się z zakładki „O mnie”. Tajemnicza z ciebie dama, koleżanko Kociuk. Nawet liczbę znajomych ukryłaś, widzę tylko, że mamy dwoje wspólnych, Annę i Piotra. Przechodzę do galerii zdjęć. W albumie z profilowymi zamieściła cztery fotki, dodając nowe średnio co dwa lata. Na najstarszym jest blondynką z włosami do ramion; gdyby podczas przesłuchania pokazano mi tę fotografię i zapytano, czy rozpoznaję przedstawioną osobę, zaprzeczyłbym z pełnym przekonaniem, a żaden wariograf nie wskazałby, że kłamię. Przeglądam inne albumy. Dziewczyna zjeżdżyła kawał świata: pozuje między innymi na tle Wielkiego Kanionu, Seattle Tower i ruin Machu Picchu. W samej Europie zwiedziła kilkanaście krajów. Zatrzymuję się dłużej przy zdjęciach z Izraela, z plaży w Tel Awiwie; była tam w lipcu. O Chryste, co za figura. Nogi, za które każda polska celebrytka oddałaby połowę followersów na Instagramie, przerwa między udami, o którą modlą się nastolatki. Piersi apetycznie wypychające górę od bikini. A jeszcze płaski brzuch, a jeszcze krągłe biodra. Kiwam głową. Dziesięć na dziesięć, madame, a teraz jury musi ochłonać.

Ciekawe, ile ma lat. Wśród zdjęć, na których znajduje się Aga Ta, widzę jedno z absolutorium. Data sugerowałaby, że jest ode mnie młodsza o trzy lata. Zaintrygowany zauważam, że do żadnej fotografii nie pozuje z chłopakiem. Czy to w ogóle możliwe, by taka dziewczyna była sama? Nic

nie wskazuje, żeby miała dzieci.

Przeglądam jej tablicę. Bardzo mało publikuje, głównie linki do alternatywnych elektronicznych utworów, czasem oznacza się w restauracjach. Gdyby nie albumy z wyjazdów i kilka fotografii, na których została oznaczona przez znajomych, pomyślałbym, że to konto założone tylko do kontaktów z ludźmi z pracy. Myślę o moim facebookowym profilu, o setkach artykułów, piosenek i filmów, którymi bez przerwy dzieliłem się ze znajomymi. Gdyby lajki pod napisanymi po pijaku statusami mogły ogrzewać mieszkanie, wyłączyłbym wszystkie kaloryfery.

Dostaję powiadomienie: „Aga Ta polubiła twoje zdjęcie”. Profilowe szare selfie, nieszczególnie efektowne. Pewnie korzysta z Facebooka na telefonie i omsknął się jej palec. Przez chwilę chcę ją zagadać na czacie, ale nie bardzo wiem, co napisać.

Zamykam fejsa, wchodzę na serwis informacyjny. Po spotkaniu z LuceLume do końca dnia pracowałem nad treścią oświadczenia i nie miałem czasu, żeby przejrzeć newsy. Zaraz się okazuje, że niewiele straciłem. Pierwsze strony to oczywiście wciąż mozaika zdjęć i nagłówków dotyczących zamachu. Skanuję tylko wzrokiem, nie klikam. Tyle wystarczy, żeby dowiedzieć się, że wciąż nie ustalono, kto podłożył ładunek na Świętokrzyskiej, nadal też nie wiadomo nawet, kto jest autorem nagrania „warszawa.mkv”. Polacy zaczynają się burzyć coraz głośniej, lud domaga się głów. Dochodzi do kolejnych incydentów, jakby wybite witryny wschodnich restauracji i złamane szczęki obcokrajowców mogły przywrócić życie zabitym na stacji metra. Rządzący potępiają te akty barbarzyństwa i zapowiadają kary, ale ich wypowiedzi są bardzo stonowane, wymuszone, najchętniej nie odzywaliby się w ogóle. W pewien sposób trudno się dziwić, po podobnych zamachach w zachodniej Europie tożsamość sprawców podawano do wiadomości po kilku godzinach. Paryż, Londyn, Madryt. Tam nikt nie miał wrażenia, że państwo jest bezradne.

A jednak nie daję rady się powstrzymać i gdzieś klikam. Włącza się wideo: opozycyjny polityk, którego w ogóle nie kojarzę, gardłuje, że widocznie po tylu latach wciąż cechuje nas sowiecka mentalność, bo gdyby nie internet, władze najchętniej udawałyby, że w ogóle nic się nie stało, jak w ZSRR. Zagadkę prędzej rozwikła jasnowidz Jackowski niż nasze nieudolne służby. Klikam dalej. Pojawiają się coraz dziwniejsze spekulacje

– wybuch w metrze jest tak naprawdę rządowi na rękę, daje doskonały pretekst do zaostrzenia prawa, rozszerzenia kompetencji służb, wprowadzenia instrumentów prawnych do totalnej inwigilacji obywateli. W innym artykule amerykański specjalista od zamachów terrorystycznych, który zapoznał się ze wszystkimi dostępnymi materiałami, twierdzi, że ofiar mogło i powinno być znacznie więcej – do eksplozji doszło prawdopodobnie zbyt wcześnie, jeśli ładunek detonowano zdalnie, terrorysta najpewniej pośpieszył się o kilka sekund. Ktoś podsuwa mętłą hipotezę, że mężczyzna wygłaszający upiorne orędzie na nagraniu jest polskim Czechenem.

Przewijam do wiadomości lokalnych. Tu także najwięcej miejsca zajmują informacje dotyczące zamachu. Sekcje zwłok wszystkich ofiar zostały już zakończone, pogrzeby zaplanowano na drugi tydzień listopada. Z dziewiętnastu zabitych dziesięć osób było warszawiakami, ośmioro to studenci z różnych części kraju, od kilku dni wiadomo też, że zginął jeden Hiszpan. Poświęcony jest mu osobny artykuł, *Julian kochał Warszawę*. Nie mam ochoty tego czytać, nie gniewaj się, Julianie.

Za to niżej znajduję nagłówek: PRZEŁOM W SPRAWIE ZAGINIONYCH JOLANTY I EWELINY? Znak zapytania stawia sprawę jasno: nie można liczyć na żadne istotne treści. Każdy wie, że w internecie nie daje się tytułów w formie pytania materiałom, które zawierają zweryfikowane informacje. Znak zapytania jest wygodny, jest najlepszym przyjacielem redaktora serwisu internetowego, bo unieważni każdą bzdurę, a liczba odsłon długo będzie tylko rosła.

Klikam. Przesuwam wzrokiem po kilkudzaniowej notatce, opublikowanej wczoraj wieczorem.

Z naszych informacji wynika, że dzisiaj przesłuchano w tej sprawie w charakterze świadków kolejne osoby, w tym właściciela mieszkania, które wynajmowała Jolanta Kaczmarek, i byłego chłopaka Eweliny Kuliczki. Komenda Główna Policji odmówiła komentarza.

Dobry Boże. Czuję się naprawdę nieswojo. Właśnie stałem się bohaterem newsa na portalu informacyjnym. Wyobrażam sobie dziennikarzy przyczajonych przez cały dzień przed pałacem Mostowskich, z aparatami wycelowanymi w wejście do komendy. Wyobrażam sobie, jak niczym

chmara much dopadają Alberta Kalinę, gdy ten kończy pracę. Tym razem nawet nie zaglądam do komentarzy, nie chcę wiedzieć, co sugerują internauci. Niech wszyscy spierdalają.

Przełączam się z powrotem na Facebooka. Lepiej popatrzę sobie na rozneglizowaną Kociuk w Tel Awiwie. W międzyczasie polubiła jeszcze jedno moje zdjęcie i dwa statusy. Uśmiecham się. W nowej zakładce otwieram serwis porno.

5

Wydaje ci się, że wszystkich oszukasz? Że będziesz w stanie grać niewinnego w nieskończoność? Bardzo się mylisz. Świadek, dobre. To tylko kwestia dni, żeby wszystko wyszło na jaw. Sprawiedliwość cię dosięgnie szybciej, niż myślisz, Pelawski. Trzymam kciuki, żebyś skończył w więzieniu.

Słuchaj cwelu przecież wszyscy wiedzą że to ty zabiłeś Ewelinę. Zgnijesz w pierdłu chuju tam jest twoje miejsce. Takich jak ty się rucha pod prysznicem jak kurwę a potem wpierdol pod celą hehe żaden strażnik nawet nie spojrzy. Zajebią cię i zakopią na śmietniku. Lepiej się od razu powieś gnoju może mniej będzie bolało.

Wszyscy widzą jak działa polska policja :) więc nie zdziw się, jeśli zanim bagiety wjadą ci na chatę, kumple Eweliny znajdą cię sami. Lepiej przyznaj się od razu. Na dołku może będzie nudno, ale raczej nikt ci nóg nie połamie :) taka tam życzliwa porada :)

Facebookowy folder „Inne”, do którego trafiają wiadomości wysłane przez użytkowników spoza grona znajomych, puchnie od pogróżek zawołowanych bardziej, mniej lub zgoła wcale. W ciągu ostatnich dwunastu godzin otrzymałem ich dziesięć. Piszą faceci, piszą kobiety. Przeglądam profile nadawców tych wiadomości: w większości to oczywiste wydmuszki, profile widma, założone chyba specjalnie na tę okazję. Zdjęcia profilowe przedstawiają bohaterów kreskówek albo zbliżenia na oczy lub usta; niektórzy w ogóle nie zamieścili żadnych zdjęć. Nic też nie publikują, nie podają żadnych informacji na swój temat. Niektórzy mają siebie nawzajem wśród znajomych.

Ewelina mówiła, kim jesteś naprawdę. Są świadkowie, są dowody. Będę zeznawać przeciwko Tobie, sama się zgłoszę na policję. Wracaj na komendę, przyznaj się do wszystkiego, oszczędź cierpienia jej rodzinie i sam sobie.

Przez chwilę zastanawiam się, czy im nie odpisać. Bez sensu, szkoda czasu, szkoda nerwów, nikt nawet nie przeczyta. Widma nie czytają. Wykonuję zrzuty ekranu z każdą z tych wiadomości, zapisuję w jednym folderze. Na wszelki wypadek wysyłam też je wszystkie sobie na mejla.

Jak właściwie powinienem się zachować w takiej sytuacji? Zgłosić na policję? To chyba niepoważne. Mało jednak czytałem takich historii? Zaczyna się w skrzynce odbiorczej, żeby nie wiadomo jak i kiedy skończyć na intensywnej terapii. Niejeden lincz zaczął się w internecie. Dla porządku zgłaszam każdą z osobna wiadomość Facebookowi. Portal pewnie pro forma zawiesi podejrzone konta. Podejrzewam, że w rzeczywistości za wszystkimi wiadomościami stoi jedna osoba. Kręcę głową. Nie wiem, co musiałoby się wydarzyć, żeby zechciało mi się zakładać na fejsie dziesięć różnych kont tylko po to, żeby wysłać komuś pogróżki.

Wpisuję w Google'a swoje nazwisko. Dopisuję nazwisko Eweliny. Enter. Pierwszy wynik, no przecież. To link do notatki o przesłuchaniu świadków, którą przeczytałem wczoraj na gazecie.pl. W komentarzach dobra duszyczka, podpisująca się jako zwykła_ćma, napisała:

Ten chłopak to Szymon Pelawski. Coś mi mówi, że jeszcze o nim usłyszymy. Mam nadzieję, że policja ma go stale na oku.

Dalej pojawia się odnośnik do mojego profilu na Facebooku. Komentarz oceniono dwadzieścia dziewięć razy, z czego tylko pięć to oceny negatywne. Chryste. Zgłaszam komentarz do moderacji. „Czy jesteś pewien, że komentarz powinien zostać usunięty?”. Tak, kurwa, jestem pewien. „Zgłoszenie wysłane”. I bardzo dobrze.

Odświeżam stronę raz, drugi, trzeci. Komentarz jak wisiał, tak wisi. Idę do kuchni, wstawiam wodę na herbatę. Czajnik szumi, za oknem szumi deszcz. Warszawa to ciemne bryły, Warszawa to miękkie światła, Warszawa to miliony typowych historii. A ty, zwyczajna_ćmo, kim jesteś? Pierwsza myśl – kimś ze znajomych albo przynajmniej osób, które obserwują mój profil na Facebooku, jest ich ponad setka. Myśl druga – przecież na fejsie może mnie znaleźć każdy. Cholera wie, co i komu naopowiadała Ewelina. Może to być rudy Marcin, może ktoś z ferajny kretynów, których zaprosiła

do mnie na imprezę.

Zalewam herbatę wrzątkiem, wracam do pokoju z parującym kubkiem. Komentarz pod tekstem zniknął, alleluja. Wpisuję w Google'a nick „zwyczajna_ćma”, ale nie wyświetlają się żadne wyniki. Kimkolwiek jesteś, zgiń. Spłon.

Dostaję wiadomość na Facebooku. Pisze do mnie Dorota.

Cześć, Sajmon!

Cześć – odpisuję.

Co słychać?

A w porządku. Jeśli nie liczyć pogroźek, które wysyłają mi obcy ludzie.

Wygląda to aż nazbyt poważnie, więc dostawiam na koniec wyszczerzone w uśmiechu emoji.

Co?!

Kopiuję treść jednej z wiadomości, które otrzymałem – tę z sugestią, żebym się powiesił. Wklejam w okienko czata.

O Boże, przecież to jest karalne...

Myślisz, że podpada już pod groźbę karalną?

Jest paragraf na zachęcanie do samobójstwa.

Dorota kończy wszystkie wypowiedzi kropką i prawie nie zdarzają się jej literówki. Skończyła polonistykę. Pamiętam, że do Cremè de la Creation aplikowała na stanowisko copywritera, ale Dawidowi i Łukaszowi nie do końca przypadło do gustu zadanie próbne. Za to wcześniej, podczas rozmowy, zaprezentowała się na tyle dobrze, że koniec końców zaproponowali jej po prostu inną posadę.

Mam tu więcej takich kwiatków. Jakiś idiota podał publicznie adres mojego profilu i proszę...

Zgłaszałeś to już policji?

Nieeee, co oni niby zrobią. Nie są w stanie od pięciu dni ogarnąć, kto zabił w metrze 19 osób, a będą ścigać zjeba wysyłającego jakiś bullshit na fejsie...

Słuchaj, jakbyś potrzebował z tym pomocy, to dawaj znać. Robiłam w moderacji przecież, mam wciąż rozpiskę, jak z takimi postępować, w jakim przypadku które paragrafy są łamane.

Dzięki śliczne, mam wielką nadzieję, że nie będzie potrzeby.

Pieczętuje wypowiedź emotikonką. Zapada cisza. Animowany wielokropek w okienku rozmowy przez kilkanaście sekund wygina grzbiet jak gąsienica. Dorota zastanawia się nad odpowiedzią.

A jak się w ogóle trzymasz?

Dzięki, jest ok. Naprawdę. Sporo się dzieje w nowej pracy.

Właśnie, jak z tym? Zadowolony?

Zadowolony, ludzie spoko. Za to na dzień dobry wyszła paranoiczna historia z hasłem do jednej kampanii. Kojarzysz te banery z claimem Niech arteriami popłynię krew?

Kojarzę.

To kojarzysz też pewnie, że pojeb na filmiku po zamachu użył dokładnie takich słów. Trochę się poschizowaliśmy, była nawet narada wojenna z klientem, hardkor.

No tak, rzeczywiście. Nawet pisali gdzieś o tym. Nie skojarzyłam, że to Twoja firma. Jezu, nieźle...

No, ale mam nadzieję, że na tym koniec dziwnych historii. A jak u Ciebie?

Zaczynam dopiero od przyszłego tygodnia, póki co laba.

Zostajesz w branżuni?

Nie do końca. Idę do wydawnictwa, będę panią redaktor.

O, super! Spokojniejsza praca.

No, to na pewno. Przyda się zmiana, jeszcze parę lat w agencji i bym wrzodów dostała...

Rozmawiamy przez kilkanaście minut. Popijam herbatę, pytam, co u reszty ekipy. Dorota jest w kontakcie z Markiem z naszego niedawnego

zespołu, chłopak dostał od ręki pracę w jednej z największych sieciowych agencji. Właściwie nikt nie został na lodzie. Nawet Łukasz podobno kombinuje już jakiś start-up, ale nie zdradził jak dotąd, czym dokładnie miałby się zajmować. Na pewno będzie się dalej sądził z Dawidem.

Tak sobie myślę – w pewnym momencie pisze Dorota – może na piwo jakieś byśmy się ustawili?

Pewnie. Piątek?

Jasne, pasuje.

Po chwili się zegnamy, Dorota ucieka spać, jutro z samego rana jedzie do rodziców.

Zaglądam do folderu „Inne”. Póki co nikt nic więcej nie napisał.

6

Siedzimy z Anną i Piotrem w salce konferencyjnej. Jeśli ci dwoje rzeczywiście romansują, są absolutnymi ninja, mistrzami kamuflażu. Gdyby nie podejrzenia grafików, nawet bym o nich w tym kontekście nie pomyślał. Sprawiają raczej wrażenie wieloletnich znajomych. Przychodzi mi do głowy, że może kiedyś faktycznie byli parą, ale uczucie dawno wygasło, paliwo się wypaliło, a im udało się zachować bliską, przyjacielską relację.

– To będzie przyjemny, lekki projekt. – Anna się uśmiecha. – Dla odmiany. Żadnych złowrogich haseł.

Zbiórka dla ofiar zamachu w metrze ruszyła dzisiaj rano. W agencji zajęliśmy się tylko komunikacją w mediach społecznościowych – szybka kampania na Facebooku, Snapchacie i Instagramie okazała się bardzo skuteczna, ludzie masowo przychodzili do wyznaczonych punktów, udało się już zebrać kilkaset litrów krwi, znacznie więcej niż potrzeba.

Do grona krwiodawców dołączyli też Anna i Adam, rano sami pojechali oddać nieco życiodajnego płynu. Nikt z naszego pokoju nie zdecydował się im towarzyszyć.

– Mam za niską hemoglobinę – pokręcił głową Cyprian. – Na nic się moja jucha nie przyda.

– U mnie to samo. – Piotr nawet nie oderwał wzroku od ekranu laptopa.

Zuza przyznała wprost:

– Wiecie co, boję się trochę, że w moim krwiobiegu mogliby jeszcze znaleźć po weekendzie jakieś zabawne substancje. Może lepiej nie.

– A ty, Szymon?

– Mdleję na pobieraniu krwi – przyznałem. – Wolę tego oszczędzić sobie i wam.

Nikt nic nie powiedział, pokiwali tylko głowami. Odniosłem wrażenie, że zwłaszcza Cyprian mnie rozumie.

Po Annie w ogóle nie widać, że trzy godziny temu dała sobie pobrać pół

litra osocza, a w ciągu dwóch ostatnich dni nie zdarzyło się, żeby wyszła z biura przed dwudziestą pierwszą, dopinając szczegóły akcji z jakąś agencją eventową. Siedzi rozluźniona, chyba pierwszy raz widzę ją w zwykłej bluzie zamiast żakietu. Poprawia na nosie okulary w grubych oprawkach. Cyprian ma rację, przypomina teraz jedną z popularniejszych aktorek z wytwórni porno Brazzers.

Anna mówi:

– Jak wiesz, jeden z naszych klientów to deweloper, firma Huoyan House. To właśnie dla niego zrobimy aktywację. W największym skrócie: klient postawi osiedle na Tarchominie. Jakiś czas temu wykupił w tym celu tereny dawnej Fabryki Domów na Starych Świdrach. Charakterystyczne miejsce, kojarzysz?

– Kojarzę. Opuszczone budynki, rdza. Industrialny klimat. Masę zdjęć tam ludzie robią.

– Zgadza się. Większość tych ruder zostanie rozebrana, w ich miejscu staną nowe budynki. Docelowo bodajże dwieście pięćdziesiąt mieszkań. Osiedle Fabryka Domów, tak to się ma nazywać.

– Za komuny rzeczywiście tworzono tam prefabrykaty, z których potem można było szybko stawiać budynki mieszkalne – wtrąca Piotr. – Klient początkowo właśnie w tej historii widział opowieść, dzięki której sprzeda ludziom całą inwestycję. Na zasadzie, rozumiesz, „zamieszkać w domu warszawskich domów”. Ale to chyba nie jest najlepszy pomysł.

– Nie brzmi jak coś, co porwie tłumy – przyznają.

– Pojawiła się więc idea, że trzeba nadać tej inwestycji trochę tożsamości, jakoś ją wyróżnić.

– A co to będzie za osiedle?

Anna nieco się krzywi.

– Właśnie w tym problem, że samo w sobie nie wyróżni się raczej niczym szczególnym. Ot, mieszkania dla młodych rodzin, co najwyżej z delikatną industrialną ornamentyką, no bo Fabryka. Huoyan chcieliby jakoś zainteresować ludzi, już teraz zwrócić uwagę na to miejsce. Budżet nie jest wielkim problemem, myśleli nawet o konkursie, w którym można wygrać mieszkanie albo dużą zniżkę na zakup.

– To chiński deweloper?

– Z chińskim kapitałem, ale nie sugerujmy się tym. Nie chcą w żaden sposób podkreślać tego azjatyckiego wątku, na rynku nieruchomości nie kojarzy się najlepiej. Bardzo prawdopodobne, że mieszkania będzie sprzedawać jakaś nowa spółka. Jest jeszcze za wcześnie, żeby promować samą inwestycję, deweloper nie ma nawet porządnie opracowanych rzutów, osiedle nie ma strony internetowej. Chodzi raczej o to, żeby powstało już trochę szumu wokół nazwy Fabryka Domów.

Zastanawiam się.

– Sama przestrzeń Świdrów może być mocno inspirująca. Opuszczone fabryczne zabudowania, sceneria jak po wojnie atomowej. Idealna lokalizacja do meczu paintballa czy nielegalnego rave’u. Może w tę stronę warto pójść?

– Paintballa i rave’u?

– Szerzej, miejskiego undergroundu. Kiedy tam fizycznie coś się zacznie dziać, kiedy ruszą prace budowlane?

– Na wiosnę.

– A więc skoro już teraz chcą promować Fabrykę Domów, i to w niestandardowy sposób, myślę, że najwięcej sensu miałyby zorganizowanie jakiegoś eventu na miejscu, dosłownie pośród tych ruin.

Anna i Piotr spoglądają po sobie.

– I jak byś to widział?

– Na początek coś na niedużą skalę, ale od razu grając przede wszystkim przestrzenią, lokalizacją. Wyobraźcie sobie kampanię, w której zachęcamy odbiorcę do udania się na Świdry w konkretnym dniu, o konkretnej godzinie. Zaproszenia dostaje, dajmy na to, sto osób.

Rozkręcam się, mówię coraz szybciej.

– Zaproszeni wiedzą tylko tyle, że na miejscu wydarzy się coś ekscytującego, jakiś koncert albo impreza. Przychodzą, a tam faktycznie, w hali gra dobry didżej, jest bar, jest też opcja, żeby wziąć udział w jakimś quizie. Zwycięzcy wygrają zniżkę na mieszkanie w inwestycji, która wkrótce tam stanie.

– Całkiem ciekawe – mówi ostrożnie Anna.

– Ta Fabryka była jeszcze niedawno ukochaną miejscówką miejskich eksploratorów. – Piotr drapie się w podbródek. – Chodzili tam wszyscy,

których jarały opuszczone budynki. Może warto to wykorzystać, zrobić jakąś grę miejską, podchody?

– Uczestnicy mogliby dostawać podpowiedzi – załapuję. – Żeby wygrać, musieliby wykonywać jakieś zadania. Po każdym w nagrodę przychodziłaby kolejna wskazówka. Wszystko spinałaby aplikacja na telefon.

– Można by wykorzystać geolokalizację. Dostajesz zadanie, musisz znaleźć w mieście to, tamto i owamto. Prosta mechanika, aplikacja szcytuje twoją lokalizację i na tej podstawie zalicza zadanie albo nie. Pierwsi, którzy wykonają wszystkie zadania, otrzymają od nas zaproszenie.

– A w zaproszeniu współrzędne GPS Fabryki oraz godzinę. Przyjdą na miejsce, a tam elitarna impreza. Dla przyszłych mieszkańców, nawet jeśli jeszcze o tym nie wiedzą.

Anna uśmiecha się szeroko.

– Panowie, podoba mi się to. A do tego brzmi, jakby mogło przekonać Chińczyków. Nasz rynek ogarnia tam młody koleś, Polak zresztą, który powinien to łyknąć. Podpytam ich jeszcze, jaki dokładnie mają budżet. Może dadzą się też przekonać, żeby nie promować tej inwestycji jako kolejnej sypialni na Białołęce.

– To aż się prosi o trochę pazura – przyznaje Piotr.

– Mieszkania dla buntowników – mówię. – Dla tych wszystkich, którzy może i mają kredyt i dziecko w prywatnym przedszkolu, ale w środku wciąż pozostali niegrzeczni.

– Słuchajcie – mówi Anna. – Na pewno warto będzie powalczyć, bo Chińczycy jeszcze nie zdecydowali, kto poprowadzi całą komunikację, gdy ruszą z pracami i zacznie się regularna sprzedaż. Jeśli uda nam się zrobić coś fajnego przy okazji tej aktywacji, może wypaść naprawdę duży projekt. Zajęcie na dobre dwa lata, pewnie nowy zespół trzeba będzie zmontować, zatrudnić nowych ludzi. Pogadam z nimi, dowiem się, co z tymi nagrodami, jak to widzą, na ile możemy sobie pozwolić. Zaczynaj już myśleć, Szymon, jak to można konkretnie rozegrać, jaką historią obudować. Przygotuj kilka pomysłów, mogą być póki co szkice, ale super, gdybyśmy w poniedziałek mogli pokazać im coś konkretnego.

– Pewnie – mówię. – To brzmi jak niezła zabawa.

– No, panowie. – Anna wstaje od stołu. – Dziękuję wam zatem za

spotkanie. Piotrek, z tobą złapię się jeszcze potem, dobra?

– Dobra – przytakuje Piotr, a ja zauważam, że może i rzeczywiście jego spojrzenie jest o pół tonu cieplejsze, niż gdyby patrzył na koleżankę z pracy.

Ciemny masyw bloku przy Granicznej zdaje się wrastać prosto w pochmurne niebo. Czuję olśnienie: nieregularny wzór, w jaki układają się światła w oknach, to zakodowany zapis danych. Spójrz z odpowiedniego dystansu, a na pewno też dostrzeżesz. Światło gaśnie w jednym oknie i natychmiast zapala się gdzie indziej, to musi być zaprogramowana sekwencja. Całe osiedle jest wielkim mechanizmem, zastygłym w bezruchu, wyczekującym na sygnał z kosmosu. Kiedyś się przebudzi i wtedy nam wszystkim biada.

Telefon znów wibruje. Niechętnie sięgam do kieszeni. Nie znam numeru, który wyświetla się na ekranie. To już trzecie kolejne połączenie, telemarketerzy raczej nie bywają tak nachalni.

– Słucham?

– Cześć, Szymon – słyszę sapanie. – Janek z tej strony.

Wzdycham. Natychmiast żałuję, że odebrałem.

– No cześć. Co tam?

– Mam twój numer od Gośki – mówi szybko. – Przepraszam, że przeszkadzam. To pilna sprawa, naprawdę musimy pogadać.

– Skoro tak twierdzisz.

– Słuchaj, pojechałem znowu na Żoliborz, tam na Broniewskiego.

– Aha?

– No i tam się światło świeciło w oknach. W mieszkaniu, do którego się Ewelina wprowadziła.

Mijam kanciasty, brzydki budynek z lat dziewięćdziesiątych. Dwadzieścia kilka lat temu musiał robić wrażenie nowoczesnego, dzisiaj wygląda, jakby posadzić przed Minecraftem niezbyt zdolne dziecko. Trochę zazdroścę pokoleniu, które mogło podziwiać osiedle Za Żelazną Bramą zaraz po wybudowaniu, cieszyć się jego surowym pięknem, zanim obrosło tego rodzaju upośledzoną architekturą wczesnego kapitalizmu niczym kadłub

żaglowca muszlami małży.

– No dobrze – mówię. – Świeciło się światło. To może znaczyć, że ktoś tam mieszka. Mieszka w mieszkaniu, zobacz, jaka niespodzianka. Jesteś pewien, że to właśnie te okna?

– Tak. Piąte od dołu, trzecie i czwarte od lewej. Zrobiłem specjalnie zdjęcia, zaznaczyłem sobie, żeby pamiętać.

– Nieźle.

– Na sto procent jestem pewien.

– A pomyślałeś, że może to właściciel mieszkania przyszedł? Albo i sam ten Marcin, przecież on musi gdzieś żyć, nieważne, z Ewelina czy bez?

– No niby tak. Ale wiesz, jak zobaczyłem światło, to od razu poszedłem zadzwonić do domofonu.

– I co?

– I nikt nie odebrał. A światło się świeciło. A potem zaraz zgasło.

– Może ktokolwiek tam był, nie chciał przyjmować gości? Ty otwierasz każdemu, kto zadzwoni domofonem? Janek, słuchaj, weź mi powiedz jedno.

– Tak?

– Dlaczego tak się w to angażujesz? Odpuść, naprawdę. To sprawa dla policji. Byłeś na komendzie?

– Byłem.

– Ja też, przesłuchali mnie w poniedziałek. Ta machina działa, sprawą zaginięcia Eweliny zajmują się kompetentni ludzie. Oni się na tym znają, naprawdę. Zostaw im śledztwo, tak naprawdę możesz tylko przeszkadzać.

– No nie wiem. – W głosie głębia słyszę dezaprobatę. – Miałem raczej wrażenie, że nic tam nie robią. A przecież nie tylko Ewelina zniknęła, ale też ta druga dziewczyna.

– Tak, i zginęło też dziewiętnaście osób w metrze. Uwierz mi, że policja i wszystkie służby mają teraz co robić. A nam brakuje wiedzy, żeby oceniać ich pracę. To, że według ciebie nic nie robią, jeszcze nic nie znaczy. Daj im spokojnie pracować. Zresztą sam naprawdę nic nie zdasz. Możesz tak jeździć na Żoliborz choćby codziennie.

– Dlatego dzwonię do ciebie.

– We dwóch też nic nie zdasz, to raz. A dwa, że ja naprawdę nie chcę

mieć z tą historią już nic wspólnego. Uszanujesz to?

Janek przez kilka sekund szuka odpowiedzi.

– Nie rozumiem cię. Gdyby to była moja dziewczyna...

– Ale ja nie proszę, żebyś zrozumiał – przerywam mu. – Proszę tylko o jedno: żebyś mnie w to więcej nie angażował. Naprawdę zrobiłem, co w mojej mocy. Poświęciłem pół dnia na przesłuchanie. Wiesz, ile mam przez to wszystko problemów? Właśnie, dobrze, że już rozmawiamy. Słuchaj...

– Tak?

– Wiesz może, kto mógłby wysłać mi pogróżki na Facebooku?

– Pogróżki?

– Obcy ludzie wysyłają z jakichś dziwnych kont wiadomości, w których życzą mi śmierci albo chociaż zgnicia w pierdłu. Nie mówię nawet o zwykłych groźbach, że ktoś mi nogi połamie. Jakiś idiota podał publicznie do wiadomości adres mojego profilu i się zaczęło.

Po pierwszej fali pogróżek zmieniłem wszystkie ustawienia na prywatne, mój facebookowy profil stał się zamkniętą twierdzą, niedostępną dla nieznajomych. A mimo to dostałem jeszcze trzy wiadomości, wysłane przez trzech różnych użytkowników. Gdyby miała się spełnić jedna dziesiąta tego, czego życzą mi nienawistne internetowe fantomy, przyszłość czekałaby mnie tyleż krótka, co bolesna, a jej relatywnie najprzyjemniejsze momenty to regularne gwałty pod więziennym prysznicem. Konsekwentnie zgłosiłem wszystko portalowi; większość kont, z których wysłano mi wiadomości, została już zdezaktywowana.

– Nie – mówi Janek. – Nie mam pojęcia, kto mógłby robić coś takiego.

– Zastanów się. Może ktoś od was z pracy? Sam mówiłeś, że szczególnie byłem wśród was popularny. Na samej imprezie u nas na Granicznej było ze dwanaście osób, może to ktoś z nich?

– Nieee, niemożliwe. Ewelinę wszyscy lubili, ale nikt by nie zrobił ci czegoś takiego.

– W porządku, wierzę. – Wzdycham.

Nie wierzę ani trochę, ale doszedłem już niemal pod klatkę schodową, zaczyna mi też marznąć ręka.

– Popytam ludzi, ale na stówę to nikt od nas. Powiem im, że jeśli nawet,

to nie musi się przyznawać, tylko żeby się już odpieprzył, bo ty jesteś w porządku, Szymon.

– Dzięki.

Zastanawiam się przez chwilę, czy iść prosto na górę, czy zejść do Żabki po piwo. Na pewno w lodówce czekają jeszcze dwa budweisery. Wystarczy.

– Janek – mówię. – Będę kończył. Jeszcze raz, wolałbym, żebyś mnie już tym tematem nie zajmował, dobra? Naprawdę, nie chcę więcej o tym myśleć.

– Dobra. Przepraszam.

– Nie ma sprawy. Sam rób, co chcesz, ale szczerze radzę, odpuść. Zajmują się tym profesjoniści.

– Spoko. Na razie, Szymon, trzymaj się.

– Na razie.

Chowam telefon do kieszeni. Wpisuję kod domofonu, drzwi wpuszczają mnie z cichym piskiem. Oblewa mnie żółte światło. Podchodzę do skrzynki na listy, wyciągam kilka ulotek pobliskich pizzerii, kartkę z napisaną odręcznie informacją, że ktoś chętnie kupi mieszkanie w tym bloku, oraz białą kopertę. Przyglądam się – jest zaadresowana tylko moim imieniem i nazwiskiem, nie znajduję danych nadawcy, żadnego znaczka pocztowego, żadnego stempla. Z plikiem papieru w ręce ściągam windę, jadę na dwunaste piętro. Wchodzę do mieszkania.

Ostrożnie rozrywam kopertę i wyjmuję złożoną na pół kartkę. Rozkładam ją.

To wydruk zdjęcia. Wykonano je w nocy, zapewne telefonem, raczej żadnym nowoczesnym modelem, bo jakoś jest taka sobie. Przedstawia kłócaącą się parę. Mężczyzna ma na sobie szarą kurtkę, trzyma kobietę za rękę. Kobieta wygląda, jakby próbowała mu ją wyrwać, jest nienaturalnie odchylona, rozrzucone ciemne włosy i połę płaszcza przypominają skrzydła wrony wzbijającej się do lotu. Scena typowa dla środka nocy, pijana sprzeczka w oczekiwaniu na taksówkę. Twarze obojga składają się tylko z plam cieni. Fotograf zapewne przystanął w pewnym oddaleniu i wykonał na nich zbliżenie. Trudno określić, gdzie dokładnie rozgrywa się ten weekendowy dramat obyczajowy – to jakaś duża ulica, w tle widać świecące witryny. Sprzeczący się stoją na granicy ścieżki rowerowej. Podejrzewam,

że to Marszałkowska, mniej więcej na wysokości skrzyżowania z Wilczą. Zaraz sprawdzę, porównam na Google Street View.

Naraz jakby zasłony spadły mi z oczu: rozpoznaję te sylwetki. Patrę na wydruk, przenoszę wzrok na wieszak w przedpokoju. Wisi na nim szara kurtka, taka sama, jaką nosi facet szarpiący dziewczynę.

Ten facet to ja. Ta dziewczyna to Ewelina.

Obracam kartkę z wydrukiem. Na odwrocie widnieje równy, odręczny podpis.

21 października 03.37

8

Bezwzrokowego pisania na klawiaturze nauczyłem się jeszcze w podstawówce. Podczas lekcji informatyki graliśmy w grę, w której z góry ekranu spadały litery, a zadaniem gracza było trafienie w odpowiednie klawisze, zanim zlecą na sam dół. Byłem najlepszym graczem w szkole. Przegrywali wszyscy, z nauczycielem włącznie, nikt nie dawał rady nawałnicy znaków ASCII, a ja wciąż heroicznie broniłem dolnej krawędzi ekranu. Ustanowiłem szkolny rekord, którego nie pobił chyba nikt, bo w końcu komputery wymieniono na nowe i słusznie zapomniano o dosowych gierkach. Teraz tak samo wściekle tłukę w klawiaturę, wklepuję w Worda kolejne linijki tekstu. Kończę spisywanie pomysłów na kampanię dla Huoyan House.

Słyszę głos Cypriana.

– Patrz na typa, lalka, jak napierdala. Cukier chyba z fetą pomylił.

– Nie słodzę – mruczę.

Anna, tak jak obiecała, porozmawiała wczoraj z klientem. Zgodnie z jej przypuszczeniami Chińczykom bardzo przypadł do gustu pomysł aktywacji, która wyciągnie odbiorców daleko poza internet. Nie zamierzali skąpić grosza – budżetu na pewno wystarczy na napisanie dedykowanej aplikacji mobilnej i kampanię w mediach społecznościowych. Wśród nagród dla uczestników zabawy znajdzie się aż pięć mieszkań, które powstaną na terenie Starych Świdrów, kilka wieloprocentowych rabatów na ich kupno oraz różnej wysokości nagrody pieniężne.

Mechanika konkursu będzie bardzo prosta. Jej podstawy nakreśliśmy podczas wczorajszej rozmowy. Użytkownicy pobiorą na telefony specjalną aplikację, która stanie się sercem całej zabawy. Co pewien czas, na przykład raz dziennie, aplikacja wyświetli konkretne polecenie. Udaj się w określone miejsce. Zadzwoń pod podany numer i podaj hasło. Zrób zdjęcie jakiegoś obiektu i prześlij na podany adres. Wykonanie każdego zadania zostanie nagrodzone fragmentem kodu. Zebrany w całość kod utworzy współrzędne

GPS lokalizacji na terenie Świdrów i dokładną datę rozpoczęcia imprezy. Stu pierwszych użytkowników, którzy w aplikacji prawidłowo oznaczą na mapie lokalizację i odpowiednio ustawią wskazówki wirtualnego zegara, otrzyma imienne zaproszenie na „poszukiwanie artefaktów”. Zostaną wpuszczeni na odpowiednio zabezpieczony teren Fabryki Domów, gdzie w specjalnych skrzynkach poukrywamy kody QR odpowiadające nagrodom. Podpowiedzi dotyczące lokalizacji skrzynek także pojawią się w aplikacji. Początkowo na poważnie myśleliśmy o zorganizowaniu na miejscu zamkniętej imprezy, na której wystąpiliby cenieni warszawscy didżeje, ale tego pomysłu nie udało się obronić. Po pierwsze, wielkim wyzwaniem byłoby zdobycie pozwoleń i zapewnienie uczestnikom bezpieczeństwa, po drugie, odpowiednie nagłośnienie imprezy mogłoby się okazać niewykonalne i wreszcie po trzecie, byłoby tam po prostu cholernie zimno.

Długo zastanawiałem się nad settingiem, w jakim osadzimy narrację konkursu. Ostatecznie najbardziej adekwatna wydała się konwencja postapokaliptyczna. Przemawia za nią niemal wszystko. Jest mocno zakorzeniona w popkulturze, doskonale pasuje do niej concept zbierania ukrytych artefaktów w poprzemysłowej przestrzeni, no i co bardzo istotne, pozwala stworzyć efektowną warstwę wizualną – uśmiecham się na samo wyobrażenie utrzymanego w rdzawych kolorach, upstrzonego symbolami promieniowania interfejsu aplikacji. Jako alternatywę zaproponowałem, choć bez wielkiego przekonania, nawiązanie do peerelowskiej idei „wychodzenia” mieszkania – aplikacja mogłaby na przykład dosłownie zliczać kroki użytkownika i zamieniać je na punkty. Trzeba byłoby też wykonać odpowiednią liczbę telefonów do fikcyjnej spółdzielni i wydobyć fragmenty kodu od urzędników, z definicji nieuprzejmych, w których wcieliliby się wynajęci przez nas aktorzy. Zdaję sobie sprawę, że średnio łączy się to wszystko z kluczowym conceptem fizycznego szukania kodów QR nagród w finale zabawy.

Stawiam finalną kropkę. Czuję się z siebie całkiem zadowolony. Rozpisałem mechanikę konkursu i potrzebne funkcjonalności aplikacji mobilnej, zaproponowałem scenariusze zadań do wykonania. Wyszedł dość obszerny plik. Wysyłam go Piotrowi do sczytania i idę do kuchni po kawę.

* * *

– No, spoko to wygląda – mówi Anna. – Bardzo spoko. Prześlę im chyba od razu, właściwie nie mam uwag. Dużo ciekawych pomysłów, w dodatku na pierwszy rzut oka raczej wykonalnych.

– Copywriter z wyobraźnią, ale trzymający kontakt z podłożem. – Kiwa głową Piotr. – Zainwestowaliśmy w cenny zasób.

On także nie miał wielu uwag, zasugerował tylko usunięcie kilku niepotrzebnych zdań.

– Wiedziałam, kogo rekrutuję. – Anna puszcza do mnie oko. – Zobaczymy, co powiedzą w poniedziałek. Ale jestem dobrej myśli.

Przypominam sobie, że miałem ją zapytać.

– A powiedz, co się ostatecznie stało z tym oświadczeniem dla mediów, które napisałem we wtorek?

Anna wzdycha.

– Poszło do portali, ale chyba nikt tego nie opublikował. Mniejsza z tym, to przecież jakaś bzdura.

– Pewnie – zgadzam się.

– Grunt, że zbiórka krwi udała się znakomicie, tylko to było naprawdę ważne. Dobra, słuchajcie, wysyłam Chińczykom tę rozpiskę. Myślę, że w poniedziałek zaczniemy już nad tym pracować.

Patrzę na zegar wiszący na ścianie nad pustym biurkiem Adama. Dochodzi siedemnasta. Czas spadać z Królestwa Światła.

* * *

Drugi raz czytam wiadomość, którą właśnie wysłała mi na Facebooku Agata Kociuk, i zupełnie nie wiem, co myśleć.

Zajebisty ten Twój pomysł. Zobaczą, że zaakceptują to bez wahania. Zaproponują pewnie nawet, żeby na teren inwestycji wpuścić więcej osób.

Napisała to tak po prostu, bez żadnego wstępu, bez słowa wyjaśnienia.

Skąd o tym wiesz?

Anna przedstawiła Ci, jak dokładnie wygląda rola agencji w naszych

strukturach?

Prawdę mówiąc, nie bardzo wiem, o czym piszesz.

Tak myślałam.

Po chwili pisze dalej.

Nasza struktura jest trochę bardziej złożona, niż zapewne Ci się wydaje. Albo właśnie dużo prostsza, zależy, jak na to spojrzeć.

To znaczy?

To raczej nie jest temat na rozmowę na czacie. Możemy się spotkać?

Pewnie. Na dzisiaj jestem już ustawiony, ale nie mam żadnych planów w weekend.

Z Dorotą umówiliśmy się na dwudziestą, więc mam jeszcze prawie dwie godziny. Zdążyłbym odwołać spotkanie i przedstawić jakieś rozsądnie brzmiące usprawiedliwienie.

Ja też nie. Może niedziela? Dogadamy jeszcze detale. Wysyłam Ci numer telefonu.

Spisuję ciąg liczb.

Mam, dzięki.

Jeśli się nie pogniewasz, skasuję całą tę rozmowę. Duża prośba, zrób to samo.

Czuję, że nie ma sensu o nic pytać.

Pewnie.

Dzięki. A tymczasem dobrego wieczoru.

Na razie!

Widzę, że nawet nie wyświetliła mojej ostatniej wiadomości. Trudno. Posłusznie kasuję cały zapis rozmowy.

Przez całą drogę do Café Chmiel, lokalu, w którym byliśmy umówieni, usiłowałam przypomnieć sobie kolor oczu Doroty. Dopuszczam myśl, że cierpię na pewien rodzaj upośledzenia, prawdopodobnie brakuje mi części mózgu, która odpowiada za zapamiętywanie barwy ludzkiej tęczy. Mogę znać kogoś całe życie, a i tak nie mieć pewności, czy szare czy piwne.

Dorota uśmiecha się. Czeka już na mnie przy stoliku w głębi sali i jeśli dotąd jeszcze miałem wątpliwości, teraz to oczywiste – nie przyszła na plotki z kumplem z dawnej roboty, tylko raczej na randkę. Ma na sobie jasną koszulę z równiutko podwiniętymi rękawami, rozpiętą o jeden guzik niżej, niż byłoby to stosowne w biurze. Ciężki wisiołek z delfinem ściąga wzrok ku dekoltowi. Zaskakuje dość mocny makijaż, do pracy zawsze przychodziła bardzo delikatnie umalowana. W pierwszej chwili mógłbym jej takiej nie rozpoznać, gdybym mijał ją na ulicy. Broń Boże, nie znaczy to, że wygląda źle. Przeciwnie, staram się nie dać po sobie poznać, jak robi duże wrażenie.

A oczy ma ciemnoniebieskie, prawie granatowe, jak niebo chwilę po zachodzie słońca.

- Cześć. – Całujemy się w policzki. Perfumy pachną czymś słodkim.
- Mam nadzieję, że nie czekasz długo?
- Dopiero przyszłam.

Szybko przeglądam menu, głównie w poszukiwaniu nowości, bo znam dość dobrze tutejszą ofertę – często przychodziliśmy do Café Chmiel z Ewelina. Jestem tu po raz pierwszy od rozstania, zastanawiam się, dlaczego właściwie zaproponowałam to konkretne miejsce. Może podświadomie chciałam sprawdzić, na ile ta przestrzeń będzie mi się z nią kojarzyć? Jeśli tak, to cóż, nie kojarzy się wcale, a wybór uważam za doskonały – chyba nigdzie indziej w Warszawie nie można dostać tylu belgijskich piw.

- Polecisz któreś?

Zastanawiam się. Zanim zdążę się odezwać, kelnerka, która tymczasem podeszła do naszego stolika, sugeruje Dorocie jabłkowego lindemansa. Dziewczyna natychmiast się zgadza; ja zamawiam dubbela.

– Jak w pracy? – pyta Dorota. – Ciężki dzień?

– Ciężki to chyba za dużo powiedziane. – Uśmiecham się. – Ale w porównaniu do tego rozprężenia, jakie panowało na koniec w Cremè... Na brak zajęcia na pewno nie mogę narzekać.

– A wiesz, trochę zazdroścuję. Ja już nie mogę się doczekać, aż zacznę nową robotę. Nigdy bym tak nie pomyślała, ale ta bezczynność zaczyna być straszna.

– Pewnie, trudno się przestawić na taki jałowy bieg.

– Oj tak. – Wzdycha. – Zawsze myślałam, że się wyśpię, pospotykam ze znajomymi, może gdzieś wyjadę... A tu zonk, jak śpię za długo, to mnie potem cały dzień boli głowa, znajomi nie mają czasu, a sama przecież nigdzie nie pojadę.

– No tak – mówię.

Kelnerka przynosi nam piwa w ładnych pucharkach. Upijam pierwszy łyk. Dorota mówi dalej.

– No i w ogóle jakoś jest dziwnie. Kiedy Kaśka, moja współlokatorka, wychodzi do pracy, to czuję się tak jak wtedy, gdy byłam dzieckiem, chorowałam i zostawałam sama w domu. Niby fajnie, ale jednak dziwnie.

– Rozumiem. Chociaż ja nawet lubię siedzieć sam. Nie wiem, chyba trochę jestem socjopatą.

Dorota śmieje się. Przez moment coś mi się nie zgadza, nagle rozumiem – zdjęła aparat, demonstruje bielutkie, równe zęby.

– Daj spokój, Sajmon. Wiesz, kto jest socjopatą?

– Aha?

– Kamil z Cremè, pamiętasz go.

– Pewnie, że pamiętam. Kamil jest socjopatą?

– Totalnie. Jak przyszłam do pracy, to posadzili mnie z nim w pokoju. Styczeń był, zimno jak cholera. Siedział w tych swoich wielkich słuchawkach, ani słowem się do mnie, nowej, nie odzywał, to w końcu zagaiłam, czy tu zawsze tak zimno. Tylko na mnie spojrzał i wiesz, co

powiedział?

– No?

– Że tylko zimą.

– Cały Kamil. – Kiwam głową.

– Więcej się już do końca dnia nie odzywałam.

Wypijam kilka łyków piwa. Czuję, że nie wysiedzę tu z Dorotą, rozmawiając tak o niczym i wymieniając uśmiechy. Dociera do mnie, że naprawdę trudno nam będzie o wspólne tematy. Przepracowaliśmy razem prawie dwa lata, połowę tego czasu w jednym zespole, ale w rzeczywistości prawie nic o niej nie wiem. Nie mam pojęcia, jakiej słucha muzyki, czym zajmują się jej rodzice, jakich przedmiotów najbardziej nie lubiła w liceum. To po prostu dziewczyna, którą prawie znam. Która prawie mi się podoba.

– A mimo wszystko trochę mi go teraz brakuje – mówi. – W ogóle brakuje mi ludzi z Cremè.

Uderza mnie, że ja tak naprawdę wcale nie tęsknię za znajomymi z poprzedniej pracy. Owszem, spędziłem z nimi spory wycinek życia, ale nie przywiązałem się ani do Dawida, ani do Kamila, ani do Moniki. Ani do Doroty. Gdy po raz ostatni zamykałem za sobą drzwi do naszej siedziby na Raławickiej, wydawało mi się oczywiste, że coś tracę – a jednak nie odczuwam braku. Czas ostatnio przyśpieszył, dzieje się tyle, że nie ma kiedy obejrzeć się za tym, co minęło. Myśl z jednej strony smuci, z drugiej wydaje się krzepiąca.

Czuję, że powinienem nadać jakiś konkretny kształt spotkaniu z Dorotą, przestawić zwrotnicę, przekierować rozmowę na tory, na których ze słów coś wynika. To chyba mój obowiązek, nie wolno mi utrzymywać tego spotkania w temperaturze pokojowej, niekończąca się wymiana uśmiechów i spojrzeń byłaby w pewien sposób nieuczciwa, jak gra wstępna, po której natychmiast poszłoby się spać.

– Wspominałaś, że znasz siostrę tej zaginionej dziewczyny, Joli Kaczmarek – mówię. – Rozmawiałaś z nią jeszcze potem?

Granatowe oczy rozszerzają się zdziwione.

– Tak, ale niedużo. Beata była kłębkim nerwów, potem zniknęła całkiem z fejsa, a tylko tam się kontaktowałyśmy.

– Miała jakieś podejrzenia? Wiesz coś więcej, niż piszą w necie?

– Nie, chyba nie.... Jola była zwykłą, spokojną dziewczyną. Nie prowadziła żadnego sekretnego życia. Przynajmniej tak mówiła Beata, a chyba była z siostrą bardzo blisko, mieszkały przecież razem. Nie dopytywałam, była mocno zdenerwowana, całą rodzinę akurat wzywali na przesłuchania...

– Znam to, też byłem na komendzie.

Upija łyk piwa, stara się zachować uśmiech. Widzę, że wolałaby zmienić temat, chyba czeka, aż ja to zrobię. Milczę.

– Jakie to wszystko mroczne jest, Sajmon – mówi po chwili, waży słowa.

– Czasem mam wrażenie, jakby od pewnego momentu świat, który dotąd znałam tylko z newsów w internecie, przybliżył się na wyciągnięcie ręki. Zamach na Świętokrzyskiej, na trasie, którą tyle razy jeździłam. Do tej pory trudno mi uwierzyć, że na peronie, gdzie codziennie wysiadałam, zginęło tyle osób. W dodatku te zaginięcia. Zawsze się o tym tylko czytało, a teraz znam osobiście dwie osoby, które to dotknęło. – Jej głos staje się miękki. – Którym zaginął ktoś bliski.

Kręcę głową.

– Nie. Znasz jedną osobę. Tę Beatę. Ewelina nie jest dla mnie nikim bliskim.

Słowa zabrzmiały strasznie sucho, oschle, wręcz obcesowo. Zaraz żałuję, że je wypowiedziałem. Czuję, jakbym nieświadomie powiedział więcej, niż mi się wydaje. Dorota jest wyraźnie zmieszana, nie wie, co odpowiedzieć. Ja też nie wiem, więc oboje milczymy, pijemy piwo, zaraz się kończy, pucharki w Café Chmiel mają pojemność zwykłej szklanki.

Spotkanie i tak zmierzało donikąd, ale teraz stało się to oczywiste także dla niej. Zamawiamy jeszcze po jednym piwie i wracamy na bezpieczny grunt rozmów o wspólnych znajomych z Cremè de la Creation. Wiem, że tą jedną, nieprzemyślaną wypowiedzią przesunąłem wektor znajomości z Dorotą. Nasza relacja stała się prostsza. Być może odtąd będzie w pewien sposób lepsza, zdrowsza. Dookreślona. Jakbym włączył światło, w jednej chwili zniknęły półcienie, kontury stały się wyraźniejsze. Dorota poddaje się tej zmianie. Przez chwilę wyczuwam w niej coś na kształt pogodnej rezygnacji. Zamawiamy jeszcze po piwie.

Potem chcę zapłacić za nas oboje, ale nie protestuję, gdy Dorota upiera się

przy podziale rachunku.

Otwieram puszkę budweisera, jedną z dwóch, które kupiłem w drodze powrotnej z Café Chmiel. Jest jeszcze dość wcześnie, spokojnie zdążę wypić dwa piwa; z Dorotą spędziłem niecałe półtorej godziny.

Zaglądam na Facebooka. Agata Kociuk nie napisała już nic więcej, okienko czata stoi całkiem puste. Gdyby nie zapisany numer telefonu, zwątpiłbym, czy w ogóle ze sobą rozmawialiśmy. A co słyhać w folderze „Inne”? Żadnych nowych pogróżek, rozczarowujące. Widzisz, Ewelinko, jak szybko wyparował zapał twoich internetowych mścicieli.

Myśli dryfują zaraz ku Beacie Kaczmarek, młodszej siostrze Joli. Jeśli dobrze rozumiem, Beata przez pewien czas przyjaźniła się dość blisko z Dorotą. Ciekawe, czy do niej również wypisują anonimowi maniacy. Łatwo znajduję ją na Facebooku. Przez krótką chwilę czuję irracjonalną potrzebę, żeby się z nią skontaktować, ale zwycięża rozsądek. Co niby miałbym napisać? Dziewczyna na zdjęciu mocno przypomina zaginioną, choć jest zauważalnie tęższa. W nowej karcie wchodzę na Instagram Joli, zapamiętałem nazwę jej profilu, yolandi.kaczka. Przyglądam się fotkom. Teraz podobieństwo między siostrami jest jeszcze wyraźniejsze, mają identyczną oprawę oczu, identyczne spojrzenie, choć rzeczywiście Jola jest znacznie szczuplejsza. Na większości fotografii się uśmiecha, tylko na ostatniej, którą opublikowała, tej z deszczem w tle, ma poważną, smutną twarz.

Like tears in rain. Selfie jako portret trumienny. Patrząc na gładką cerę dziewczyny i choć wcale nie chcę, zastanawiam się, jak wygląda teraz. Ciekawe, czy na Instagramie jest już dostępny filtr symulujący rozkład tkanek.

W kolejnej karcie otwieram Instagram Eweliny. Gdy strona się ładuje, przełykam piwo. Wpada jak do wielkiego dzbana, bo widząc jej profil, nagle czuję się całkiem pusty w środku. Bezmyślnie upijam kilka kolejnych łyków.

Skoro tak, to może jeszcze jedna karta? Wchodzę na Sympatię, loguję się na moje oszukańcze konto. Profil z twarzą anonimowego Skandynawa ze stocka odwiedziło już dwanaście osób, a trzy nieznajome puściły mi nawet wirtualne oczko, cokolwiek to znaczy. Drogie panie, proszę o wybaczenie, obawiam się, że nie będę zainteresowany. Wpadłem tu tylko na chwilę. Wpisuję w wyszukiwarce pseudonim jemcukierkinakolacje.

„Niestety nie znaleziono nikogo spełniającego Twoje kryteria, spróbuj zmienić kryteria”.

Sprawdzam litera po literze, żeby upewnić się, czy nie popełniłem błędu. Wchodzę w zakładkę „Wiadomości”. Podejrzewam, że nawet jeśli konto zostało usunięte, wciąż mogę prześledzić historię korespondencji. Nic z tego – widzę tylko jedną wiadomość, powitanie od administratorów, wysłane automatycznie, gdy utworzyłem profil. Nie mam więc żadnego dowodu, że rozmawiałem tu z Eweliną. Jak pamiętam, zrobiłem wówczas screenshot naszej wymiany zdań, ale zaraz go usunąłem, czując nagłą obawę, że w przyszłości mógłby mi przysporzyć kłopotów. Bez większego przekonania zaglądam do kosza na pulpicie – oczywiście jest pusty, opróżnia się automatycznie co tydzień.

Ale to nieważne. Przełączam się znów na kartę z Instagramem, jakbym chciał nabrać pewności, że to, co widziałem, nie zniknęło, nie było omamem, cyfrową fatamorganą.

Zdjęcie dodano wczoraj. Ewelina siedzi w głębokim fotelu, na jej kolanach zwinął się w kłębek szary kot. Hasztag #likeaboss. Zamykam oczy, otwieram. Ewelina wciąż siedzi w fotelu.

Użytkowniczo e.kuliczka, witamy z powrotem w świecie żywych.

Ani jej rodzice, ani Gośka nie mieli kota, przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo. Z Kuliczkami mieszkał kiedyś pies, Ewelina go czasem wspominała, wabił się jakoś idiotycznie, nie mogę sobie przypomnieć, ale to było bardzo dawno, zdechł piętnaście lat temu. Czyj to więc kot? Gdzie zrobiono to zdjęcie? Nie kojarzę, żeby takie wielkie fotele stały w mieszkaniu rodziców Eweliny. Z całą pewnością nie w klitce, którą Gośka wynajmuje z chłopakiem.

Patrzę na czarne włosy mojej byłej dziewczyny, proste, z przedziałkiem pośrodku głowy. Gdy zaczynaliśmy się spotykać, nosiła jeszcze grzywkę. Przypatruję się jej dłoni, spoczywającej na grzbiecie szarego kota. Nie myślę

się, widzę na palcu tandetny pierścionek, zmieniający barwę w zależności od temperatury, kupiłem jej go latem za kilka złotych w Gdańsku. Na stopach ma skarpetki ze Snoopym, które kupiła, już mieszkając u mnie na Granicznej, cieszyła się z nich jak dziecko.

Masz rację, Sherlocku. Nie istnieje inne wytłumaczenie: zdjęcie musi być aktualne.

Znów nie potrafię odnaleźć w sobie jakichkolwiek emocji. Patrzę na tę fotografię jak na etykietę piwa, bezmyślnie kreślę na ekranie ósemki kursorem myszy. A przecież to chwila, w której powinna porwać mnie fala błęgiego poczucia ulgi. Alleluja, dobra nowina, nastał czas świętowania, roześmiania się w twarz obłąkanym hejterom. Powinienem wstać i podrzeć na kawałeczki wydruk fotografii, którą znalazłem w skrzynce na listy. Podpalić kartkę i patrzeć, jak płonie. Siedzę. Wypijam duszkiem pół budweisera, bąbelki drapią w gardle.

Gośka pewnie jako pierwsza zobaczyła tę fotografię, musiała dostać powiadomienie z Instagrama, a przecież ma komórkę przyrośniętą do dłoni. W pierwszej chwili dziwię się, że młoda jeszcze nie dała mi znać, ale zaraz przychodzi zrozumienie – zapewne miała się czym zająć, zanim w końcu upiła się z radości. Życzę tego samego i tobie, Beato Kaczmarek. Życzę tego samego wszystkim siostronom wszystkich zaginionych dziewczyn na świecie. Dlaczego wciąż nic nie czuję?

Szukam na zdjęciu jakichś wskazówek, podpowiedzi. To nie selfie, w kadrze mieści się cała sylwetka Eweliny – albo więc zrobił je ktoś inny, albo samowyzwalacz. Fotel stoi przy ścianie, obok widać jeszcze kawałek prostego stolika z Ikei. Ewelina uśmiecha się po swojemu, zaciśniętymi ustami. Co jest z tobą, idiotko, nie tak?

Widziałem zdjęcie – piszę do Gośki na Messengerze. – Cieszę się, że tak to się kończy.

Piszę też do Janka Pietruszyńskiego.

Janek, jak byłeś u rudego Marcina z Ewelina, widziałeś u niego w mieszkaniu szarego kota?

Gośki nie ma na czacie, Janka chyba też nie. Może już śpią. Najwyżej przeczytają rano. Nigdzie mi się nie śpieszy.

Kelnerka to drobna, najwyżej dwudziestoletnia dziewczyna. Krótkie, nastroszone różowe włosy i wyraz twarzy, z którego można wyczytać bezinteresowną niechęć do całego świata, upodabniają ją do nieszczęśliwego zwierzątka. Mruczy coś do siebie, stawiając przed nami koszyki z zamówionymi burgerami. Brzęczą rzucone byle jak sztucce. Agata przygląda się tej scenie z uprzejmym zainteresowaniem.

– Biedna dziewczuszka, musi naprawdę nienawidzić swojej pracy – ocenia, gdy kelnerka niknie na zapleczu restauracji.

Siedzimy w wegeburgerowni na Koszykowej, to Agata zaproponowała ten lokal. Przy naszym stoliku rolę krzeseł odgrywają dziwne siedziska z samochodowych opon; staram się nie dać po sobie poznać, jak bardzo mi niewygodnie.

– Może jej w ostatniej chwili zmiany przestawili?

– Może – zastanawia się. – To chyba jakaś nowa, nigdy wcześniej jej tu nie widziałam. Ale tak czy inaczej, w gastro powinno obowiązywać minimum profesjonalizmu. Mogę mieć do ciebie prośbę?

– Pewnie.

– Nawet nie myśl, żeby zostawić jej jakiś napiwek.

Kiwam głową.

– Jasne.

Wgryzam się w bułkę z kotлетem z buraka. Plasterek ogórka konserwowego natychmiast wypada i znaczy kleksem sosu papier, którym wyłożono wewnątrz koszyka. Co właściciel tego przybytku ma przeciwko talerzom?

Agata uśmiecha się. Gryzie swojego jaglanego burgera małymi kęsami, z pełną kontrolą, wręcz dystygowanie. Tym mocniej mnie martwi, że zaraz upieprzę się cały, sos już wycieka mi na rękę, mam wrażenie, że zdradziecka warzywna konstrukcja tylko czeka, żeby eksplodować mi wprost na koszulę.

– Smakuje? – pyta, chyba lekko rozbawiona.

Mam usta pełne buraka, więc niepewnie przytrzymując bułkę jedną ręką, drugą pokazuję uniesiony kciuk. W tym samym momencie ze środka wypada spory kawałek kotleta. Uśmiecham się przepaszająco i sięgam po sztućce. Śmiało, dziewczyno, nie obrażę się przecież, jeśli wyjdiesz. Ale nie, Agata odkłada na chwilę swojego burgera i oblizuje palce z wegemajonezu, chyba chcąc pokazać, żebym się nie przejmował, bo jej również posiłek sprawia nieco problemów. Nie sędzę, żeby miała taką intencję, ale odbieram gest jako lekko prowokacyjny.

Ma na sobie obcisłą czarną bluzkę. Teraz siedzimy, więc nie rzuca się to w oczy, ale gdy składaliśmy zamówienia przy barze, przez chwilę zastanawiałem się, czy jednak nie jest ode mnie wyższa. Skórzane buty z niskim obcasem dodają wzrostu, ale i bez nich musi mieć z metr osiemdziesiąt. Przy stoliku obok brodaty koleś w zielonej bluzie czeka na swoje zamówienie i co chwilę odrywa wzrok od ekranu smartfona, żeby na nią spojrzeć. Niemal słyszę, jak przełyka ślinę, widząc Agatę wkładającą palce do ust. Gdy przez moment patrzy na mnie, dostrzegam przyjemną nutkę zazdrości.

Odsuwam koszyk na brzeg stolika, dokładnie wycieram serwetkami dłonie upaprane sosem chrzanowym.

– No to powiedz, skąd wiedziałaś, co przygotowaliśmy dla tych Chińczyków?

Agata jeszcze je, spokojnie przełyka kęs.

– Pozwolisz, że odpowiem pytaniem. Co wiesz o naszej firmie?

– Niewiele – przyznaję. – Tyle, że jesteście dużym funduszem kapitałowym, który chętnie angażuje się w akcje charytatywne. Jak rozumiem, LuceLume i ten chiński deweloper to spółki ze sobą powiązane. Należą do tych samych właścicieli?

Uśmiecha się.

– Tak naprawdę jesteśmy organizacją znacznie mniejszą, niż pewnie to sobie wyobrażasz. A zarazem znacznie większą.

– Nie rozumiem.

– Jesteśmy jak grzyb.

Patrzę na nią zdziwiony.

– Słucham?

– Myśl o nas jak o grzybie. To chyba najbardziej adekwatne porównanie.

– Grzyb.

Przełyka ostatni kawałek burgera.

– Dokładnie tak. Grzybnia przeżera na wylot pół lasu, ale same owocniki są nieduże, często mało efektowne i tak naprawdę niezbyt ważne. Część zjedzą robaki, część zbiorą grzybiarze. Trudno. Wystarczy, że spadnie deszcz, a zaraz pojawią się nowe.

– I co to tak naprawdę znaczy?

– Wierzysz w przypadki?

– Ale co to ma do rzeczy?

– Wierzysz?

Kiwam głową.

– Oczywiście. Życie to suma przypadków, nie wierzę w żaden wyższy sens, w żadne przeznaczenie.

– A ja wprost przeciwnie.

Czujnie patrzę te jej oliwkowe oczy, to na pewno inteligentna dziewczyna. Zastanawiam się, w co próbuje się ze mną bawić, dokąd ma nas zaprowadzić ta gra w półsłówka. Robi się odrobinę tandetnie.

Być może zauważyła zniecierpliwienie na mojej twarzy, bo zaraz mówi dalej:

– LuceLume, Huoyan House i jeszcze kilka innych spółek faktycznie należą do tych samych właścicieli. Mają wspólny zarząd, razem tworzą sporą międzynarodową grupę kapitałową, która działa praktycznie w całej Europie, w obu Amerykach, w Azji i RPA. Sami lubią mówić o sobie Światło.

– Światło – powtarzam. – Domyślałam się, że Regnum Lucidum też wchodzi w skład tej grupy.

– Oczywiście.

Kiwam głową.

– Mniej więcej czegoś takiego się spodziewałem. Pieniądze przepływają wartko między spółkami, czasem pewnie uda się ukręcić coś na Vacie. Nic nowego.

– Nie wiem, jak to wygląda od strony finansów. Nie mam dostępu do takich informacji.

Obrażona na świat kelnerka zabiera ze stolika puste koszyki.

– Z mojego punktu widzenia to tak naprawdę żadna różnica. Właściwie chyba nawet lepiej. Stres mniejszy, skoro wiadomo, że klienci są stali i silnie z nami związani. Nie ma ryzyka, że hajs się zaraz skończy, nie trzeba stawać co miesiąc do nowych przetargów. W poprzedniej pracy nie mieliśmy tego komfortu i skończyło się wywrotką.

– Wiem, wiem – mówi. – Crème de la Creation.

– Anna ci mówiła?

Przytakuje. Znów podnosi na mnie to oliwkowe spojrzenie.

– Jesteś bardzo obowiązkowy, prawda?

– W jakim sensie? – Czuję, że nie do końca za nią nadążam.

– Gdy dostajesz zadanie, tekst do napisania, hasło do opracowania czy pomysł na kampanię, wykonujesz je najlepiej, jak potrafisz. Angażujesz się tak samo, nieważne, czy chodzi o projekt dla dewelopera, akcję charytatywną, czy nie wiem, reklamę pasty do zębów.

– To źle? Wydaje mi się, że tego właśnie oczekuje się od profesjonalisty.

– Jasne, że tak. A powiedz jeszcze, są tematy, którymi nie zgodziłbyś się zająć za pieniądze?

– Na pewno. Nie zgodziłbym się robić reklam niczego nielegalnego.

– Bo mógłbyś mieć przez to kłopoty?

– Nie. Bo czułbym, że to nie w porządku. Chcę być w porządku.

– Mogę sobie w takim razie tylko wyobrazić, jak się poczułeś, słysząc z ust terrorysty słowa, które brzmiały jak nawiązanie do naszej kampanii.

– Poczuję się dziwnie – przyznaję. – Mówiąc, że nieprzyjemnie, nic bym nie powiedział. Choć oczywiście wierzę, że to przypadek.

Agata patrzy na mnie uważnie.

– Życie to suma przypadków – mówi.

Razem z burgerami zamówiliśmy lemoniady, ja imbirową, Agata różaną. Wypijam kilka łyków, krzywię się. Nie smakuje mi.

– Czemu chciałaś, żebym skasował wiadomości na Facebooku?

– Na wszelki wypadek.

– Bałaś się, że ktoś się dowie, co mi powiedziałaś o strukturze firmy? Przecież to raczej żadna wiedza tajemna, gdyby ktoś się zainteresował, może dogrzebać się do tych informacji.

– Nie o to chodzi. Powiedzmy, że nie do końca dowierzam bezpieczeństwu w mediach społecznościowych.

Wyczuwam, że to dobry moment, by zmienić temat, który zaczyna mnie męczyć.

– Da się zauważyć już po twoim profilu na fejsie. Niewiele można się o tobie dowiedzieć. Pewnie masz jakieś powody?

– Obawiam się, że tak.

Na końcu języka mam pytanie o stalkerów. To smutne, ale przecież nie byłoby niczym niezwykłym, gdyby tak ładna dziewczyna wpadła w oko internetowemu podrywaczowi, który niekoniecznie respektuje cudzą prywatność.

– Przynajmniej zdjęć z podróży nie ukryłaś. Swoją drogą, zjeżdżałaś pół świata. Świetne te fotki.

– Podobają ci się? Cieszę się.

Proszę, żeby opowiedziała trochę o tych wszystkich miejscach, które zwiedziła. O Machu Picchu, Stanach, Izraelu. Opowiada, ale bez większego entuzjazmu. Owszem, widoki nierzadko są niezapomniane, ale mimo wszystko zawsze nieco rozczarowują. Podróże w ogóle o tyle wiążą się z rozczarowaniem, że nie ma na świecie miejsca, które dorównałoby wyobrażeniom na swój temat. Agata uważa, że jeśli dożyje momentu, w którym będzie można turystycznie podróżować na Księżyc, nigdy nie zdecyduje się na lot, właśnie dlatego, żeby uniknąć zawodu.

– Ciekawe podejście – mówię. – Trochę cię rozumiem.

Uśmiecha się i spogląda na zegarek.

– Jutro od rana pewnie będziesz pracował nad szczegółami kampanii dla Huoyan?

– Na to się zanosi.

– W takim razie powinniśmy się powoli zbierać.

– Chyba tak – przyznaję i czuję pewną ulgę. To dziwne, trochę męczące spotkanie.

– Szkoda. – Agata patrzy mi prosto w oczy. – Mieszkam dosłownie naprzeciwko, myślałam, że moglibyśmy wypić razem wino. Następnym razem?

Mówi to zupełnie swobodnie, jakby pytała, z którego przystanku odjedzie autobus.

– Tak – mówię. – Następnym razem, pewnie.

Płacę kartą, Agata oddaje mi gotówkę za swoją część. Młoda kelnerka przyjmuje rachunek z grymasem obrzydzenia, jakbym przy niej napluł na wydruk z terminala. Żegnamy się. Proponuję Agacie, że ją odprowadzę, ale z uśmiechem pokazuje mi okno swojego mieszkania. Widziałaby z niego nasz stół.

– Szkoda czasu, leć na metro.

Wychodząc z restauracji, nie mogę pozbyć się wrażenia, że uczestniczyłem w starannie wyreżyserowanej scenie. Moja rola została zawczasu dokładnie rozpisana, wypowiedziałem dokładnie te kwestie, których ode mnie oczekiwano. Ani na moment nie oddaliłem się od przygotowanego skryptu, nie pozwolono mi nic zaimprovizować. Suma przypadków, dobre sobie. Wiem o Agacie jeszcze mniej niż przed spotkaniem. Co ona wie o mnie? Sądzę, że jeśli wcześniej miała jakieś wyobrażenie na mój temat, tylko się w nim utwierdziła. Cała rozmowa przypominała bardziej odhaczanie kolejnych pytań z niewidzialnej listy. Agata mnie testowała.

Gdybym nigdy wcześniej nie odwiedził tego mieszkania, a teraz ktoś mnie do niego przyprowadził i kazał zgadywać, do kogo ze znajomych należy, wahałbym się co najwyżej przez chwilę. Chłodna skandynawska estetyka, plakaty z wzorami geometrycznymi, jasne, proste meble. Książki i segregatory równo ustawione na półkach. Żadnych walających się ubrań, żadnych kartonów po pizzy, żadnych kapci na środku pokoju. Można pomyśleć, że to pokazowe mieszkanie z katalogu, że zaraz z kuchni wyjdzie uśmiechnięty agent biura nieruchomości. Chyba tylko kubek z kawą na biurku przed ogromnym monitorem, nieśmiało sugeruje, że tę przestrzeń jednak zamieszkuje żywy człowiek.

Wika siedzi na ergonomicznym biurowym krześle i obraca się powoli to w lewo, to w prawo.

– Moim zdaniem, sytuacja jest klarowna – mówi. – Laska cię ostentacyjnie podrywa, osiołku. Uznała, że najlepszą metodą będzie odgrywanie tajemniczej femme fatale, takiej trochę mrocznej, a trochę zdystansowanej, która dużo wie, ale niewiele powie. Dla mnie to dość oczywiste.

– Dla mnie w ogóle – mówię szczerze.

Wika kiwa głową.

– Kiedyś czytałam, że wielu facetów ma ogromny problem z rozpoznaniem, czy dziewczyna z nimi flirtuje, ze zorientowaniem się w samej sytuacji flirtu. Nigdy bym w to nie uwierzyła, gdybym cię nie znała.

Uśmiecham się. Myślę o zdziwieniu grafików, gdy przyznałem, że nie widzę dwuznacznego napięcia między Piotrem a Anną.

– Co na to poradzę?

– Pewnie nic. A ta Agata widocznie ma co do ciebie dobrą intuicję, skoro od razu poukrywała większość informacji na swój temat na Facebooku, ale zostawiła zdjęcie w bikini. Jeśli zrobiła to celowo, to nawet trochę

podziwiam.

– Myślisz, że to jej plan?

– Nie zdziwiłabym się. Skoro ma dobre relacje z Anną, pewnie podpytała ją o ciebie. Może wpadłeś jej w oko podczas tego spotkania u was w firmie, może nawet wcześniej. Popatrz, jeśli przepływ dokumentów między spółkami jest tak swobodny, jak twierdzi, mogła nawet widzieć twoje CV.

– I doszła do wniosku, że jeśli będzie tajemnicza i w ogóle jak z filmu, polecę na nią jak ćma do ognia?

Wika zastanawia się. Kręci w palcach końcówkę dreda.

– Wyobraź sobie, że wchodzisz do waszego pokoju w biurze i widzisz siebie, w typowej, codziennej sytuacji, podczas pracy. Opisz mi ten obrazek.

– No, siedzi koleś ze słuchawkami na uszach, patrzy w ekran i stuka w klawiaturę. Trudno o mniej efektowny widok.

– Siedzi skupiony, przystojny facet. Trochę mroczny. Słucha dziwnej muzyki. Tak ten widok opisałaby laska, matołku.

– Mroczny?

Wika uśmiecha się w ten sposób, który każdy, kto jej nie zna, pomyliłby ze zniesmaczonym skrzywieniem.

– Nie kokietuj, Pelawski. Doskonale wiesz, że kiedy się zamyślisz, wyglądasz, jakbyś planował zabójstwo. Mogę się założyć, że jeśli Agata zapytała o ciebie Annę, mniej więcej tak zostałeś przedstawiony. Potem zobaczyła cię na spotkaniu, spodobałeś się i teraz próbuje przejąć inicjatywę. Nie znam jej, ale nawet szanuję, babka z jajami, to się mimo wszystko ceni.

Kręcę głową. Jestem pod wrażeniem, że Wika zdołała zapamiętać imiona i role wszystkich osób, o których jej opowiedziałem.

– Naprawdę nie odebrałem tego w ten sposób.

– Zaprosiła cię do siebie na wino.

– Bo było jasne, że i tak nie pójdziemy.

Dziewczyna wzdycha.

– No przecież nie zdejmie sama majtek na pierwszym spotkaniu. Szymon, litości. Co jeszcze miałyby zrobić, by do ciebie dotarło, że ma na ciebie ochotę? To samo, co Ewelina?

– Nie wiem. – Wzruszam ramionami. – Chyba po prostu jakoś to wszystko wypieram.

– No widzę właśnie. Ale nie rozumiem dlaczego. Agata ci się nie podoba?

– Podoba, to cholernie atrakcyjna dziewczyna jest.

– To w czym rzecz?

– Sam nie wiem. Po tym dzwonie od Eweliny chyba trochę we wszystko zwątpiłem. Nie wiem, czy w ogóle warto się wiązać.

– Ale kto mówi, że miałbyś się wiązać? Może to właśnie ten moment, w którym powinienes trochę skorzystać z życia? Wiesz, Szymon, co jest twoim drugim największym problemem, zaraz po tym, że bywasz naprawdę, nie obraż się, idiotą w odczytywaniu intencji bliźnich?

– Aha?

– Od razu się angażujesz. Nie uznajesz żadnego gradientu. Albo jesteś dla dziewczyny kumplem, albo od razu chłopakiem. Odnalazłbyś się idealnie w małżeństwie, cholera, aranżowanym. I byłbyś zapewne najlepszym mężem w wiosce. Ale dzisiaj to działa trochę inaczej, tylko ty uparcie nie chcesz tego dostrzec.

– Nie chcę dostrzec? – powtarzam trochę zdezorientowany.

– Jak długo spotykałeś się z Eweliną, zanim się wprowadziła? Dwa miesiące?

– Trzy. Niecałe.

– A wcześniej Agnieszka? To samo. Widzisz schemat?

– Pewnie, że widzę, nie raz o tym myślałem.

– No, to mnie teraz posłuchaj. Nie musisz od razu myśleć o tej lasce jak o swojej dziewczynie. Naprawdę. Możesz się z nią po prostu przespać i to też będzie w porządku. Nie zakładaj od początku, że ona oczekuje, że zostaniesz z nią na zawsze. Słuchaj, wiem. Pracowałeś kiedyś na umowę o pracę?

– Nigdy – odpowiadam zdziwiony. – Na samym początku zlecenia, potem już firma–firma.

– No więc właśnie. I z tym jakoś nie masz problemu. Wszyscy żyjemy na jakichś dziwnych umowach. Spróbuj zrozumieć, że ten mental przeżarł nas na wylot, rozlał się na wszystkie aspekty życia. Na związki też. Pogódź się

z tym. Tak wygląda dzisiaj świat. Idź z Agatą do łóżka, tak po prostu. Nie planuj.

Kiwam głową.

– Dobrze, mamó. Ale wiesz, mimo wszystko to w pewnym sensie koleżanka z pracy. Takie układy zawsze wydawały mi się niezdrowe.

– A ten znowu – prycha Wika. – Układy – przedrzeźnia mnie. – Układy to są między politykami a mafią. Romans to nie żaden układ. Romans to coś, co dzieje się tu i teraz. Możesz się z nią przespać i przynajmniej mieć fajne wspomnienia na starość.

Trochę dziwi mnie nagła zmiana tonu Wiki.

– Nie wiesz, dokąd cię to wszystko zaprowadzi – dodaje. – Oczywiście, że nie, bo tego nie wie nikt. Ale na litość boską, co to za powód do wycofania się. Chyba przydałoby ci się dla odmiany trochę pozytywnych chwil. Trochę pozytywnych myśli.

Koncentruje na mnie laserowe spojrzenie. Czuję się bezbronny.

– Łap chwile, Szymon. Po prostu. Łap te pierdolone chwile.

– Ta tutaj żaróweczka, widzisz, będzie migać na czerwono, gdy użytkownik dostanie powiadomienie – pokazuje Cyprian. – Z kolei gdy poprawnie wykona polecenie, zamiga na zielono.

Interfejs aplikacji konkursowej jest bardzo prosty, składa się tylko z dwóch ekranów – startowego, na którym wyświetlać się będą zlecane użytkownikom zadania, oraz z okna z mapą, na której pojawią się lokalizacje najważniejszych miejsc. Mapa oczywiście jeszcze nie działa, sama aplikacja wciąż jest na etapie produkcji. Tak czy inaczej, jestem pod ogromnym wrażeniem, jak szybko rozwija się ten projekt. W piątek przygotowaliśmy specyfikację elementów graficznych interfejsu. Podwykonawca, jakiś freelancer weteran, znajomy Anny, pracował nad nimi przez weekend, w poniedziałek zdążył nanieść poprawki. Jest wtorek i proszę – oglądam wersję, która jeśli nie okaże się jeszcze ostateczną, to na pewno jest jej bardzo bliska. Dokładnie tak to sobie wyobrażałem – rdzawe kolory, postapokaliptyczny dizajn; aplikacja będzie wyglądała jak hipsterski licznik Geigera. Huoyan House wszystko akceptuje i spokojnie czeka na efekty, nikt od nich nie próbuje zaglądać nam przez ramię. Wyobrażam sobie, że nasze koncepty zatwierdza po ich stronie sędziwy chiński mędrzec. „Pracujcie spokojnie, pomysł jest świetny, wierzymy, że zrobicie coś naprawdę wyjątkowego” – z takim feedbackiem przysłała Anna. To ogromna zmiana w porównaniu do Crème de la Creation – tam klienci dzielili się albo na kompletnie niezdecydowanych, potrzebujących dziesięciu kreacji do wyboru i wielu godzin burzliwych dyskusji, żeby w ogóle podjąć jakąkolwiek decyzję, którą później i tak kilka razy zmieniali, albo na pełnych dobrych chęci, ale całkowicie uwiązanych korporacyjnymi procedurami, przez które proces decyzyjny włókł się ponad wszelką przyzwoitość. Jeśli grzybowata struktura naszej grupy kapitałowej, o której mówiła Agata, przekłada się na tak sprawną pracę agencji – to drodzy państwo, tylko w takich chcę pracować.

– Z punktu widzenia użytkownika cały ten konkurs będzie tak naprawdę

wyczekiwaniem na kolejne powiadomienia – mówi Cyprian. – Tak?

– Trochę tak – przyznaję.

Ustaliliśmy, że uczestnicy będą otrzymywać kolejne zadania przez jeden dzień, sobotę. Ci, którzy jako pierwsi odkryją lokalizację finałowego etapu, dostaną zaproszenia na niedzielę. Wszystko zamknie się więc w jednym weekendzie, po którym pięciu szczęśliwców wzbogaci się o mieszkanie albo przynajmniej jego obietnicę.

– To zupełnie jak całe nasze życie. Przecież my tak naprawdę żyjemy od jednego powiadomienia w telefonie do drugiego. Piknięcie, bo na skrzynkę przyszedł nowy mejl, trzeba sprawdzić, może to oferta lepszej pracy. Piknięcie, bo kumpel napisał esemesa, żeby wbić do niego na browar, i nagle wieczór nabiera sensu. Piknięcie, bo jakaś laska zmatchowała się na Tinderze i kto wie, może coś z tego wyniknie. Życie to piknięcia. Serce mi przestanie pikać, a telefon wciąż będzie.

– El Cypriano. – Zuza wzdycha zza monitora. – Ty i te twoje rozkminy.

Wielkolud udaje, że się dąsa.

– Nie słuchaj, jak się nie podoba.

– Nie słuchać? Ja cię powinnam zacząć nagrywać, a potem książkę wydać, złote myśli zmurszałego dziada z agencji reklamowej.

– A proszę bardzo. Ale hajsem się dzielimy.

Wracam do swojego biurka. Muszę napisać treść zadań, które otrzymają uczestnicy konkursu. Będzie ich pięć, wszystkie koniecznie związane i jednoznaczne. Obiecałem Piotrowi i Annie, że pierwsze wersje przygotuję do końca dnia.

Od wczoraj myślę o słowach Wiki. Miała rację, bardzo dużo racji. Jak zwykle. Zastanawiam się, z jakiego właściwie powodu przez ponad trzy dekady życia nie zdarzyło mi się z nikim romansować, tak po prostu, bez zobowiązań, bez oczekiwań. Może ciąży na mnie historia rodziców i ich szkolnej miłości, która przetrwała tyle lat? Ależ by to było typowe, klisza bolesna, że aż szkliwo zgrzyta. W każdą nową relację wchodziłem z przeświadczeniem, że tym razem musi się udać, że zaczyna się najpiękniejsza podróż życia. A rzeczywistość zawsze wiedziała lepiej. Musi się udać? Nic nie musi, no i niespodzianka, nigdy się nie udawało. Podróż dookoła świata zazwyczaj okazywała się krótką, chaotyczną przejażdżką,

kończącą się na drzewie, zanim się na dobre zaczęła. Ile tak można? Być może opowieści o dojrzeniu do prawdziwego zaangażowania to bujda: tak naprawdę trzeba dojrzeć raczej do nieangażowania się. Kiwam głową. To są dopiero złote myśli. Tao copywritera.

Piszę:

Oto numer do Klucznika. Zadzwoń do niego. W ciągu dziesięciu sekund odpowiedz na postawione ci pytanie. Jeśli podasz prawidłową odpowiedź, usłyszysz cztery liczby. Zapisz je.

Zastanawiam się, o co powinien pytać Klucznik, czyli pewnie studenciak z call center, które wynajmujemy do przeprowadzenia tej akcji. Zdaniem Piotra pytanie powinno dotyczyć historii Fabryki Domów, ale nie jestem przekonany, czy to nie zbyt trudne, zbyt niszowe. Do finału na Starych Świdrach powinny przejść sto czterdzieści cztery osoby; zgodnie z przypuszczeniem Agaty deweloper uznał, że sto to za mało. Liczymy, że uda się wciągnąć do konkursu około tysiąca użytkowników, a więc mniej więcej co siódmy powinien poradzić sobie ze wszystkimi zadaniami.

Może niegłupio byłoby poprosić o radę właśnie Agatę? Gdyby na moment zapomnieć o specyficznej otoczce, którą próbuje wokół siebie roztaczać, wydaje się osobą dość dobrze zorientowaną w specyfice tej pracy, a na pewno w oczekiwaniach klienta. Nie rozmawiałem z nią od momentu, gdy rozstaliśmy się przed wegeburgerem na Koszykowej, i teraz zastanawiam się, być może paranoicznie, czy nie uznałaby, że pytając ją o konkurs, wywieszam białą flagę, podejmuję próbę przeniesienia relacji z powrotem na grunt wyłącznie zawodowy. A tego wcale bym nie chciał. Przeciwnie. Jeśli czegoś chcę, to wypić z nią wino. Przekonać się naocznie, czy nie wyretuszowała zdjęć z tej izraelskiej plaży. Spędzić trochę czasu na jak najprzyjemniejszym nieangażowaniu się. Zdaniem Wiki Agata odezwie się sama. Pomilczy dzień, dwa, a potem znów wyjdzie z inicjatywą – to samica alfa, która na pewno nie będzie czekać w nieskończoność. Powinienem pozwolić jej poprowadzić tę grę. A jeśli jednak Wika się myli? Jeśli Agata zniechęciła się, zinterpretowała najpierw moje wahanie, gdy zaprosiła mnie do siebie, a teraz milczenie jako przejaw niechęci, rezygnację z zabawy? Z przebiegu naszego spotkania, gdy teraz o nim myślę, wcale nie wynikało,

że miałbym cokolwiek przeciwko zdejmowaniu z niej ubrania. Postanawiam, że jeszcze pomyślę o pytaniu Klucznika, a jeśli nic nie przyjdzie mi do głowy, zwrócę się do niej o pomoc.

Otwieram w kolejnych kartach przeglądarki materiały dotyczące dawnej Fabryki Domów i samych Świdrów. Coś wymyślę. Czytam o perypetiach zakładu przemysłowego, w którym produkowano fragmenty ścian i sufitów. Fabryka działała od lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku aż do wczesnych dziewięćdziesiątych. Ciekawe, ile mieszkań zbudowano z prefabrykatów, które tam powstały. Może to właśnie temat na pytanie? Rzuć przybliżoną liczbę, najbliższe prawdy odpowiedzi zostaną nagrodzone. Sam nie wiedziałbym nawet, w jaki rząd wielkości celować.

Mam jeszcze cały dzień na myślenie. Może kawa mnie trochę pobudzi. Wstaję od biurka i w tym momencie w kieszeni pika telefon. Wyjmuję go, odblokowuję ekran. Spoglądam na Cypriana, uśmiecham się.

To esemes od Agaty. Tylko jedno słowo.

Jutro?

Cichy dźwięk oznajmia nadejście wiadomości na czacie. Przełączam się na kartę z Facebookiem. Pisze do mnie Gośka.

Hej, przepraszam, że dopiero odpisuję. Nie zaglądam już tu prawie.

Nie wierzę. Przecież Ty mieszkasz na Messengerze :)

Nie mam siły już. Za dużo ludzi do mnie pisze. O jakie zdjęcie chodzi?

No Eweliny na jej insta. Wszystko już się wyjaśniło?

Przez dłuższą chwilę Gośka milczy. Wreszcie rozlega się przenikliwy dzwonek. Połączenie głosowe przez Messengera. Odbieram.

– Cześć – słyszę. – Sorry, naprawdę nie mam siły pisać.

– Jasne – mówię do ekranu laptopa. – Cześć, Gośka.

Od razu przechodzi do rzeczy:

– Szymek, o czym ty właściwie pisałeś? Jakie zdjęcie?

Młoda mówi powoli, a jej matowy głos dzieli od płaczu nie więcej jak jeden oddech.

– No, na Instagramie – mówię ostrożnie. – Dodała dwa dni temu zdjęcie z kotem. Myślałem, że jest aktualne, że się odnalazła.

– Zdjęcie? Z kotem? O czym ty mówisz?

– A widziałaś jej insta?

– Szymek. Ewelina nie dodała żadnego zdjęcia, odkąd zaginęła. Zaglądam tam codziennie.

Słyszę, z jakim wysiłkiem wypowiada te zdania. Jakby każde słowo było kamieniem.

– Zaraz wyślę ci linka – mówię.

W zakładce obok wpisuję adres instagramowego konta Eweliny.

„Przepraszamy, ta strona jest niedostępna. Kliknięty link mógł być

uszkodzony lub strona mogła zostać usunięta. Powrót do Instagramu”.

Przyglądam się uważnie, czy nie zrobiłem literówki, ale nie – zresztą przeglądarka sama podpowiedziała zapamiętany adres. Jeśli myślę się ja, to myślę się też pliki cookies. Odświeżam stronę. Bez rezultatu.

– Cholera – zastanawiam się. – Jej profil nie działa. Dziwne...

Z głośników laptopa dobiega cichutki chrzęst – to Gośka uderza w klawiaturę.

– U mnie działa – słyszę. – Nie ma żadnego nowego zdjęcia. Wiesz co... – waha się przez moment. – Proszę cię, chociaż ty nie rób ze mnie wariatki...

Ostatnie słowo przechodzi w płacz. Nagle do głowy wpada mi dziwny pomysł. Czuję ukłucie niepokoju.

– Gosia – mówię szybko. – Powiedz mi, jak nazywa się jej konto? To, które teraz widzisz?

– No jak to jak – pociąga nosem. – Jem cukierki na kolację. Pisane razem, przez „e”, nie „ę”. Słuchaj, naprawdę, od wielu dni wypisuje do mnie stado jakichś pojebów, nie mam siły na żadne gierki, zresztą ja na to nie zasłużyłam...

– Spokojnie. – Staram się zabrzmieć przyjaźnie. Nie chcę nawet wyobrazić sobie, w jakim stanie musi być młoda. – Nie mam żadnych złych zamiarów. Widzisz, ja wchodziłem dotąd na konto „e”, kropka, „kuliczka”. Taki sam adres od zawsze. Tak go pamiętałem, nie tylko ja, ale też Chrome na moim kompie.

– Ale co ty mówisz. – Gośka wydaje się mocno zaskoczona. – Ewelina zmieniła nazwę konta krótko po tym, jak się rozstaliście. Mówiła, że nie chce, by pierwszym, co pojawia się w Google’u po wpisaniu jej imienia i nazwiska, były zdjęcia z insta.

Bezmyślnie patrzę w ekran. Dobrze, sprawdzmy. Otwieram kartę w trybie incognito, bo przecież zablokowała mi normalny dostęp do swojego profilu. Instagram kropka com, slash, jemcukierkinokolacje, enter. Wzdycham. Faktycznie – pojawia się profil Eweliny. Ostatnie dodane zdjęcie przedstawia kartony wypakowane jej rzeczami. „Gdzie dziś w Warszawie dobra impreza?”

– Jasna cholera. – Wpatruję się w tę fotografię, w kartony, w jej skórzane buty i stojące obok nich airmaxy. – Gośka, ja nie miałem pojęcia, że ona

zmieniła nazwę profilu. Nic nie rozumiem.

- Ja też nie. Ale ci wierzę.
- Przepraszam, nie chciałem cię zdenerwować.
- Nie ma sprawy. Słuchaj, muszę spadać, rodzice u nas są.
- Jasne. Trzymaj się.

Gośka kończy połączenie. Wstaję od komputera, idę do przedpokoju. Patrę w lustro. W tym momencie nie zdziwiłbym się, gdybym nie dostrzegł własnego odbicia. Szczypię się w policzek, mocno, aż się krzywię, przyglądam się zaczerwienionej skórze.

Tak jak nie przepadam za czystą wódką, tak teraz żałuję, że nie mam jej w lodówce. Palące zimno w przełyku, tego mi potrzeba. Ale nie mam nawet piwa. Wchodzę do kuchni, odkręcam wodę, chwilę odczekuję i wypijam duszkiem kilka łyków prosto z kranu. Woda ma metaliczny posmak.

Gdy zamykam oczy, wyraźnie widzę zdjęcie, na którym Ewelina prawie niknie w wielkim fotelu, a na jej kolanach leży szary kot z mocno obojętnym pyszczkiem. Widzę na palcu jej dłoni odpustowy pierścionek kupiony w Gdańsku, a na podkulonych stopach skarpetki z psem Snoopym. Widzę jej ironiczny uśmiech.

Po co ktoś miałby prowadzić fałszywe konto Eweliny, do tego nazwane tak, a nie inaczej? Ile to wymagałoby zachodu: skopiować nie tylko wszystkie zdjęcia i ustawienia, ale też komentarze. Nie jestem nawet pewien, czy to w ogóle możliwe. Kto oprócz mnie miałby być widzem tego dziwnego spektaklu, i wreszcie – dlaczego show miałby skończyć się właśnie teraz? Kto i kiedy zrobił to zdjęcie? A jeszcze jej profil na Sympatii – przecież go sobie nie wymyśliłem. Czuję się bezradny. Zastanawiam się, co powinienem zrobić. Zadzwoić na policję? „Halo, dzień dobry, Wydział do spraw Walki z Cyberprzestępczością? Chciałbym zgłosić dwa fałszywe profile zaginionej Eweliny Kuliczki w mediach społecznościowych, zdaje się, że obydwa już skasowane”. Zaciskam pięści. Nie chcę tej historii, nie chcę jej z całego serca. Czuję, jakby Ewelina była kometą, która przemknęła tuż obok, wznecając w atmosferze straszliwe burze, omal nie wybijając z orbity, a choć sama dawno zniknęła w bezkresie kosmosu, to ciągnący się za nią welon pyłu i gazów wciąż dusi, nie pozwala swobodnie oddychać. Gdy tylko próbuję skupić uwagę na czymkolwiek innym, na nowej pracy, na

Agacie, ze ściany wyłania się milczące widmo Eweliny. Oddałbym wszystkie oszczędności i kartę kredytową, zgodziłbym się przytyć pięćdziesiąt kilo i wyłysieć, dałbym się potraćić przez samochód, byle móc cofnąć się w czasie do dnia, w którym napisała do mnie po raz pierwszy na Facebooku, i skasować tę wiadomość bez czytania. Gdybym wiedział, że:

Cześć, przepraszam, że zawracam Ci głowę, ale przeczytałam Twój wpis o „Wielkim pięknie” Sorrentino i jestem zaskoczona, bo po raz pierwszy widzę, że ktoś zwrócił uwagę na te same rzeczy co ja

– może zapoczątkować sekwencję wydarzeń, która zaprowadzi mnie do chwili obecnej, do punktu, w którym stoję przed lustrem z zaciśniętymi pięściami i zaczynam wątpić we własne zmysły, w ogóle nie włączałbym wtedy komputera. Zawiesiłbym konto na Facebooku. Próbowałbym się jakoś uratować.

Wracam do biurka. Dla pewności jeszcze raz próbuję wejść na jej stary profil na Instagramie. „Przepraszamy, ta strona jest niedostępna”. Loguję się na Sympatię, jeszcze raz wyszukuję użytkowniczkę, która odpowiedziała na moją zaczepkę. „Niestety nie znaleziono nikogo spełniającego Twoje kryteria”. Żadnych dowodów, poza zapamiętanymi obrazkami. Znów kłuje mnie niepokój. Loguję się na skrzynkę pocztową. Widzę mejla, którego wysłałem sam do siebie. Otwieram go. W załączniku znajdują się screenshoty z pogrózkami, które dostawałem na Facebooku – na samym portalu zniknęły razem z usuwanymi kontami użytkowników. Przynajmniej tyle. Podchodzę do regału, sięgam po wydruk zdjęcia, na którym ktoś wyglądający jak ja szarpie się z kimś wyglądającym jak Ewelina. Sięgam po wezwanie na komendę. Przesuwam palcami po papierze, czuję jego fakturę.

Wydaje mi się oczywiste, że za tym wszystkim, za fałszywymi kontami, za pogrózkami na fejsie i niepokojącym zdjęciem, które przecież może być sfabrykowane, stoi jedna osoba. W momencie nagłego olśnienia dochodzę do wniosku, że to sama Ewelina, która widząc, że nie wystarczyło po prostu odejść, żeby zniszczyć mi życie, postanowiła dopełnić dzieła. Zaraz jednak przypominam sobie rozedrgany głos jej młodszej siostry i robi mi się autentycznie wstyd.

– Co jeszcze musiałyby się stać, byś uwierzył, że nic, co dzieje się wokół ciebie, nie jest przypadkowe?

W oliwkowym spojrzeniu Agaty dostrzegam smutek, ale nie tylko, jest jeszcze coś, czego nie potrafię określić. W tym wzroku lśni jakaś łagodność, rozmiękcza go nieuchwytny filtr. Dziewczyna uśmiecha się samymi kącikami ust.

Nie wiem, co odpowiedzieć. Siedzimy na kanapie w jej mieszkaniu, dużej kawalerce w kamienicy na Koszykowej. Z okna rzeczywiście wyraźnie widać knajpę z wegeburgerami; przy stoliku, przy którym ostatnio siedzieliśmy, czyta gazetę chudy chłopaczek. Obsługuje go inna kelnerka.

Mieszkanie Agaty jest urządzone bardzo prosto, żadnych zbędnych mebli, żadnych niepotrzebnych sprzętów. Prawie jak u Wiki. Wyróżnia się tylko aneks kuchenny, na półkach stoi mnóstwo słoiczków z przyprawami, butelek ze smakowymi oliwami, opakowania różnych herbat i kaw. Reszta mieszkania wygląda na jego tle jak wstępnie naszkicowana. Tak jakby radość lokatorce sprawiało głównie gotowanie – co w ogóle nie pasuje do postaci Agaty.

Panuje półmrok, świeci tylko stojąca przy kanapie lampka. Gdzieś w tle niezbyt głośno gra elektroniczna muzyka. Ponad pulsującym bitem i przelewającymi się sennymi smyczkami męski głos powtarza jedną zapętloną frazę. *Shades of night, shades of night.*

Na prostym stoliku z Ikei dwa kieliszki towarzyszą pustej butelce po winie. W miarę jej opróżniania opowiedziałem Agacie o perypetiach z Ewelina, sam nie wiem dlaczego, bo tak naprawdę nie zapytała o nic wprost. Dziwiłem się sam sobie, że o tym mówię, a jednak wciąż mówiłem, raz za razem dolewając nam wina. Chyba jeszcze bardziej się dziwiłem, nie widząc po niej znużenia ani zniechęcenia, jakby w ogóle jej nie przeszkadzało, że opowiadam o mojej byłej i zamieszaniu, które spowodowało jej zaginięcie. Co więcej, odnosiłem raczej wrażenie, że jest

szczerze zainteresowana.

Agata na chwilę odwraca wzrok, spogląda na kieliszki. Wino jeszcze jest, przyniosłem dwie butelki.

– Odkąd cię zobaczyłam w biurze, wiedziałam, że musisz mieć jakąś swoją historię – mówi. – To się widzi, wyczuwa. Jakby inna częstotliwość fal. I to jest w pewien sposób piękne. Ludzie, którzy nie mają żadnych przeżyć, żadnych historii, są jak gładkie lalki, a w gładkich lalkach nie ma nic interesującego.

Na moment milknie. Zamyśla się, albo próbuje ukryć, że odbiło jej się po winie. Po chwili mówi dalej:

– Też mam swoją historię, Szymon. Jestem rozwódką, już od dwóch lat.

– To w jakim wieku wyszłaś za męża? – pytam, zanim dociera do mnie, że to średnio taktowne. Na szczęście nie widzę, żeby tak to odebrała.

– Miałam dziewiętnaście lat. Były mąż trzydzieści sześć.

Kiwam głową. Kolejna typowa historia. Agata niby patrzy na butelkę, ale wybiega wzrokiem gdzieś znacznie dalej. Mówi:

– To pewnie zabrzmiało źle, ale od dłuższego czasu uważam ludzi, którzy swoje wycierpieli, za znacznie bardziej wartościowych. Do niedawna wierzyłam, że istnieje coś takiego jak amplituda emocji, że tylko ktoś, kto znalazł się na samym dnie, potrafi wzbić się naprawdę wysoko.

– A teraz?

– Teraz wierzę już w bardzo niewiele rzeczy.

Wstaję po drugie wino. Korkociąg leży na blacie w kuchni. Zdejmuję folię z szyjki butelki, przez chwilę mocuję się z korkiem. Nalewam wino do kieliszków, podaję Agacie. Uśmiecha się.

– Wierzę na przykład, że jesteśmy częścią planu, który przerasta nasze wyobrażenia.

Wypijam łyk. Nie znam się na winie, nie potrafię ocenić jego jakości. Kupując dla kogoś, kieruję się tym, żeby nie było najtańsze, to wszystko. Smakuje mi. *Shades of night, shades of night*, powtarza głos z głośników.

– Boskiego planu?

– Ludzkiego, tylko i wyłącznie. Ale jakie to ma znaczenie, gdy ludzie są jak bogowie.

– Nie rozumiem.

Wika się pomyliła. To nie tak, że Agata Kociuk doszła do wniosku, iż pozując na nieco ekscentryczną dziewczynę, która od czasu do czasu rzuci niezrozumiałym tekstem, zwróci na siebie uwagę. Agata Kociuk jest po prostu szalona. To coś, co mieszka w jej spojrzeniu, a czego nie potrafię nazwać, to maskowane szaleństwo.

Prawdopodobnie rozsądnie byłoby dopić wino i grzecznie się pożegnać, a potem taktycznie wycofać naszą znajomość na grunt zawodowy. Świat wokół i tak dostatecznie już oszalał, żeby świadomie i celowo brnąć w kolejną historię, która nie ma prawa skończyć się dobrze. Ale patrząc w te oliwkowe oczy, wcale nie chcę się żegnać. Widząc, jak siedzi obok z kieliszkiem w dłoni, z kolanami podciągniętymi pod brodę, wcale nie czuję, że powinienem uciekać.

– Nie rozumiesz, bo nie chcesz rozumieć – mówi, przysuwając się bliżej na kanapie. – I tak naprawdę wcale się nie dziwię. Ale nie będziesz w stanie tak się okłamywać w nieskończoność.

Upijam kolejny łyk wina. Przez krótką chwilę zastanawiam się, co robilibyśmy teraz z Dorotą. Pewnie siedzielibyśmy w kinie.

– Okłamywać się?

– Naprawdę uważasz to za przypadek, że zamachowcy posłużyli się hasłem, które wymyśliłeś? I za przypadek, że żadne służby nie są w stanie określić, kto za nimi stoi?

– Nie wiem.

– To przypadek, że dostałeś propozycję pracy akurat w momencie, gdy straciłeś poprzednią?

– Akurat tu nie dopatrywałbym się niczego nadzwyczajnego. Co jakiś czas dostaję oferty, ty pewnie też.

– Może i tak. Ale sam zobacz, jak to wygląda.

– Nie chcę tak o tym myśleć. To trąci paranoją.

– Paranoją? Nie każdy może powiedzieć, że jako jedyny widzi ducha swojej byłej w social mediach. Nie każdy opracowuje hasło, które potem cały świat poznaje jako motto krwawego zamachu w metrze.

Wzdycham.

– Przecież sami mówiliście na spotkaniu u nas w biurze, ty i ten Johan, że

to niefortunny zbieg okoliczności.

– Nie zawsze można powiedzieć to, co się myśli.

– A co myślisz?

– Że to nie przypadek.

Podnoszę kieliszek, delikatnie go obracam, patrzę na wino. Światło załamuje się na brzegach kieliszka, miękki refleks tańczy na ścianie pokoju. *Shades of night, shades of night.*

– A więc jesteście w to zamieszani. W zamach, w śmierć niewinnych ludzi.

– My?

– LuceLume.

Agata unosi kieliszek wina, jakby wznosząc toast.

– Chciałam, żebyś to ty powiedział to na głos.

– Czemu?

– Bo samych siebie traktujemy poważniej niż innych. Zwłaszcza prawie nieznanym.

Przysuwa się jeszcze bliżej. Nasze uda się dotykają.

– LuceLume zabija ludzi?

Agata odstawia kieliszek z winem na stół. Delikatnie zabiera mój, stawia obok.

– Zabije nas wszystkich – mówi i powoli zdejmuję bluzę. – Ale jeszcze nie teraz, a więc nie ma to żadnego znaczenia.

Budzę się przed alarmem budzika i omiatam mieszkanie wzrokiem. Czuję się intruzem, to obca przestrzeń, nie od razu zdaję sobie sprawę, gdzie jestem. Zegar na wyświetlaczu kuchenki mikrofalowej pokazuje, że do siódmej pozostał kwadrans. Okna są zamknięte, ale z ulicy i tak dolatuje głośny szum samochodów, a cienkie zasłony to żadna przeszkoda dla miejskich świateł. Warszawa od dawna nie śpi. Podnoszę się, sięgam po wodę mineralną, która stoi na podłodze obok kanapy. Czuję w ustach kwaśny posmak przetrawionego wina. Piję.

– Dzień dobry – mówi Agata.

– Cześć. – Odwracam się do niej. – Myślałem, że jeszcze śpisz.

Podaję jej butelkę wody, podnosi się, upija kilka łyków. Kołdra zsuwa się, odsłaniając nagie piersi. Agacie w ogóle to nie przeszkadza. Patrzy na mnie pytająco, a ja nie wiem, jak się zachować. Zauważa to, uśmiecha się.

– Kawy zrobię – mówi.

Wstaje, szybko nakłada koszulkę. Włącza światło. Podnoszę się na łóżku, patrzę na jej małe, krągłe pośladki. Pocztówki z wczorajszego wieczoru będą do mnie wracać latami. Stary i zwiotczały będę fantazjował o tym tyłku, o tych piersiach, nogach, o tych biodrach i szyi, o dotyku jej chłodnych dłoni. Jako stulatek umrę na serce, gdy z zakamarków pamięci wychynie niespodziewanie wspomnienie Agaty dosiadającej mnie tyłem. Jeśli dożyję transhumanistycznej rewolucji, bez żadnych rozterek zgodzę się na przeniesienie umysłu do maszyny, bo nic lepszego ze strony śmiertelnego ludzkiego ciała już i tak mnie nie spotka.

Zgarniam rozrzucone na fotelu ciuchy i idę do łazienki. Szybko opłukuję twarz, próbuję jakoś ułożyć przetłuszczone, sterczące na boki włosy. Chce mi się śmiać na widok własnego odbicia w lustrze. To jakieś nieporozumienie, błąd systemu. Ubieram się. Mam wrażenie, że wczorajsze ubranie się do mnie klei. Żołądek przypomina, że wypiliśmy po półtorej butelki wina.

Gdy po kilku minutach wychodzę, Agata nalewa nam kawy do kubków.

– Chcesz jajecznicę? – pyta, wracając do kuchni.

– Z przyjemnością – mówię. – Pomóc ci?

Kręci głową.

– Poradzę sobie. Widzisz zresztą, nie bardzo zmieszczą się tu dwie osoby.

Siadam więc i milczę. Patrzę, jak Agata, wciąż w kusej koszulce i majtkach, krząta się przy kuchence. Jest w tym tak absolutnie naturalna, jakby wyćwiczyła to zachowanie do perfekcji. Dziewczyna musi zdawać sobie sprawę, że nawet teraz, wbijając jajka na patelnię, wygląda jak mokry sen reżysera teledysków.

Po chwili jemy jajecznicę, zagryzamy chlebem. Wydaje mi się, że powinienem coś powiedzieć, rozbić tę ciszę, która nagle zawisła między nami niczym pajęczyna, zainicjować rozmowę. Nie mam pojęcia, o czym rozmawiać przy śniadaniu z praktycznie nieznaną dziewczyną. Przecież nie o pogodzie. Na liście moich umiejętności i talentów naprawdę próżno szukać small talku.

– Mówiłaś wczoraj dość mroczne rzeczy o firmie – odzywam się wreszcie, przełknąwszy widelec jajecznej masy.

Agata kiwa głową.

– Tak – odpowiada spokojnie. – Podtrzymuję. Prawdopodobnie nas zabiją. Zginiemy oboje. Zginie zresztą jeszcze dużo więcej ludzi.

– Arteriami popłynię krew.

Uśmiecha się tylko. Popijam kawę, dobrą, mocną.

– Nawet jeśli przyjmujemy, że zamach w metrze faktycznie miał coś wspólnego z LuceLume, to wciąż nie rozumiem najważniejszego – mówię. – Pomijając nawet całą masę innych kwestii. Mianowicie, jaki zysk miałyby z tego firma. Co jej przyjdzie z zabijania mieszkańców Warszawy.

– Też mnie to nurtuje – przyznaje, patrząc mi w oczy. – Jeszcze nie wiem, staram się zrozumieć, ale wciąż jest za mało informacji. Do niewielu danych mam dostęp.

– Jaką właściwie pełnisz tam funkcję? Jakie jest twoje stanowisko?

– Marketing manager, po prostu – mówi. – Zwykła korporacyjna posadka. Tak naprawdę jestem kimś w rodzaju asystentki Johana. To on koordynuje

działania marketingowe większości spółek i współpracę z agencjami. Także z Regnum Lucidum. To Johan wymyślił, żeby promować LuceLume poprzez sfinansowanie akcji krwiodawstwa.

– To on chce rozdawać mieszkania na Świdrach – domyślam się.

– Dokładnie tak. Dostał wytyczne od zarządu Huoyan House, przeanalizował rynek, zastanowił się, na co może sobie pozwolić w ramach budżetu. A po konkretne pomysły zwrócił się już do twoich szefów, do Adama i Anny.

– Nie dałoby się skrócić tego procesu?

– Na pewno by się dało. Ale widocznie tak wszystkim pasuje.

Kończę jajecznicę.

– A wracając do Świdrów. Myślisz, że ten projekt też ma posłużyć czemuś złemu, jakiemuś kolejnemu zamachowi?

– Wydaje mi się to bardzo prawdopodobne.

– I znów zechcą wykorzystać do tego moje pomysły?

– Nie wiem. Pewnie tak.

– Ale to przecież bez sensu – mówię. – Dlaczego organizacja, która ma możliwości, żeby przeprowadzić zamach bombowy w metrze i zatrzeć wszystkie ślady, miałaby polegać na pomysłach zwykłego copywritera, jakich w Warszawie są setki? Przecież mogliby zrobić, nie wiem, cokolwiek. Zatruc wodociągi, rozpylić w mieście sarin, wysadzić most Poniatowskiego w środku dnia.

– Nie wiem, naprawdę.

Piję kolejne łyki kawy i nagle z mocą dociera do mnie surrealizm tej sytuacji. Siedzę przed wschodem słońca z dziewczyną tak atrakcyjną, jakby wyszła z telewizora, i całkiem poważnie rozmawiamy o morderczym spisku korporacji, dla której oboje pracujemy. Dziwny jest ten świat. Dziwne to moje życie.

– Skoro masz takie podejrzania, czemu się z nikim nie podzielisz? Może dobrze byłoby zgłosić to na policję?

– No pewnie. – Śmieje się. – Myślisz, że służby nie zbadały wątku zbieżności hasła, które pojawiło się na banerach w Warszawie ze słowami tego człowieka z nagrania na YouTube? Zbadały na pewno, jakkolwiek absurdalne na pierwszy rzut oka by się to wydawało. A ja nie mam żadnych

twardych dowodów, tylko podejrzenia.

– A może po prostu się mylisz?

– Chciałabym.

– Gdybyś miała niezbity dowód, co byś z nim zrobiła?

Agata zastanawia się.

– Na pewno najpierw pokazałabym tobie. Nie wiem, czy policja jest w stanie pomóc w jakikolwiek sposób. Na pewno zrobiłabym wszystko, żeby świat dowiedział się, kto stoi za śmiercią niewinnych. Szukałabym sposobu na uratowanie ludzi w przyszłości.

– To oznaczałoby przyznanie się przed firmą, że o wszystkim wiesz.

– Niestety. Ale oni zabiją nas tak czy inaczej. Więc przynajmniej nie byłaby to śmierć nadaremna.

Przeraża mnie spokój i pewność, z jaką Agata o tym mówi. Staram się mimo wszystko uśmiechać.

– Mam nadzieję, że się mylisz – mówię. Widzę, że kończy jeść. – A póki oboje żyjemy, pozwól, że chociaż po nas pozmywam. Śniadanie pycha.

– Ależ proszę. – Śmieje się.

Staję przy zlewie, Agata szykuje ubrania do pracy. Szybko myję patelnię i talerze, odkładam je na ociekacz. Chcę sięgnąć po sztućce leżące na dnies zlewu i nagle rozcinam sobie palec prawej dłoni, przypadkiem łapiąc za ostrze noża, którym Agata kroїła chleb. Syczę, wstawiając dłoń pod strumień zimnej wody.

– Masz jakieś plastry? – pytam.

Agata odwraca się zaaferowana, trzymając wyjęte z szafy dzinsy.

– Jasne, w łazience. Plastry, woda utleniona. Już ci podaję.

– Spokojnie – mówię. – Dam sobie radę, nie zemdleję. Szykuj się spokojnie.

Wycieram ręce w papierowy ręcznik, zostawiam na nim plamę krwi. Idę do łazienki.

– Druga szafka od drzwi – mówi Agata.

Otwieram ją lewą ręką. Lekarstwa leżą na czerwonej tacce. Widzę buteleczkę wody utlenionej, odkręcam, wylewam kilka kropel na skaleczenie. Piecze jak diabli. Rozciąłem opuszek palca, na szczęście

niezbyt głęboko. Zaklejam ranę plastrem. Odstawiam wodę utlenioną. Na tacce widzę opakowania leków na przeziębienie. Patrzę na fiolkę z trójkolorową, żółto-zielono-niebieską etykietą. Abilify, kojarzę tę nazwę. Obok leży biało-czerwone opakowanie zolafrenu. Tę nazwę też kojarzę.

– Będę żył – mówię z uśmiechem, zamykając za sobą drzwi łazienki. – Czas na mnie, ogarnę się już u siebie.

Jest dwadzieścia po siódmej. Zdążę jeszcze pojechać na Graniczną, wykąpać się, przebrać i dotrzeć do Królestwa o jakiejś rozsądnej porze.

– Jasne.

Odprowadza mnie do przedpokoju. Wiążę buty, zakładam kurtkę.

– Dzięki – mówię. – Za wszystko.

Stoimy przez chwilę w drzwiach, patrząc na siebie. Agata wychyla się ku mnie jako pierwsza, całujemy się w policzki. Macha mi na pożegnanie, zamyka drzwi. Schodzę na półpiętro.

Wyjmuję telefon. Bateria pozostaje naładowana jeszcze w dwudziestu procentach, podładowuję ją w mieszkaniu. Włączam przeglądarkę internetową, wpisuję w Google'a „abilify” i „zolafren”. Przeglądam listę wyników wyszukiwania, kiwam głową. Wychodzę z bramy prosto w szary poranek.

Stoję przy oknie. Gdy zamykam oczy, na wewnętrzach powiek odbija się złożony układ świateł. Ileż ich jest, jak gwiazd na niebie. Każda ze świetlistych plamek koduje jedną konkretną chwilę, jedno konkretne wspomnienie. Całe ludzkie życie to nic więcej jak próby połączenia tych kropek, próby z góry skazane na niepowodzenie, bo przecież nie istnieje żaden wzór. Już dawno dotarło do mnie, jak brzmi jedyna objawiona prawda: nie ma żadnej objawionej prawdy. Z tą wiedzą naprawdę łatwiej żyć.

Wracam do biurka. Nagłówek newsa na gazecie.pl informuje: TRAGICZNY FINAL POSZUKIWAŃ ZAGINIONEJ JOLANTY KACZMAREK. Jak można się było spodziewać, los ani myślał dopisywać szczęśliwe zakończenie do jej historii. Główne zdjęcie przedstawia rozpiętą między drzewami policyjną taśmę, zagrządzającą dostęp do miejsca znalezienia zwłok. Wszystkie te zdjęcia zawsze wyglądają tak samo. Ciało znaleziono w Lesie Kabackim, nieco na uboczu, przykryte gałęziami, częściowo przysypane ziemią. Tożsamość dziewczyny nie ulega wątpliwości, przy zwłokach leżała torebka, a w niej portfel i dokumenty. Więcej informacji prasie nie udzielono, policja zaśłania się dobrem śledztwa. Być może Dorota wie coś więcej, ale po pierwsze – nie rozmawiałem z nią od naszego spotkania, po drugie – naprawdę nie muszę znać szczegółów. Wystarczy, że przeanalizują je na wylot internauci, zaraz opowiedzą całą historię, nieważne, prawdziwą czy nie.

Tak to właśnie wygląda. Przez dwadzieścia kilka lat zbierasz doświadczenia, wyciągasz wnioski, przeżywasz chwile piękne i zgoła przeciwne, aż nagle, w jednej sekundzie, wszystko to przestaje mieć znaczenie. Jakby z ostatnim tchnieniem ulatywał cały sens ludzkiego istnienia. Dla czytelników portali informacyjnych i telewidzów Jola Kaczmarek jest już tylko anegdotą, przedmiotem sporów i polemik w komentarzach. Człowiek zredukowany do treści newsa. Tyle z nas zostanie, przy śmiałym założeniu, że zgon w ogóle kogokolwiek zainteresuje. Bardziej prawdopodobne, że nasze zniknięcie okaże się dla

świata równie istotne jak cichy lot liścia z drzewa.

Od dziecka intuicyjnie wyczuwałem, że kontrola nad własnym losem to tylko bolesna ułuda. Skoro tak, nie warto poświęcać zbyt wiele energii na walkę o dni, które dopiero nadejdą. W podstawówce nie zabiegałem o najlepsze stopnie, w gimnazjum z dystansu przyglądałem się napędzanym hormonami przepychankom kolegów o pozycję samca alfa w klasie, do liceum poszedłem w rodzinnym miasteczku, choć bez problemu dostałbym się do znacznie lepszych ogólniaków w Warszawie. Wybrałem byle jakie studia i przedryfowałem przez nie od sesji do sesji. Angażowałem się w związki z zupełnie nieodpowiednimi dziewczynami i trwałem w nich na przekór dobrym radom.

Pamiętam rozmowę z ojcem, jakoś krótko po maturze. Nie mógł uwierzyć, że nawet nie próbuję precyzować planów na życie. Pojęcie „planu na życie” wydawało mi się czymś skrajnie abstrakcyjnym; jeśli się nad tym zastanowię, niewiele zmieniło się do dziś.

– Szymek, nie wolno ci być tylko korkiem na powierzchni morza – powiedział wówczas poważnie ojciec. – Masz zawsze wiedzieć, dokąd płyniesz, a nie dawać się rzucać falom.

Ojcowska złota myśl bardzo mi się spodobała, a z metafory korka, którym miota niespokojne morze, uczyniłem życiowe motto. Korek nie zatoni, nie roztrzaska się o skały, nie złupią go piraci. Korek nie poczuwa się do obowiązku walki ze sztormem.

Niecały rok później tatę, dumnego żeglarza poprzez ocean życia, zjadła jego własna trzustka. Ostre zapalenie, dwie doby w szpitalu, i już, i po wszystkim, choć jeszcze trzy dni wcześniej nic nie wskazywało, że nadchodzi koniec. Nie zdążyłem nawet przyjechać z Warszawy. Uważam, że lekcja o korku to najcenniejsze, co mi zostawił – cenniejsza nawet od niemal zdjętych z niego rysów twarzy, które z tajemniczych powodów dość często podobają się kobietom, pozwalając mi angażować się w nieodpowiednie związki. Jako dziecko uważałem, że tata jest brzydki. Gdy dziś oglądam zdjęcia, na których ma trzydzieści lat, widzę samego siebie. Wyglądam identycznie. Nie chcę mieć dzieci.

Wszyscy jesteśmy tylko korkami na wzburzonym morzu. Każdy powinien zdać sobie z tego sprawę, im wcześniej, tym lepiej. Myślę, że oszczędziłoby to wielu rozczarowań, gdy nagle okazuje się, że koniec wielkiej podróży

wypada na oddziale onkologicznym, pod kołami pijanego kierowcy albo pod gałęziami i błotem w Lesie Kabackim. Możemy poświęcić pół życia, usiłując połączyć świetliste kropki, wypatrując oczy, aż dostrzeżemy dający się zrozumieć obraz. Nieważne, co ujrzymy, uśmiechniętą twarz, galopującego konia czy kutasa wielkości galaktyki. Wszystko to ułuda, rozpaczliwa próba nadania pozorów sensu. Wystarczy, że wiatr zawieje nieco mocniej, a porwie precz cały nasz wysiłek.

Nie przerażało mnie to, gdy byłem dzieckiem, i nie przeraża też teraz. To przecież nic strasznego, to nasza natura. W chaotycznym układzie plamek światła również można dostrzec piękno. Krótkie życie Joli Kaczmarek wcale nie musi okazać się pozbawione sensu – wystarczy przestać przykładać do niego jakiegokolwiek wzory. Nie wiem, czy można się tego nauczyć. Być może ta postawa przychodzi sama.

Widzisz, tato. Będę tworzył treści pozbawione znaczenia tak długo, jak długo znajdą się chętni, żeby za nie płacić. Będę stawiał kolejne kroki na mojej ścieżce, po omacku, w gęstej mgłę. Może czeka mnie wiele cierpień, a może przejdę przez życie bezboleśnie. Może zginę razem z całą ludzkością, gdy w Ziemię, niczym w kulę bilardową, uderzy wielka asteroida. Może zasnę na zawsze z całym miastem pod pierzyną białego fosforu, może wyparuję w nuklearnej eksplozji. Może rzeczywiście zabiją mnie pracodawcy. Nikt tego nie wie; może za sto lat umrę we własnym fotelu.

Piotr pracuje w specyficzny sposób, zrywami, jak prototyp marsjańskiego robota, który po wykonaniu każdego zadania musi na pewien czas zastygnąć w bezruchu i naładować baterie słoneczne. Koncentruje się, skupia wzrok na ekranie laptopa i rytmicznie bębni w klawiaturę, aby po półgodzinie nagle odpłynąć gdzieś daleko, uciec niewidzącym spojrzeniem na ścianę. Mija kwadrans albo dwa i znów pochłania go praca. Piotr mało mówi, nie szuka z nami kontaktu. Sprawia wrażenie wycofanego, jakby coś skrywał, jakby dźwigał jakiś ciężar. Tak naprawdę wiem o nim bardzo niewiele, tyle co z Facebooka i z opowieści grafików. Czy to możliwe, żeby należał do morderczego spisku? Wydaje się łagodny jak baranek, z tym swoim ciepłym głosem i miękkimi ruchami. W biurze jest zwykle pierwszy, a od kilku dni wychodzi ostatni. Widać, że jest zmęczony. Pod oczami rozlewają mu się ciemne sińce, rzadkie włosy na czubku głowy odrosły na dobry centymetr.

Nasze spojrzenia nagle się spotykają. Szybko odwracam wzrok.

Graficy są dziś dla odmiany mocno zapracowani. Cyprian wciąż jeszcze walczy z elementami interfejsu aplikacji dla Huoyan House. Jak się okazało, materiały dostarczone przez freelancera wymagały sporej obróbki, żeby całość mogła się poprawnie wyświetlać, zwłaszcza na starszych telefonach. Nie wiem, co robi Zuza, pewnie jakieś drobiazgi w Photoshopie, choć równie dobrze może po prostu przekonująco udawać, że pracuje. Albo tak to tylko wygląda z mojej perspektywy. Kilka razy zdarzyło mi się zajrzeć jej w ekran, gdy wychodziłem z pokoju, i widziałem, jak zamawia na służbowym komputerze ubrania z jakiegoś wysyłkowego sklepu, nawet nie próbując się z tym kryć. Wciąż wydaje mi się, że wytatuowana graficzka traktuje mnie z rezerwą. Przez jakiś czas zastanawiałem się, czy może chodzi o coś więcej niż tylko świadomość, że to moja była jest zaginioną dziewczyną z newsów i w związku z tym Zuza nie bardzo wie, jak mnie traktować, czy też nieświadomie nie zachowałem się wobec niej obcesowo, albo przeciwnie, czy nie uznała w którymś momencie, że próbuję ją podrywać. Żadna konkretna sytuacja nie przychodzi mi jednak do głowy.

W ogóle daje się wyczuć, że atmosfera w Królestwie Światła stała się o pół tonu gęstsza, a jeśli miałbym wskazać moment zwrotny, byłaby to wizyta LuceLume – a więc chwila, gdy na głos padły pytania, które każdy dotąd zadawał sobie po cichu. Ciekawe, jak moi koledzy zareagowaliby na podejrzenia Agaty. Jeden Cyprian nie daje po sobie poznać, żeby wydarzenia ostatnich dni zrobiły na nim wrażenie. Skurczybyk pewnie uznałby sytuację za stresującą, dopiero gdyby znalazł się pod bezpośrednim ostrzałem.

Nagle rozświeciła się ekran telefonu, który położyłem na biurku obok podkładki myszy. Ikonka pokazuje, że otrzymałem mejla. Sięgam po telefon, machinalnie odblokowuję ekran. Jest jeszcze wcześniej, newslettery, które śledzę, zwykle przychodzą po południu.

Dzień dobry, Szymonie

Nadeszła chwila, której musiałeś się spodziewać. To chwila, gdy musisz dokonać wyboru. Zastanów się dobrze, bo wybór będzie nieodwracalny, a jego konsekwencje w oczywisty sposób zaważą nie tylko na Twoim życiu. Wolisz być:

Szymonem Piotrem,

Szymonem Magiem?

Czekam na Twoją szybką odpowiedź!

Nikt nie podpisuje się pod tą wiadomością. Nadawca to qwertytrewqwerty@gmail.com – jakby ktoś przejechał tam i z powrotem palcem po klawiaturze. Wzdycham. Widocznie dzień bez żadnej zaadresowanej do mnie abstrakcyjnej wiadomości byłby dniem straconym.

Szymon Piotr, prawa ręka Chrystusa, pierwszy spośród apostołów. I Szymon Mag, czarownik, który próbował kupić dar udzielania Ducha Świętego. Gnostycy obrali go za swojego patrona, uważali za jedną z inkarnacji Boga. Według niektórych apokryfów Piotr stoczył z Szymonem Magiem mistyczny pojedynek, którego świadkiem był cesarz Neron. Czarownik zapragnął publicznie ośmieszyć nauki apostołów i stworzyć magiczną iluzję swojej śmierci i zmartwychwstania, jednak padł ofiarą własnej arogancji: gdy przyzwane złe anioły unosiły go już ku niebu, rozwścieczony Piotr mocą słowa Chrystusa nakazał im puścić Szymona. Ten

runął z wysokości i roztrzaskał się o rzymski bruk. Zwycięstwo Piotra miało się wszakże okazać gorzkie, gdyż przerażony demonstracją mistycznej siły apostoła Neron nakazał go pojmać i wkrótce stracił, krzyżując głową w dół. Wybierając, którym z nich wolałbym się stać, zaznaczyłbym pole „żadnym z powyższych”.

Może to właśnie moment, kiedy powinienem wziąć dwa tygodnie urlopu i wyjechać gdzieś daleko, na Islandię albo północ Norwegii, zadekować się w jakimś cichym hotelu bez internetu, wyłączyć telefon, patrzeć sobie tylko w morze i na obłoki, z nikim nie rozmawiać, niczym się nie przejmować? Zaraz jednak wyobrażam sobie, że tam również czekałyby na mnie dziwne wiadomości, wezwania na przesłuchanie i zdjęcia nieistniejących scen. Wyszedłbym do restauracji tylko po to, żeby spotkać Janka Pietruszyńskiego, który koniecznie chciałby ze mną pogadać. To najwyraźniej ściśle karmiczna historia.

Drzwi do pokoju uchylają się, wchodzi Anna. Uśmiecha się do mnie i stukając obcasami, kieruje się prosto do biurka Piotra. Ten spogląda na nią zupełnie bez emocji.

– Mamy to – mówi Anna.

Piotr unosi brew.

– Już teraz?

– Tak, właśnie się dowiedziałam.

– Rozumiem. – Kiwa głową. – To chyba dobrze?

– Tak, myślę, że dobrze.

– Trzynasta?

– Jasne!

Anna odwraca się i idzie do drzwi. Piotr wraca do pisania czegoś na laptopie. Nie próbuję nawet pytać, co tu się właściwie wydarzyło. Ich dialog wyglądał jak wymiana zakodowanych informacji, jak spotkanie dwojga szpiegów, którzy wiedzą, że mogą być obserwowani. Cyprian i Zuza nawet nie zwrócili na nich uwagi zza ścian swoich ogromnych monitorów. I to jedyna słuszna postawa, Szymonku, bierz z tych państwa przykład. Mnie też nie powinno interesować, o czym rozmawiają przełożony z project managerką, ale niestety, lawina już ruszyła, nie da się jej zatrzymać ot tak, pstryknięciem palca. Może Piotr i Anna przekazali sobie właśnie tajne

instrukcje od Światła, jak rozwiązać problem zbyt podejrzliwych pracowników? Uśmiecham się sam do siebie: brzmiało to raczej jak dyskretna rozmowa o wynikach testu ciążowego. Albo umówienie się na obiad.

Wchodzę na Facebooka. Do folderu „Inne” nadal nie wpadły żadne nowe wiadomości – przynajmniej tyle, przynajmniej na tym odcinku frontu zapanował spokój. Zastanawiam się, czy w ogóle odpisywać na tego dziwnego mejla. Może powinienem kulturalnie zapytać, o co właściwie chodzi? Nie podejrzewam, żebym miał uzyskać jakąkolwiek odpowiedź. Nauczony niedawnym doświadczeniem, wykonuję za to w telefonie zrzut ekranu z treścią wiadomości i zapisuję go w galerii zdjęć. Chcę wierzyć, że nigdy do niczego się nie przyda. Za jakiś czas przejrzę te wszystkie printscreeny jak wystawę osobliwości, materiały dokumentujące najdziwniejszy okres w życiu.

Chowam telefon do kieszeni i w tym momencie dostaję mejla na skrzynkę służbową. Kręcę głową. Dokładnie ta sama wiadomość, wysłana przez qwertytrewqwerty@gmail.com, trafiła na mój firmowy adres. Ktokolwiek jest nadawcą, doskonale wie, gdzie pracuję.

A wyobrażam to sobie tak (konwencja kreskówki, postacie narysowane w bardzo uproszczony sposób i oszczędnie animowane; za referencję przyjąłbym stylistykę *South Parku*):

Sędziwy Piotr i wystrojony w purpurę Szymon Mag stają naprzeciw siebie pośrodku rzymskiego placu, niczym dwóch wrestlerów na ringu. Mierzą się wzrokiem, marszczą brwi, przybierają groźne miny. Dobrotliwy Neron przygląda im się z zaciekawieniem z wysokości swojej łoży. Rozstawieni na placu cesarscy strażnicy zachowują czujność, przestępują z nogi na nogę, nerwowo potrząsają włóczniami. Sympatia zebranego tłumu gapiów zdecydowanie ciąży ku Magowi, znanemu z tego, że lubi popisywać się efektownymi magicznymi sztuczkami. Apokryfy nie wspominają, czy Rzymianie mogli obstawiać wynik pojedynku, ale jeśli tak, to na zwycięstwo czarownika postawiono całe worki srebrnych sestercji.

Mag, który jak nikt inny w całym Cesarstwie potrafi odczytać nastroje tłumu, wyczuwa, że ludzie zaczynają się niecierpliwić. Pozdrowia zebranych na placu gestem uniesionej dłoni, po czym odrywa stopy od ziemi i powoli płynie w górę, niczym zawieszony na niewidzialnych linach. Przez tłum przetacza się nabożne westchnienie. Neron z uznaniem kiwa głową.

Ludzie spoglądają na Piotra. Sędziwy apostoł stoi nieruchomo. Nikt nie wierzy, żeby ten przygarbiony starzec mógł pokonać Maga, który na oczach wszystkich przewyciężył boskie prawa. Czarnoksiężnik unosi się w powietrzu, uśmiecha się, macha zebrany, a ci wiwatują na jego cześć. Czyżby za chwilę Szymon miał rzeczywiście dokonać zapowiedzianego cudu, który ostatecznie rozwieje wszystkie wątpliwości, i żywy wstąpić do nieba? Wznosi ciemne oczy. Rzymianie zamierają, nawet Neron z przestachem zasłania usta dłonią. Oto bowiem z niebios zstępują źli aniołowie, potężni i surowi, muskularni, ze skrzydłami czarnymi niczym kruki. Bez słowa ujmują Maga pod ramiona i się wzbijają. Wymachy strasznych skrzydeł wzbudzają wiatr, który rozwiewa resztki siwych włosów

wokół wydatnej łysiny Piotra. Apostoł gniewnie unosi zaciśniętą pięść, aż dygocze z wściekłości.

– Puście! – nakazuje złym aniołom. Grają trąby, a za Piotrem ukazuje się na moment dostojna figura Jezusa.

Aniołowie posłusznie puszczają Szymona Maga. Co się stało z mocą lewitacji? Heretyk, który wzbił się już pomiędzy chmury, bezwładnie spada z tej wysokości. Uderza o ziemię, towarzyszy temu dźwięk, jakby ktoś zrzucił dynię z piętra na bruk. Mag leży teraz w kałuży krwi, z rozrzuconymi na boki kończynami; twarz jest blada, oczy to dwa iksy. Piotr patrzy na niego surowo. Na placu panuje przejmująca cisza.

W tym momencie animacja się kończy. Wszystko trwa równe trzydzieści sekund. Zainteresowani mogą kliknąć w link do strony, na której znajdują wyjaśnienie, co stanie się później: Neron na pochówek Maga zgodzi się dopiero po trzech dniach, heretyk przechwalał się bowiem nie raz, że powróci ze świata umarłych. Apostołowie zostaną na wszelki wypadek skazani na śmierć, aby nigdy nie wykorzystali przeciw cesarzowi mocy rozkazywania aniołom. Piotr zawiśnie na krzyżu głową w dół, zaś towarzyszącemu mu w Rzymie Pawłowi głowę zetną mieczem. A jakby tego było mało, wszyscy, którzy oklaskiwali dziś mistyczny pojedynek, wkrótce spłoną w wielkim pożarze, gdy szalony Neron podpali Wieczne Miasto.

To ciekawy pomysł: być może dopiero pojedynek Piotra z Magiem przypieczętował straszny los Rzymu. Być może Neron nigdy by nie sięgnął po pochodnię, gdyby nie przeraziło go to widowisko. Kto wie, może oszalał doszczętnie dopiero na widok straszliwego upadku Szymona? Apokryfy nie rozwijają niestety tego wątku. Moim zdaniem morał historii jest oczywisty: dla świata byłoby zdecydowanie lepiej, gdyby apostoł i czarownik nigdy nie stanęli naprzeciw siebie.

* * *

Dla Janka Pietruszyńskiego byłoby lepiej, gdyby mnie posłuchał, gdyby odpuścił, przestał się angażować w sprawę, która go nie dotyczyła. Teraz nie posłucha już nikogo.

Informacja o jego śmierci nie zrobiła na mnie wielkiego wrażenia. Tak

jakbym w pewien sposób się jej spodziewał. Zastanawiam się, czy mogłem zrobić coś więcej, żeby go powstrzymać, czy mogłem uratować chociaż jego.

Ile takich newsów pojawia się rocznie, kilkanaście? W mieszkaniu na Żoliborzu, w jednym z wysokich bloków na Broniewskiego, znaleziono zwłoki młodego mężczyzny. Sąsiadów zaniepokoiły otwarte na oścież drzwi wejściowe. W środku, w dużym pokoju, Janek wisiał na kłamce, na stryczku z izolowanego kabla. Miał w kieszeni portfel ze wszystkimi dokumentami, gotówką i kartą płatniczą. Nic nie wskazywało, żeby cokolwiek stracił w tym mieszkaniu, poza życiem. Wstępnie wykluczono udział osób trzecich. Denat co prawda mieszkał z rodzicami na Kabatach i trudno ustalić, co robił na Broniewskiego, ale z opowieści sąsiadów wynikało, że mieszkanie wynajmowali jacyś studenci i przewijało się przez nie więcej twarzy, niż ktokolwiek byłby w stanie spamiętać. Właściciel na stałe przebywa poza Polską.

Nagle przypominam sobie, że Janek nigdy nie odpisał mi na pytanie, czy kojarzy, by rudy Marcin mieszkał z kotem. Ta zagadka pozostanie niewyjaśniona.

Wydaje mi się oczywiste, że ktoś pomógł Jankowi przełożyć głowę przez pętlę. Biedny, poczciwy głupek zabrnął za daleko, zobaczył coś, czego nie powinien był widzieć. A może nikt mu nie pomógł, może osioł naprawdę zakochał się w Ewelinie i gdy dotarło, że najpewniej nigdy więcej jej nie zobaczy, zgasła w nim nadzieja, zgasło poczucie sensu? Czuję żal, mimo wszystko chyba go trochę polubiłem. I jednocześnie ulgę, że nie dałem się namówić na towarzyszenie mu w wyprawie na Żoliborz. Cokolwiek tam się wydarzyło, mogło przecież dotyczyć także mnie. Dziwię się, że w ogóle coś czuję.

Choć wcale nie chcę, zaraz myślę o słowach Agaty. Prawdopodobnie nas zabiją. Zginiemy oboje. Może i racja, w tę stronę to wszystko zmierza, może każdy, o kim za długo myślę, musi skończyć jako bohater smutnego newsa na portalu informacyjnym.

A jeśli myślę, to przede wszystkim o sobie.

Światy równoległe: gdy siedząc w fotelu, patrzę na samego siebie stojącego w oknie. Nadspodziewanie dużo wysiłku kosztuje mnie skoncentrowanie uwagi na własnej dłoni, a potem przesunięcie wzroku na nadgarstek. Pod skórą wyraźnie rysuje się splot niebieskozielonych żył. Jeśli coś jeszcze nimi płynie, to najpewniej już tylko skroplona bezradność.

To, czego chcę, a czego nie chcę, straciło jakiegokolwiek znaczenie. Nikt nie zamierza uszanować moich wyborów, a na pytania, których echa dźwięczą mi w głowie, nie sposób udzielić poprawnej odpowiedzi.

Przeczytawszy informację o śmierci Janka Pietruszyńskiego, uznałem, że nie zasnę, jeśli nie napiję się piwa, nie ma mowy, nie zdołam zatrzymać galopady myśli. Wyszedłem więc do Żabki po czteropak, a w drodze powrotnej odruchowo zajrzałem do skrzynki na listy.

Cóż, niczego się, jak widać, nie nauczyłem. Mogłem nie zaglądać.

Dużą prostą kopertę zaadresowano wyłącznie imieniem i nazwiskiem, dokładnie tak jak poprzednio. W pierwszym odruchu chciałem wyrzucić ją do kosza bez otwierania, ale coś podpowiedziało, że lepiej będzie się przekonać, cóż to za niespodzianka. Wjechałem więc na dwunaste piętro, rozebrałem się, otworzyłem sobie piwo i wypilem kilka łyków. Rozsiadłem się w fotelu jak do lektury. Z koperty wyjąłem kartkę złożoną na czworo.

Na wydrukowanym zdjęciu męska sylwetka stoi w otwartym oknie. Jest wieczór, w mieszkaniu za jej plecami świeci się światło. Za odsłoniętą zasłoną widać niepościelone łóżko i stojącą obok niego niedopitą butelkę wody mineralnej. Widać fotel i dzinsy przewieszzone przez jego oparcie. Widać rozrzucone na środku podłogi klapki. Widać kawałek biurka i duży czerwony kubek.

Klapki leżą na środku także teraz. Kubek stoi w zlewie.

Zdjęcie jest tak wykadrowane, że moja głowa znajduje się niemal dokładnie w jego centrum. Celownik optyczny mierzy prosto między oczy, dzięki czemu całość wygląda jak stopklatka z filmu sensacyjnego. Za

sekundę zamaskowany snajper wykona wyrok na niczego się niespodziewającej ofierze.

W momencie robienia zdjęcia aparat fotograficzny musiał znajdować się dokładnie na wysokości okna. Ktokolwiek zadał sobie trud zajrzenia do mojego mieszkania, najpewniej posłużył się dronem.

Odwracam kartkę z wydrukiem. Znajduje się na niej odręczny napis:

Bardzo nie lubię, gdy się mnie ignoruje. Czekam na odpowiedź.

Litery są idealnie równe, nieskazitelne, eleganckie. Nie znam nikogo, kto by potrafił tak ładnie pisać. Może mój dziadek, no ale on zmarł, gdy chodziłem do pierwszej klasy podstawówki.

Sięgam po piwo, dotyk zimnej szyjki butelki smakuje jak pocałunek. Na krótką chwilę, ułamek sekundy, jeden skok napięcia w synapsach, wraca smak ust Eweliny. Nie chcę go pamiętać. Piję kilka łyków, odstawiam butelkę, odkładam kartkę z wydrukiem zdjęcia.

To już nie zabawa, Szymonku, to groźby karalne. Uporczywe nękanie. Zastraszanie. Stalking, który przekroczył granicę internetu i ani myśli się zatrzymać. Chamskie wiadomości na Facebooku, w porządku, jeszcze rozumiem, nieunikniony efekt uboczny społecznościowej rewolucji; nie ma chyba nikogo, kto by nie został obrażony przez anonimowego kretyna. Ale ta fotografia, tak samo jak poprzednia, do tego dziwny mejl, który otrzymałem nie tylko na prywatną skrzynkę, ale też na służbową, to już jasne komunikaty: wiem, gdzie mieszkasz, wiem, gdzie pracujesz, mam cię na celowniku. To komunikaty, które zebrane razem układają się w bardzo nieprzyjemną całość. Nie powinieneś tak tego znosić, Szymonku, czas najwyższy zainteresować tematem policję.

Wzdycham. Ktokolwiek odgrywa rolę mojego psychofana, nie tylko zna adres mieszkania na Granicznej, nie tylko wie, gdzie pracuję. Zna mojego prywatnego mejla. Skąd? Na pewno nie z Facebooka, tam nie podaję żadnych danych kontaktowych. Kimkolwiek jest, nadawca musiał w jakiś sposób dowiedzieć się, jak może się do mnie dostać. A jeśli Agata ma rację?

Wszystkie dane kontaktowe zawarłem tylko w jednym dokumencie: w CV.

Siadam przy laptopie. Loguję się na służbową pocztę, mam do niej zdalny dostęp przez przeglądarkowego Outlooka. Widzę, że już po moim wyjściu z biura przyszła porcja poprawek do tekstów, które przeczytają w swoich telefonach uczestnicy gry miejskiej dla Huoyan House, ale teraz mnie to nie interesuje. Znajduję mejla wysłanego z adresu qwertytrewqwerty@gmail.com. Jeszcze raz czytam jego treść.

Znów, w pierwszym odruchu, chcę skasować wiadomość i natychmiast opróżnić kosz. Zamiast tego dopijam piwo i klikam w „Odpowiedz”.

Jeśli mam wybierać – Szymon Piotr, dziękuję.

Chętnie dowiem się, kim jesteś i o co właściwie chodzi. Myślę, że tak czy inaczej dowie się o tym policja, bo zamierzam zgłosić nękanie.

Dobrego wieczoru

Szymon Pelawski

Wysłałam odpowiedź. Idę odstawić pustą butelkę do kuchni, a gdy wracam z drugą, pełną, w skrzynce czeka już nowa wiadomość. Tak, oczywiście. Napisał do mnie qwertytrewqwerty. Ile czasu minęło? Minuta, może nawet nie. Jest dobrze po dwudziestej pierwszej.

Otwieram mejla. Składa się tylko z jednego słowa.

Kłamiesz.

No proszę, Szymonku, ktoś tu się chyba dobrze bawi. Wstaję od komputera, podchodzę do okna. Może teraz też mnie śledzi? Może gdzieś w ciemności czeka zawieszony dron, a jego operator obserwuje mnie na ekranie w którymś z warszawskich mieszkań? Widziałem na YouTube film, którego autor, amerykański nastolatek, uzbroił drona zabawkę w pistolet. Nagranie, wyświetlone ponad trzy miliony razy, zaprowadziło pomysłowego konstruktora prosto do aresztu – choć o ile dobrze pamiętam, ostatecznie jakoś się wybronił; dochodzę do wniosku, że to wyjątkowo marne pocieszenie. Bezradność, cały się składam z bezradności. W każdej parze warszawskich okien widzę wpatrzone we mnie, złowieszcze ślepia. Chyba nie chcę odwzajemniać ich spojrzenia. Janek Pietruszyński wpatrywał się w okna na Żoliborzu tak długo, aż wypatrył własną śmierć.

Szczelnie zasuwam zasłony i wracam do biurka. Odpisać coś jeszcze? Zostawić to? Widzę, że Outlook automatycznie wylogował mnie ze skrzynki. Przeglądarka zapamiętała login, hasło muszę wpisać ręcznie.

Mejla, którego przed chwilą dostałem, nie ma.

Odświeżam stronę. Mejla nie ma. Przeskakuję do folderu „Wysłane”. Nie widzę mojej odpowiedzi na poprzednią wiadomość od qwertytrewqwerty. Wracam do skrzynki odbiorczej. Może wiadomość, którą wysłał mi w biurze? Nie ma – nie ma – nie ma. Folder „Usunięte” jest także pusty. Cała historia tej dziwnej korespondencji została skasowana, wyparowała, nie ma po niej śladu. Ktoś usunął ją zdalnie z mojej służbowej skrzynki.

Zamykam oczy i widzę:

Wagony pociągu z Mińska Mazowieckiego zatrzymują się przy peronie na Dworcu Centralnym. Z wysokości galerii przyglądam się wysiadającym podróżnym. Jest, widzę ją. Ma na sobie poszarpane na kolanach džinsy i skórzaną kurtkę, przez ramię przewiesiła torbę. Ciemne włosy związała niedbale z tyłu. Rozgląda się, wreszcie podnosi wzrok na galerię, dostrzega mnie. Macham do niej. Wchodzi na ruchome schody i po chwili stoimy naprzeciw siebie. Po raz pierwszy widzę ją na żywo. Uderza mnie ostry kontrast między pomalowanymi na czerwono ustami a porcelanową cerą.

– Cześć – mówię, podchodząc bliżej.

– Cześć – odpowiada. Zauważa, że się waham, więc całuje mnie pierwsza w policzek. Uśmiecha się przy tym, jakby nieco ironicznie. Wystarczy raz zobaczyć ten uśmiech, żeby się już nigdy od niego nie uwolnić.

Proponuję, że wezmę od niej torbę, ale odmawia. Pójdziemy do mnie, zostawi niepotrzebne rzeczy i wybierzemy się do centrum coś zjeść. A potem? Pomyślimy. Jest sobotni poranek, jeszcze dość wcześnie. Wstała o świcie, żeby przyjechać do mnie do Warszawy. Spędzimy ze sobą cały dzień. Teraz tego nie planuję, ale jakoś tak wyjdzie, że zostanie u mnie na noc. Zaproponuję, że położę się na dmuchanym materacu, na co pokręci tylko głową. Będziemy spać koło siebie, ale nawet się nie pocałujemy, jeszcze nie teraz. Jakiś czas później przyzna, że spakowała do torby nie tylko bieliznę na zmianę, ale też prezerwatywy. Jeszcze się przydadzą. Mamy czas.

Teraz jest ten punkt balansowania, w którym wciąż jeszcze wszystko może się wydarzyć. Stoimy na galerii nad peronami. Pociąg rusza dalej, skończy bieg na Zachodniej.

Zamykam oczy i widzę:

Czerwcową noc. Wiatr marszczy tafłę Wisły, refleksy kolorowych świateł

tańczą na wodzie, w głowie tańczy alkohol. Stadion Narodowy na drugim brzegu wygląda, jakby spłynął z nieba. Muzyka gra głośno, hit tego lata, wokal po hiszpańsku, akordy gitary akustycznej na tle tanecznego bitu. Jest już pewnie po północy, sprawdziłbym, ale rozładował mi się telefon. Wokół roześmiani, pijani ludzie rozmawiają w różnych językach.

Wydaje mi się, że minęła wieczność, odkąd poszła do baru po następnego drinka. Zaczynam się denerwować, czuję, że muszę iść do toalety, a zostawiła mi torebkę do przypilnowania. Dopijam cuba libre, próbuję włączyć komórkę, ale nic z tego. Klnę na głos. Wydaje mi się, że wszyscy na mnie patrzą. W końcu wstaję, biorę torebkę ze sobą i idę jej poszukać. Za długo jej nie ma, za długo nie wraca.

Stoi przy barze i rozmawia z jakimś facetem, szpakowatym czterdziestolatkiem w koszuli w kwiaty. Facet pochyla się lekko w jej stronę. Podchodzę do nich, staram się uśmiechnąć.

– Jesteś – mówię i całuję ją w usta.

– Coś się stało? – Patrzy na mnie zdziwiona.

Podaję jej torebkę.

– Zniknęłaś mi całkiem z radaru. Muszę do kibla, a nie chciałem tego zostawiać.

Facet patrzy na mnie bez słowa. Ja też się do niego nie odzywam.

– Zaraz będę – mówię i idę za bar, do ustawionych jeden przy drugim tojów.

Gdy wracam, siedzi przy naszym stoliku, a po czterdziestolatku nie ma śladu. Jestem na nią zły, ale tego nie okazuję. Wydaje mi się, że doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Patrzymy na taniec świateł na rzece, niedługo wrócimy do domu.

Zamykam oczy i widzę:

Za uchylonym oknem szumi deszcz. Jej usta zaciskają się w wąską kreskę. Przez długą chwilę milczy, aż wreszcie mówi cicho:

– Chyba nie mam ci nic do powiedzenia.

Nie patrzy na mnie, tylko w telewizor. Lecą reklamy, zaraz zaczną się „Fakty”. Nigdy nie interesowało jej, co dzieje się na świecie.

Zaciskam pięści.

– Nigdy bym ci czegoś takiego nie zrobił.

Łaskawie odrywa wzrok od ekranu, patrzy na mnie. Jej szare oczy są teraz zimne i niewzruszone jak stal.

– Wiem. Ty przecież nigdy nie zrobisz nic złego.

– Żebyś wiedziała.

– Tylko wiesz co? Ty nigdy nie zrobisz w ogóle nic.

Na ekranie Robert Lewandowski przeczesuje włosy, demonstrując, że uwolnił się od łupieżu. Po chwili jego miejsce zajmuje modelka trzymająca podpaszkę w otwartych dłoniach; jej spojrzenie wyraża nabożną cześć, jakby przekazywała światu sakrament.

– W ogóle zamierzałaś mi o tym powiedzieć, gdybym nie dowiedział się sam? – pytam, choć przecież nie spodziewam się odpowiedzi. – Jak to sobie właściwie wyobrażałaś?

Wzrusza ramionami. Wiem, że nic więcej mi już nie powie. Dziś położy się na dmuchanym materacu. Jutro rano spakuje w walizkę trochę ubrań i pojedzie do rodziców. Wróci za kilka dni, ale już nie do mnie. Tu pojawi się tylko, żeby zabrać swoje rzeczy. Wkrótce zobaczę ją po raz ostatni, gdy przyjedzie z Jankiem i rudym. Teraz przestała mnie zauważać, cała pochłonięta reklamami.

Otwieram oczy.

Trzymam w dłoni telefon, wciąż ten sam co w czerwcu nad rzeką. Niedługo skończy się umowa, to kupię nowy. Aparat wydaje się dziwnie ciężki. Wszystko wydaje się dziwnie ciężkie, a myśli to wręcz kamienne bryły. Czuję nagłą chęć, żeby z całej siły rzucić telefonem, roztrzaskać go o ścianę.

Przed chwilą się rozłączyłem, bo nie byłem w stanie dłużej słuchać spazmatycznego szlochu.

Przed chwilą usłyszałem słowa, które musiały paść i których się spodziewałem, a jednak nie zrozumiałem od razu, co tak naprawdę znaczą.

Przed chwilą Gośka z najwyższym trudem zdołała wydukać w słuchawkę głosem płaskim i rwącym się jak papier:

– Ewelinka nie żyje. Znaleźli jej ciało.

III

NISZCZ, POWIEDZIAŁA

1

– Wszystkie domy Warszawy staną się grobami – mówi mężczyzna ustawiony tyłem do kamery. – Stare i nowe, i nawet te, których jeszcze nie zdążyliście wybudować.

Na pierwszy rzut oka widać wyższą jakość nagrania w porównaniu do filmu opublikowanego po zamachu na Świętokrzyskiej. Zapewne wersja, która ma trafić na YouTube'a, zostanie jeszcze skompresowana.

– Schody do lepszego jutra zbudujemy z waszych kości – mówi mężczyzna. – Napoimy świat waszą krwią, żeby nabrał sił. Pożar Warszawy oświetli drogę tym, którzy przyniosą nowe dni.

Przyglądam się uważnie. Scena wygląda identycznie jak wtedy: mężczyzna stoi nieruchomo, rzuca ostry cień na białą ścianę. Ciemne włosy przycięte są nad karkiem równo jak od linijki. Można zauważyć, że na czubku głowy czupryna zaczyna się przeredzać, a boki polizała już siwizna.

Na filmach agencji tajnych służb, którzy dostają do analizy materiały nagrane przez terrorystów, zawsze dostrzegą jakiś detal, pozwalający ustalić tożsamość złoczyńców i w porę zapobiec tragedii. Unikalny akcent charakteryzuje konkretną mniejszość etniczną. Specyficzne plamy na skórze to objaw bardzo rzadkiej choroby. Charakterystyczne kafelki na podłodze albo ledwie słyszalny dźwięk w tle pozwalają precyzyjnie określić miejsce nagrania.

Nie dostrzegam zupełnie nic. Mężczyzna stojący tyłem w pustym pomieszczeniu może być najdosłowniej każdym. Może mijam go każdego dnia. Nagranie mogło powstać w mieszkaniu obok albo na drugim końcu świata.

– Nie płaczcie za tymi, których pochowacie – mówi mężczyzna. – Raczej im zazdroście. Oni nie mają się już czego bać. Was wciąż będziemy karmić strachem, aż do dnia, gdy miasto upadnie.

Wypowiada swoje brednie spokojnie i beznamiętnie, ale w głosie rezonuje upiorna siła. Zastanawiam się, kiedy mogło powstać to nagranie. W tym samym czasie co poprzednie? Agata udostępniła mi je na Google Drivie przed kwadransem, plik nazywa się po prostu „warszawa2.mkv”. Oglądam chyba po raz dziesiąty. Ciekawe, ile jeszcze odsłon przygotowali.

– Wasza krew dopiero wsiąknie w gruzy.

Wszystko układa się w spójny przekaz. Agata po raz kolejny miała rację: znów pomogłem terrorystom stworzyć komunikację marketingową. Kimkolwiek jest, brunet z nagrania mówi o uczestnikach konkursu. Mówi tak, jakby już byli martwi, choć przecież konkurs nawet się jeszcze nie zaczął. Tymczasem wyrok już zapadł, uczestników gry miejskiej, którą sam pomagałem zaprojektować, skazano na śmierć.

Gdy tylko pobrałem film z wirtualnego dysku, odłączyłem komputer od internetu. Zgrałem plik na stary pendrive, który dostałem od któregoś z klientów Cremè de la Creation. Schowałem go do kieszeni spodni i w tym momencie skończyła się moja inwencja. Co dalej? Pobiec prosto na policję? Może do mediów, zamówić ubera i popędzić do siedziby TVN-u, niech wyemitują to na cały świat? A może oszczędzić zachodu sobie i innym, wyjąć pasek i grzecznie powiesić się samemu? Oczywiście wiem, że nie zrobię nic.

– Jeśli zostanieie w Warszawie, nie uda się wam donikąd uciec. Nie uda się wam nigdzie schować.

Czuję na karku mrowienie. Śmierć przysiadła mi na ramieniu niczym stary kruk, patrzymy razem w tym samym kierunku. Przez krótką chwilę trzymałem w dłoni nitki życia dziewiętnastu przypadkowych pasażerów pierwszej linii metra. Nie mogłem nic zrobić, wiadomo, nie miałem o niczym pojęcia. Ale potem? Janek Pietruszyński nie zawisłby na kłance w mieszkaniu na Broniewskiego, gdyby nie moje milczące przyzwolenie. Mogłem spróbować go powstrzymać. Mogłem zainteresować się losem Eweliny, pomóc, zrobić cokolwiek. To także przeze mnie Gosia Kuliczka

straciła siostrę.

Ciało Eweliny znaleziono w pustym mieszkaniu w kamienicy przy Hożej. Znam tę okolicę bardzo dobrze, przez rok wynajmowałem tam kawalerkę. Dostrzegam piętzącą się ironię: pletwonurkowie przeczesywali dno Wisły, przeszukiwano okoliczne pola i lasy, sprawdzano każdy sygnał z zagranicy, a tymczasem najprawdopodobniej przez cały czas znajdowała się w samym centrum miasta. Nie wiadomo jeszcze, w jaki sposób tam trafiła. Właściciel mieszkania – o niespodzianko – przebywa na stałe poza Warszawą, ostatnio nikomu nie wynajmował lokalu. Gdy ją znaleźli, Ewelina była martwa już od co najmniej tygodnia. Bezpośrednią przyczynę zgonu wykaże dopiero sekcja zwłok.

Wyobrażam sobie, jak szarpie się, związana tak mocno, że nie czuje rąk ani nóg, jak usiłuje przegryźć brudny knebel. Jak nasłuchuje kroków na korytarzu. Jak po raz kolejny zasypia w kałuży własnego moczu i odpływa w ciemność, z której tym razem już nie powróci. Jakie obrazy przemknęły jeszcze przed jej oczami? Ile razy zdążyła żałować, że odeszła ode mnie prosto w to piekło? Wyobrażam sobie, że w momencie, gdy wydychała powietrze po raz ostatni, piłem piwo na Granicznej albo trzymałem nagie, spocone biodra Agaty i słuchałem, jak coraz głośniej powtarza moje imię. Wyobrażam sobie, że podczas gdy konała, oszalała z pragnienia i głodu – półtora metra dalej, za ścianą, zwyczajna rodzina zasiadała do stołu. Pewnie leżąc na podłodze, patrzyła w okno i wspominała czerwcowe wieczory nad Wisłą. A może straciła rozum już wcześniej, pod ciosami pięści i butów przemieniła się w nieświadome, przerażone zwierzę. Tak chyba byłoby najlepiej.

– Ofiara z miasta to konieczność, której nie da się uniknąć. Nikt nie ucieknie przed swoim losem.

Nie wiem, co robić. Tracę jakiegokolwiek punkty odniesienia, jakby nagle zatarły się wszystkie linie na mapie. Ocknąłem się na planszy do gry, której zasad nie rozumiem, otoczony przez złowrogie figury, których ruchów nie znam. Odetchnąłbym z ulgą, gdyby się okazało, że gram wyłącznie o własne życie.

Jedyne, co jeszcze mogę, to wyłączyć nagranie, przestać słuchać w kółko

tych obłąkanych wypowiedzi. W mieszkaniu zapada cisza, ale tylko pozornie. Spokojny, ciepły głos psychopaty wciąż dźwięczy mi w głowie. Jestem pewien, że nie zamilknie aż do rana.

2

Agata przychodzi punktualnie co do minuty. Całujemy się w policzki; jej skóra jest zimna i wilgotna. Wciąż pada deszcz, Warszawa wkrótce zapomni, jak wyglądało słońce.

– Wejdz, wejdz. – Wieszam jej kurtkę. Dziewczyna mocuje się z butami. Rozgląda się po pokoju.

– Przytulnie tu masz – mówi. – I czysto.

Podchodzi do półek, przegląda książki na regale, wyjmuje jedną i zaraz odkłada na miejsce. Przesuwa palcem po okładkach gier na konsolę i pudełkach starych płyt CD z muzyką. Uśmiecha się do figurek dinozaurów. Przypomina młodego, ciekawskiego kota, wpuszczonego pierwszy raz do nowego pomieszczenia.

– Mogę? – Wskazuje na zasunięte zasłony. Kiwam głową. Odsuwa firankę i zasłonę, staje w oknie.

Wzdycha.

– Ale masz tu widok – mówi. – Zazdroszczę.

– No tak. – Podchodzę, stoję obok i patrzę razem z nią na nocną panoramę Warszawy, na tę mozaikę świateł, widok, który nie znudzi mi się chyba nigdy. – Jedno, co w tym mieszkaniu naprawdę dobrego. No i czynsz. W południowym Śródmieściu płaciłem tyle samo za kawalerkę wielkości szafy.

Obejmuję ją czule. Przez materiał bluzki wyczuwam twardą klatkę żeber. Na ułamek sekundy ona zastyga, ale zaraz się rozluźnia, jakby w pierwszym odruchu jej ciało uznało mój dotyk za zagrożenie. Kładzie głowę na moim ramieniu.

– Ty jesteś dobry – mówi. – A świat zimny i zły.

Delikatnie mnie odsuwa, ale tylko po to, żeby zaraz pocałować w usta, zmysłowo i powoli, jakby całowała kogoś po raz pierwszy w życiu. Czuję słodki smak pomadki ochronnej. Wstrzymuję oddech. Gdzieś z dołu

kręgosłupa płynie impuls, który każe ująć mocno w obie dłonie jej policzki, wbić język pomiędzy wargi i całować aż do krwi. Zanim impuls dociera do mózgu, Agata po prostu się do mnie przytula. Wypuszczam powietrze. Dociera do mnie, jak kiczowata byłaby to scena.

– Napijesz się czegoś? – pytam.

Prosi o herbatę, jeśli mam, to najzwyklejszego earl graya. Oczywiście, że mam. Gdy przynoszę jej kubek, przygląda się wydrukowi leżącemu na półce koło biurka. To ostatnie zdjęcie, które znalazłem w skrzynce pocztowej: stoję w otwartym oknie, a celownik mierzy prosto w moją głowę.

– Ładne, nie? – Stawiam jej herbatę na biurku. – Doczekałem się swojego prywatnego paparazzi i stalkera w jednym. Nie każdy może to o sobie powiedzieć.

– Dostajesz pogróżki?

Opowiadam jej więc pokrótce o wiadomościach na Facebooku, znikających mejlach i wydrukach zdjęć. Kiwa głową.

– Znam to, Szymon. Współczuję. Wolałabym zapomnieć, ale niestety bardzo dobrze pamiętam, jak to jest, gdy ludzie, których nawet nie znasz, życzą ci, żebyś umarł.

– Jak to?

– Wkrótce po tym, jak zginął mój eksmałżonek, znalazło się wielu takich, którzy by woleli, żebym to ja poszła spać pod ziemię. Dość prostych używali zwrotów, by mi to zakomunikować.

– Twój mąż nie żyje?

– Zginął w wypadku, dwa miesiące po rozwodzie. Prowadził samochód, autostrada A2, jechał do brata w Berlinie. Jakoś za Poznaniem zjechał nagle ze swojego pasa, ułamek sekundy, czołowe zderzenie z ciężarówką. Niezbyt wiele zostało do pozbierania. Nasłuchałam się, że zginął przeze mnie, że to samobójstwo z rozpaczki. Na pewno żyłby dalej, gdybym się zgodziła, żeby do mnie wrócił.

– A chciał wrócić?

– Tak. Nie policzę, ile razy do mnie dzwonił. W dzień i w środku nocy, trzeźwy i pijany. Prosił, błagał, skamlał jak szczeniak. Zawsze odpowiadałam to samo, że wrócić to sobie może do pani Katarzyny, notabene z Poznania właśnie, z którą tak się polubił, gdy jeździł tam na

szkolenia.

– Rozumiem.

– Kiedyś zapytałeś, czemu nie afiszuję się za bardzo na Facebooku. To już teraz wiesz.

– No tak.

Nie chcę kontynuować tego wątku. Czeka na nas jeszcze trudniejszy temat. Włączam muzykę. Zasuвам zasłony, sam nie wiem po co. Żeby nie podglądały nas drony. Siadam w fotelu.

– Tak jak ci napisałem, obejrzałem to nagranie – mówię. – Przeraza mnie, w co się pakujemy.

– Naprawdę się boisz?

– Tak. – Wzruszam ramionami. – Widzę, że LuceLume, czy ktokolwiek za nimi stoi, po prostu realizuje jakiś upiorny plan, metodycznie i konsekwentnie. Gdy czubek na tym filmie mówi o domach, które zamienią się w groby, brzmi jak ktoś, kto jest absolutnie pewny siebie.

Agata kiwa tylko głową.

– Dokładnie tak, jak podejrzewałaś – mówię dalej. – W Fabryce Domów dojdzie do kolejnego zamachu. Wszystko już przygotowali. A ja mam bardzo nieprzyjemne uczucie, że znów mocno im pomogłem.

– Wszyscy pomogliśmy. Ale też wciąż możemy im przeszkodzić i uratować tych ludzi.

– Jak? Myślałem o tym. Moglibyśmy co najwyżej opublikować ten film już teraz, z jednej strony LuceLume musieliby zmienić plany, z drugiej byłoby od razu jasne, że to nasza robota.

– Plik pochodzi z komputera Johana – przypomina Agata. – Nie wiem, kto jeszcze w firmie mógł mieć do niego dostęp. Johan sam tego przecież nie nagrał.

Kręcę głową.

– Gdyby doszło do wycieku, natychmiast sprawdziliby wszystkich. Nie potrzeba żadnych hakerskich umiejętności, by wykazać, że komputer został włączony pod jego nieobecność w biurze. Byłabyś główną podejrzaną.

– Wiem.

– Zastanawia mnie jeszcze coś innego... – Patrzę w jej oliwkowe oczy. –

Czy to nie jest pułapka. Czy nie podrzucili ci tego pliku specjalnie. To bardzo dziwne, że tak łatwo udało się go zdobyć.

– Nie wiem, czy łatwo. – Kręci głową. – Tak naprawdę głównie przez przypadek, zbieg okoliczności. Hasło Johana poznałam, bo wpisywał je, nie wiedząc, że stoję za nim i patrzę mu na ręce. Niezbyt oryginalne, imię córki. Gdy zostawił komputer w biurze, w każdej chwili ktoś mógł wejść do pokoju. Musiałam działać szybko. Weszłam po prostu w katalog z ostatnio otwieranymi plikami i zgrałam część na chybił trafił.

– Póki co nie możemy zrobić z tym filmem nic, żeby jednocześnie nie zdemaskować się z włamaniem. Zresztą nie wiem, czy publikacja miałaby teraz sens. Postronnym widzom niewiele to nagranie powie. Trzeba wiedzieć o planach akcji w Fabryce Domów, żeby je zrozumieć. Boję się, że w ten sposób Światło cię sprawdza. Nas sprawdza.

– Możliwe – zastanawia się Agata. – Możesz mieć rację. Nie możemy tego wykluczyć. Ale też nie możemy beczynnienie siedzieć.

– Myślisz, że uda ci się wykraść więcej dokumentów z komputera Johana?

– Nie wiem. On zwykle zostaje w biurze dłużej niż ja. Spróbuję, jeśli nadarzy się okazja, ale to bardzo duże ryzyko.

– Gdyby udało ci się zdobyć jego mejle...

– Spróbuję, Szymon. Ale nie mogę nic obiecać. Johan ma niedługo zaplanowany urlop, pewnie zostawi komputer, może wtedy.

– Jasne. Najważniejsze, żeby cię nie złapali na gorącym uczynku.

Agata podnosi do ust kubek z herbatą, powoli pije.

– Najważniejsze, że masz dowód, co robi firma, dla której pracujemy.

Nagle przychodzi mi do głowy pewien pomysł.

– Wiesz co – zaczynam ostrożnie. – Chyba możemy zapobiec śmierci tych ludzi i nie przyznać się od razu, że wiedzieliśmy wcześniej o zamachu.

– Jak?

– To bardzo proste. Do samego końca będę miał dostęp do wiadomości wysyłanych uczestnikom konkursu. Musieliśmy na wszelki wypadek zachować możliwość ich edytowania i dodawania nowych, choćby po to, żeby w razie konieczności odwołać całą imprezę albo wysłać dodatkowe wskazówki, jeśli uczestnicy za długo nie będą mogli znaleźć kodów QR. Za

dużo możliwych wariantów, żeby przygotować wszystko zawczasu. Mam do wszystkiego dostęp z poziomu przeglądarki, przez taki prosty panel, informatycy nam napisali. Wystarczy, że się zaloguję.

Agata uśmiecha się. Widzę, że też już rozumie.

– To znaczy, że możesz wyedytować wiadomość ze współrzędnymi lokalizacji, w której odbędzie się ostatni etap konkursu.

– Dokładnie tak. W ostatniej chwili zmienię współrzędne. Tylko jedną cyfrę, tyle wystarczy. Nikt nie powinien zauważyć. Ludzie zbiorą się w innym miejscu, a jeśli coś wydarzy się na Starych Świdrach, uczestnicy konkursu w żaden sposób nie ucierpią.

– Będziemy wtedy już na sto procent pewni, że mamy rację.

– Mądra z ciebie dziewczyna, Agato Kociuk.

– Dziękuję, Szymonie Pelawski.

Puszcza do mnie oko. Odstawia kubek, wstaje sprzed biurka. Podchodzi do fotela i siada mi na kolanach.

– Od razu wiedziałam, że warto będzie cię poznać – mówi. – Kiedyś nakręcą o nas film. Ty i ja, Szymon. Ty i ja, i zimny, zły świat.

3

Leżę na rozłożonej kanapie i wyczekuję wielkiego wybuchu, zmasowanego ataku rakiet, słupa ognia i dymu. Obok drzemie Agata. Trudno uwierzyć, ale przed chwilą naprawdę zasnęła; półotwarte usta i lekko zaróżowione policzki sprawiają, że wygląda teraz jak najbardziej niewinna istota na świecie.

Powstrzymuję się od pogłaskania jej po twarzy. Patrzę na gładkie krzywizny łydki wystającej spod koca, na nagą stopę. Na dłonie z palcami jak smukłe gałązki, na czerwone paznokcie o kształcie migdałów. To absolutnie nierealne, że tak niedawno te nogi opierały się o moje ramiona. Wspomnienie tych dłoni i ust zaciskających się na czymś tak nieadekwatnym jak mój penis nie może być prawdziwe. To wirtualne obrazy, strumień danych znikąd, wizualizacja wydarzeń, które nigdy nie miały miejsca. To test tajnej technologii, która włącza nierzeczywiste sceny prosto do ludzkich głów. Jestem bohaterem gry komputerowej, który w fabularnym twiście okaże się androidem o sztucznej tożsamości.

Telefon milczy. Na ekranie telewizora postacie, których nie kojarzę, rozmawiają o niczym.

– Nie wyglądasz na kogoś, kto ogląda telewizję – powiedziała wcześniej Agata.

– Bo nie oglądam. – Wzruszyłem ramionami. – Dali mi kablówkę razem z internetem, w jakiejś promocji tak wychodziło taniej.

Pary spędzają w ten sposób niedziele. Zakochani zasypiają koło siebie na kanapie, po całym popołudniu spędzonym z serialami na Netfliksie. Chyba z żadną dziewczyną nie oglądałem seriali.

Zaczynają się „Fakty po Faktach”. Minęła 19.20, a więc uczestnicy konkursu ogłoszonego przez Huoyan House za dziesięć minut zbiorą się w zupełnie innym miejscu na drugim krańcu Warszawy, przez chwilę pokręcą się, porozglądają i rozczarowani rozejdą do domów. Jeśli mieliśmy rację, a nikt w Regnum Lucidum nie połapał się, że zmieniłem koordynaty

GPS wysłane uczestnikom w ostatniej wiadomości, wszyscy przeżyją.

Płyną minuty. Dziennikarz w studio opowiada o kolejnych idiotyzmach wygłoszonych przez polskich polityków i równie idiotycznych reakcjach ich kolegów z zagranicy. Nigdy nie potrafiłem przejmować się politycznymi sporami. Te wszystkie smutne postacie z gębami pełnymi frazesów to tylko nieistotne marionetki, trupa fatalnych aktorów z objazdowego cyrku. Ich lokalne przepychanki to show dla gawiedzi, podczas gdy prawdziwa gra toczy się na zupełnie innym poziomie, a stawką nie są żadne słupki poparcia, tylko kontrola nad surowcami. Prawdziwa rozgrywka zawsze ma miejsce za kulisami. Trzeba być naprawdę głupim, żeby interesować się polityką.

Telefon milczy. Zastanawiam się, czy to dobrze. Minuty wciąż płyną, powoli, ale nieubłaganie. Zastanawiam się, czy coś usłyszę. Może zamiast w telewizor powinienem wpatrywać się w okno?

Nagle na ekranie wyświetla się twarz Eweliny. Wzdrygam się. Naprawdę, w takim momencie? Nawet teraz nie może dać mi spokoju. Zostaw mnie już, odejść, odpłynąć wreszcie do światła.

– Pojawiły się nowe tropy w sprawie zagadkowej śmierci Eweliny Kuliczki – mówi dziennikarz. – Policja i prokuratura odmawiają komentarza, jednak dowiedzieliśmy, że w śledztwie nastąpił ważny przełom.

Przypomina, że historią jej zaginięcia żyła cała Polska, a zakrojone na wielką skalę poszukiwania przyniosły niestety tragiczny efekt. Jakby streszczał widzom fabułę ostatniego odcinka. O Janku Pietruszyńskim nikt w telewizji nawet się nie zająknął: widocznie także po śmierci ładna dziewczyna ma znacznie łatwiejszą drogę do kariery.

– Wstępnie wykluczono, żeby śmierć Eweliny Kuliczki i zaginionej wcześniej Jolanty Kaczmarek w jakikolwiek sposób łączyły się ze sobą. Wciąż nie ustalono sprawców obu tych zbrodni, niejasne pozostają też motywy. Jednakże prokuratura zapewnia, że grono podejrzanych sukcesywnie maleje.

Przebitka pokazuje zatroskanego rzecznika prasowego stołecznej prokuratury, kręcącego głową przed tłumem reporterów. Myślę o Goście.

Patrzę na Agatę. Śpi, miarowy oddech unosi jej piersi. Jest naprawdę niesamowita. Nie wiem, co musiałoby się stać, żebym teraz zasnął. Czuję się

tak, jakby ktoś podłączył mnie do prądu. Od trzech dni nie jestem w stanie zmrużyć oka, nie przespałbym ani minuty, gdyby nie przenajświętsze benzodiazepiny, ostatnie tabletki schowane na czarną godzinę. Ale cieszę się, że Agata śpi. Nie chcę, by duch Eweliny patrzył na nią z ekranu.

Jest już po wpół do ósmej. Telefon milczy.

Nagle na ekran wjeżdża czerwona belka. PILNE.

Wstrzymuję oddech.

SILNA EKSPLOZJA NA WARSZAWSKIM TARCHOMINIE!

Trącam Agatę w ramię. Wzdryga się, spogląda na mnie zaskoczona, zabawnie trzepocze rzęsami.

– Jezu, zasnęłam?

Bez słowa wskazuję na ekran. Dziennikarz tymczasem milknie, delikatnie pochyła głowę; zapewne słucha instrukcji nadawanych przez słuchawkę.

– Mamy informację z ostatniej chwili – mówi. – W Warszawie doszło do potężnej eksplozji na Tarchominie, w pobliżu stacji kolei miejskiej Stare Świdry. W tej chwili nieznane są przyczyny wybuchu ani jego skutki.

Alarmująca belka sunie raz za razem przez ekran. Dziennikarz poważnie patrzy w kamerę.

Wstaję z kanapy, podchodzę do biurka. Wybudzam laptopa. Główna strona gazety.pl krzyczy już o wybuchu wielkimi literami, straszy czerwonym tłem. Rozsuwam zasłony. Otwieram okno na oścież, wystawiam głowę na chłód. Czego się spodziewałem? Widoku nuklearnego grzyba, ryku karettek pogotowia, pomruku wstrząsów wtórnych? Miasto wygląda tak jak zawsze. Brzmi tak jak zawsze.

– Mieliśmy rację – mówi Agata.

Czuję, że za chwilę zakręci mi się w głowie. Tak, to dzieje się naprawdę. Przez trzydzieści jeden lat w moim życiu nie wydarzyło się właściwie nic, a teraz proszę: trafiłem w sam środek scenariusza sensacyjnego filmu pisanego przez rozgorączkowanego neurotyka.

– Nie dzwonił do mnie nikt z agencji. – Patrzę na wyciemniony ekran telefonu. – Nie wiemy, czy nam się udało.

Agata kiwa głową.

– Dowiemy się.

Dziewczyna wygrzebuje się spod koca, wstaje z kanapy. Ma na sobie moje bokserki i spraną koszulkę z H&M. Gdy się przeciąga, małe sutki wyraźnie zarysowują się pod cienkim materiałem. Idzie do kuchni, po chwili wraca z butelką.

– Otworzysz?

Posłusznie mocuję się z korkociągiem, ona rozstawia kieliszki. Nalewam nam wina.

– Za to, żeby nie było ofiar.

To bez sensu, siedzieć teraz i pić wino. Nie mam jednak pojęcia, co miałyby sens. Pijemy więc i odświeżamy główne strony serwisów informacyjnych. Z medialnego chaosu zaczyna wyłaniać się pewien konkretny przekaz, skrawki newsów powoli zlepiają się w spójny wzór, jakby ktoś przesuwiał magnes pod stołem, na którym rozsypało żelazne opiłki. Po kilkunastu minutach wiadomo już na pewno, że do eksplozji doszło na terenie Starych Świdrów, w ruinach dawnej Fabryki Domów. Portale publikują pierwsze amatorskie nagrania, na których jasna łuna unosi się ponad Tarchominem. Świadkowie mówią o potężnym huku. Jakby bombę zrzucili. Po pół godzinie nadal nie wiadomo, czy w wybuchu ktokolwiek ucierpiał – jedyne potwierdzone straty to szyby wybite w oknach bloków na pobliskich osiedlach. Na miejscu uwija się straż pożarna. Nic nie wskazuje, żeby w Warszawie doszło do kolejnego zamachu, pojawia się natomiast hipoteza, że eksplodował niewybuch z czasów drugiej wojny światowej. Całujemy się z Agatą. Po godzinie do wersji z niewybuchem przychyła się już większość ekspertów, spędzonych naprędce do telewizyjnych studiów i redakcji. Prawdopodobnie obyło się bez ofiar. Kończy się nam wino.

– Żabka jest wciąż otwarta – zastanawiam się. Już mi szumi w głowie. – Na pewno chcemy więcej? Jutro może być różnie.

Agata uśmiecha się. Pochyla się w moją stronę, delikatnie gryzie mnie w ucho.

– Dla nas żadnego jutra może już nie być.

4

Ciszę w naszym pokoju mać tylko cichy stukot uderzanych klawiszy – to Zuza rozmawia z kimś na czacie. Cyprian patrzy niby w okno, ale tak naprawdę nie wiadomo gdzie, bezmyślnie bawi się własną brodą. Biurko Piotra stoi całkowicie puste. Zniknął jego laptop, zniknął kubek po kawie, zniknęły wszystkie drobiazgi.

Władca Królestwa, Adam Sommer, zapowiedział spotkanie z całym naszym zespołem. Przyszedł do pokoju rano, wyraźnie podenerwowany, i poprosił, żebyśmy o jedenastej wszyscy byli obecni. Zuza wówczas nie zdążyła jeszcze dotrzeć do biura, więc Cyprian zaraz do niej zadzwonił i chyba ją obudził. Wystraszona wpadła przed kwadrans; rozlane pod oczami sińce sugerowały, że w weekend znowu się nie oszczędzała.

Jedenasta minęła pięć minut temu, więc szef może zjawić się w każdym momencie. Zupełnie nie wiem, czego się spodziewać. Zwolni nas wszystkich. Stanie w drzwiach z pistoletem maszynowym i otworzy ogień.

Rano biłem się z myślami, czy w ogóle jechać do biura. Media potwierdzały już oficjalnie, że w wybuchu na terenie Fabryki Domów nikt nie ucierpiał. A zatem nasz plan się powiódł, przebiegły fortel wyprowadził w pole siły zła. Pan Potylica z YouTube'a na próżno wygłosił swój monolog. Nie sądzę, żeby Światło było z tego powodu zadowolone. Niewykluczone, że powinienem czuć się bohaterem, który ocalił wiele ludzkich istnień. Czuję tylko obawę.

– Nieważne, co się teraz wydarzy – powiedziała Agata, gdy o świecie leżeliśmy obok siebie. – Zrobiliśmy to, co należało.

– Będą szukać winnych.

– Na pewno będą.

– Ja zawsze mogę powiedzieć, że omyłkowo zmieniłem współrzędne GPS. Nikt nie udowodni, że taki był mój cel. Ale co ty powiesz, jeśli zarzucą ci włamanie do komputera Johana?

– Nie wiem. Coś wymyślę.

– Może powinniśmy uciec, jak na filmach. Wsiądziemy do pociągu dokądkolwiek, wynajmiemy pokój w hotelu na jakimś zadupiu, znikniemy na kilka tygodni. Wyrzucimy telefony. Mam na koncie trochę hajsu, wyjmę gotówkę, nie znajdą nas.

– Szymon. – Pocałowała mnie. – Znajdą, jeśli tylko zechcą. A ja nie zamierzam się ukrywać. To nie ma sensu. Jeśli teraz znikniemy oboje, to jakbyśmy podpisali się pod zjebaniem im imprezy. Dopóki nic nam nie zarzucą, nie powinniśmy podkładać się sami.

– A jeśli zarzucą nam, ale od razu worki na głowy?

– To i tak nic nie zrobimy. Jeśli zechcą, znajdą nas wszędzie.

Oczywiście miała rację. Mówiliśmy przecież o organizacji, dla której żadnego problemu nie stanowiło przeprowadzenie zamachu bombowego w Warszawie w taki sposób, że służby do tej pory kręcą się w kółko, bezradne jak okradzione dziecko. Nie sposób określić, jak głęboko sięgały nitki tej demonicznej grzybni. Było oczywiste, że widzimy tylko mały wycinek planszy, na której ci tajemniczy ludzie toczyli swoją rozgrywkę.

– Mamy dowód, że są w to zamieszani – zastanawiałem się. – Moglibyśmy spróbować ich zaszantażować.

– I zażądać czego? Pieniądzy? Bo chyba nie wycofania się z ich planów, jakiegokolwiek by były? Przecież wtedy zabiliby nas natychmiast.

Znów musiałem przyznać rację Agacie. Uznaliśmy, że spróbujemy zachowywać się naturalnie. Zobaczymy, jak nasi pracodawcy zareagują na wczorajsze wydarzenie. Sami nie wykonamy pierwsi żadnego kroku. Nie będziemy próbowali otwierać żadnych drzwi, wycofamy się i przyczaimy.

Drzwi do naszego pokoju otwierają się. Adam przepuszcza przodem Annę, wchodzi za nią. Zamyka drzwi za sobą.

– Moi drodzy – mówi, przesuwając wzrokiem kolejno po naszych twarzach. – Jak wicie, na terenie należącym do naszego klienta eksplodował wczoraj niewybuch. Niemal dokładnie w momencie, gdy powinno znajdować się tam stu czterdziestu czterech uczestników konkursu, który zaprojektowaliśmy.

Nie spuszczam wzroku, gdy patrzy na mnie.

– Dzięki Bogu nikomu nic się nie stało – mówi dalej. – Prawdopodobnie aplikacja konkursowa zmieniła współrzędne lokalizacji, w której mieli się

zebrać ludzie. Rozmawiałem z Jarkiem z IT, przyznał, że podczas testów sporadycznie zdarzały się tego rodzaju błędy. Ale to oczywiście zupełnie nieistotne, bo jedyne, co się liczy, to że podczas wybuchu nikogo nie było w Fabryce Domów.

Cyprian kiwa głową. Zuza patrzy na szefa z niepokojem.

– Dopiero co pomogliśmy innemu z naszych klientów chronić reputację, gdy zrzędzeniem losu hasło, które dla niego przygotowaliśmy, zostało wykorzystane przez terrorystów po zamachu na metro. Oczywiście, jakiegokolwiek zarzuty wobec nas byłyby absurdalne, tak samo wówczas, jak i dzisiaj, ale na wszelki wypadek, po konsultacji z Huoyan House, wstrzymujemy dalszą komunikację. Nie chcę, żeby efekty waszej ciężkiej pracy ktokolwiek kojarzył z zagrożeniem dla ludzkiego życia. Kampania aktywacyjna miała stosunkowo nieduży zasięg, a nikt oprócz nas nie wie, w którym miejscu mieli zebrać się uczestnicy konkursu. Nigdy tego nie robiłem, ale chciałbym wam przypomnieć o obowiązku ochrony poufnych informacji dotyczących firmy. Każdy z was na piśmie zobowiązał się przestrzegać klauzuli poufności. Media nie mają prawa dowiedzieć się, jak blisko byliśmy wielkiej tragedii. Myślę, że to rozumiałe?

Mechanicznie kiwamy głowami.

– Czuję się niezręcznie, mówiąc to na głos, bo nie podejrzewam nikogo z was, kreatywnych, o brak wyobraźni. Nie bierzcie tego osobiście, to formułka, którą po prostu muszę w tej sytuacji wygłosić. Gdyby doszło do jakichkolwiek wycieków, gruntownie zbadamy sprawę i zarówno my, jak Huoyan House wyciągniemy wobec nierzetelnych współpracowników prawne konsekwencje.

Przez cały czas Anna milczy. Odnoszę wrażenie, że jest mocno zakłopotana.

– To pierwsza z wiadomości, które mam wam do przekazania. Druga jest taka, że w piątek pożegnaliśmy się z Piotrem.

Spoglądamy po sobie z Cyprianem.

– Jak to?

– Zanosilo się na to od dłuższego czasu – wzdycha Sommer. – Jeśli nic nie podejrzewaliście, to tylko dzięki profesjonalizmowi Piotra. Ze względów osobistych wasz przełożony nie był w stanie skupić się na pracy tak, jak sam

tego od siebie wymagał, w związku z czym wspólnie uznaliśmy, że rozstanie będzie najlepszym rozwiązaniem. Piotr dokończył wszystkie swoje projekty i w piątek wieczorem rozwiązaliśmy z nim umowę.

Patrzę na jego puste biurko.

– Zastanawiamy się jeszcze, w jaki sposób teraz zorganizować pracę waszego zespołu – odzywa się Anna. – Przynajmniej przez jakiś czas będziecie zapewne musieli radzić sobie sami, ale nie spodziewam się, żeby to miało stanowić jakikolwiek problem. Wszyscy jesteście na tyle doświadczeni, że raczej nie potrzebujecie team leadera. W najbliższym czasie zdecydujemy, co dalej.

– Żeby było jasne – dodaje Adam. – Wasze stanowiska są absolutnie niezagrożone. Cenimy pracę i zaangażowanie każdego z was. To wy jesteście sercem naszej firmy. Bez was nie byłoby Regnum Lucidum.

Mówiąc to, patrzy mi w oczy.

– Nie chcemy rzucać słów na wiatr – mówi Anna. – Doszliśmy do wniosku, że za poświęcenie przy ostatnich projektach należy się wam dodatkowe wynagrodzenie. Każdemu z waszej trójki przyznajemy premię uznaniową w wysokości miesięcznej wypłaty.

Znów patrzymy po sobie z Cyprianem.

– Dzięki – mówi wielkolud.

Anna przyznaje, że w związku z koniecznością przerwania pracy dla Huoyan House nie będzie dziś dla nas nowych zajęć. Możemy iść do domów i odpocząć.

– Za dużo bodźców naraz – mówi Cyprian, gdy Adam i Anna zamykają za sobą drzwi. – Przystaję nadążyć.

– Jeśli Piotr nie był skupiony na pracy, to chyba nikt nigdy nie był. – Zuza kręci głową. – To jakaś dziwna historia.

– Pewnie wysypał mu się układ z Anką. Co zawsze mówiłem? Kuda robotajesz, tam nie jebiosz.

– Mógł się chociaż z nami pożegnać...

– Wyciągniemy go na jakieś piwo.

– Dziwne to wszystko – powtarza Zuza, wstając od komputera. – Fajnie, że premia. Ale coraz częściej się zastanawiam, czy w ogóle chcę tu dalej pracować.

5

– Im więcej o tym myślę, tym bardziej utwierdzam się, że pomysł jest dobry – przyznaję, grzebiąc widelcem w ścinkach grillowanego kurczaka. – To chyba nasza największa szansa.

Siedzimy z Agatą w restauracji Sphinx przy placu Bankowym. To ostatnie miejsce, do którego zaprosiłbym dziewczynę taką jak ona. Podejrzewam, że nigdy wcześniej nie była w żadnym ich lokalu.

– Mnie się podoba. Nic lepszego bym nie wymyśliła.

Wystąpienie Adama Sommera odebrałem jako mimowolne przyznanie, że nie wszystko w Królestwie znajduje się pod jego kontrolą. CEO najzwyczajniej w świecie poczuł niepokój. Gdyby informacja o powiązaniu agencji i jej klientów z kolejnym zamachem w stolicy, tym razem nieudanym, wyszła na jaw, w gruzach ległby cały misterny plan, na czymkolwiek on polega. Kimkolwiek jest, mocodawca właściciela Królestwa z pewnością nie byłby zadowolony.

– Nic innego nie mamy – mówię.

Agata uśmiecha się smutno, odsuwa talerz. Zjadła pół porcji łososia na parze.

– Siebie mamy – odpowiada. – Siebie nawzajem.

Huoyan House również nabrał wody w usta. Johan zniknął na urlopie, ponoć planowanym z dużym wyprzedzeniem. Agata dostała tylko mejla z informacją o natychmiastowym zaprzestaniu komunikacji marketingowej osiedla Fabryka Domów ze względu na wypadek z niewybuchem. Wniosek nasuwa się oczywisty: skutecznie zaburzyliśmy pracę tajemniczego mechanizmu. Ci, którzy spoza sceny pociągają za sznurki, muszą przystanąć, cofnąć się o krok, zdecydować co dalej. To zaś oznacza, że jeśli nawet domyślają się naszej roli, a wyrok już zapadł – wciąż mamy trochę czasu.

Trochę czasu i dowód, że nasi pracodawcy maczają palce w krwawych zamachach. Skoro boją się wycieku informacji, że uczestnicy

zorganizowanego przez nich konkursu mogli i wręcz powinni znaleźć się na miejscu wybuchu, opublikowanie filmu, z którego jasno wynika, że miała to być kontynuacja rzezi na Świętokrzyskiej, zapewne przerazi ich bez reszty.

Pomysł jest prosty: postawimy prostą stronę internetową, na którą trafią wszystkie informacje o związkach Regnum Lucidum i LuceLume z aktami terroru. Dokładnie opiszemy nasze podejrzenia, opublikujemy nagranie „warszawa2.mkv”, podamy nazwiska naszych przełożonych. Link roześlemy do wszystkich istotnych polskich mediów i do policji. Tyle że nie zrobimy tego od razu. Wyznamy datę publikacji na za dwa dni, ale każdego dnia będziemy ją przesuwali. W ten sposób, gdyby cokolwiek nam się stało, publikacja nastąpi automatycznie, informacje zostaną uwolnione, a media rzucą się na Światło. Dziennikarze podchwycą trop, rozpracują całą strukturę grzybni. Antyterrorysty wyłamią drzwi do Królestwa. Różne osoby trafią do więzienia na wiele, wiele lat.

W najbliższych dniach oboje spróbujemy zwolnić się z pracy. Na ewentualne pogróżki odpowiemy z uśmiechem, informując o stronie internetowej. Jeśli zaś uda nam się bezproblemowo zniknąć, przekazemy zebrane materiały policji. A wtedy otrzymamy ochronę. Zastrzeżemy sobie pełną anonimowość.

Wciąż do mnie nie dociera, że to dzieje się naprawdę. Mam wrażenie, jakbym układał w głowie scenariusz filmu.

– To wszystko jest zupełnie nierealne – mówię. – To się nam tylko śni.

Agata kręci głową. Sięga ponad talerzami, szczypie mnie w dłoń.

– Chciałabym. Ale to prawda.

Ustaliliśmy, że jutro kupię nowy komputer, najtańszego netbooka, jakiego znajdę w sklepach z elektroniką w Żółtych Tarasach. Od razu wykupię dostęp do internetu mobilnego. Będą służyć tylko i wyłącznie do stworzenia strony i przesuwania daty jej publikacji. Korzystając z faktu, że Johan wyjechał na urlop, Agata spróbuje zgrać z jego laptopa jak najwięcej plików. Nie wspomnimy o naszym planie w żadnej rozmowie na czacie ani przez telefon. Wszystkie najważniejsze decyzje będziemy podejmować na żywo, wyłącznie w miejscach publicznych, na spacerach, w zatłoczonych restauracjach. Jeśli Światło chce nas śledzić i podsłuchiwać, przynajmniej nie ułatwimy mu zadania.

Płacimy rachunek i wychodzimy ze Sphinksa. Odprowadzam Agatę na przystanek. Nie widzę, żeby ktokolwiek ruszył za nami. Jest już naprawdę chłodno, oddech zamienia się w jasne obłoczki. Idziemy pod rękę, jak para wracająca z randki.

– Szymon, coś jeszcze musisz wiedzieć – mówi nagle poważnym głosem, gdy stajemy pod wiatą. Oprócz nas jest tu tylko starsza kobieta, spokojnie studiująca rozkład jazdy.

– Aha?

– Jestem chora.

– Wiem.

– Mam schizofrenię. Zdiagnozowana sześć lat temu, łagodna forma, leczę się. W żaden sposób nie wpływa to dziś na moje życie, ale wolę, żebyś o tym wiedział.

– Wiem. Widziałem lekarstwa w twojej szafce, gdy skaleczyłem się, zmywając naczynia. Skojarzyłem fakty.

Gdy po wizycie u niej wpisałem w Google'a nazwy „abilify” i „zolafren”, wysoko na liście wyników pojawiły się adresy forów dyskusyjnych dla psychiatrów.

Kiwa głową. W puchowej czapce wygląda, jakby jednak była ode mnie wyższa.

– Uwierzyłeś mi, mimo wszystko.

Staram się uśmiechnąć.

– Wiesz, jak jest. To, że jesteś paranoikiem, jeszcze nie znaczy, że cię nie śledzą.

Uśmiecha się i ona.

– Dziękuję – mówi. – Jesteś wyjątkowy, inny niż wszyscy. Wiedziałaś od samego początku.

Całuje mnie mocno w usta. Chwilę potem przyjeżdża autobus, wsiada do niego Agata, wsiada starsza kobieta. Zostaję sam na przystanku.

6

Adam Sommer zatytułował mejla lakonicznie: „Spotkanie”. Czuję, jak niepokój zaciska sękate łapsko na gardle. Z trudem przełykam ślinę.

Jest jeszcze wczesnie, przed dziewiątą, więc w biurze pustki, tylko dwóch zaspanych informatyków żuje w kuchni kanapki na śniadanie. Wiadomość czeka w skrzynce od wczorajszego wieczora. W pierwszym odruchu chcę zamknąć komputer, narzucić kurtkę i uciec z Królestwa, bez słowa wybiec, rozpląnąć się w zimnej mgłę wiszącej nad ulicami Warszawy jak cmentarny wyziew. Kręcę głową. Bądź poważny, Szymonku. Gdy podnoszę do ust kubek z kawą, drży mi ręka.

Szybko skanuję wiadomość wzrokiem:

Czesc Szymon,

Wpadnij do mnie o 10, ok? Zajme ci chwile tylko :)

Pozdro

AS

Zastanawiam się, czy nie zadzwonić do Agaty, ale postanowiliśmy unikać komunikowania się z biura. Co zresztą miałyby mi powiedzieć? Odpisuję Sommerowi, że jasne, wpadnę.

Kolejne kwadransy rozciągają się jak taśma magnetofonowa, niesamowite, że godzina może trwać tak długo. Biuro zaczyna powoli się zaludniać, z kuchni dobiegają rozmowy, wyłapuję pojedyncze, wyrwane z kontekstu zdania; w pokoju ciągle pozostaję sam. Wciąż nie dostaliśmy nowych zadań do wykonania, więc zabijam tylko czas, klikając z newsa w news. Kurz po wybuchu w Fabryce Domów zdążył już opaść. Media co prawda mają wątpliwości, ale dotyczą one raczej tego, ile jeszcze śmiertelnych ładunków czeka pod ziemią na swój moment, aby zamienić okolicę w dymiący krater, i na ile prawdopodobne są kolejne wybuchy. Czy czwarte pokolenie powojenne wciąż chodzi po polu minowym? Przeklikuję

się przez podzielony na slajdy artykuł zestawiający najgłośniejsze wypadki związane z niewybuchami z drugiej wojny światowej. Zastrzeżenia do powszechnie przyjętej wersji wydarzeń zgłaszają tylko niezawodni komentujący – ktoś powątpiewa, aby po ponad siedmiu dekadach snu w warszawskiej ziemi ładunek mógł zachować taką moc, ktoś inny zauważa, że podczas wojny ta część Białoleki nie znajdowała się nawet w administracyjnych granicach miasta, a żadne źródła nie wspominają, żeby Niemcy rzeczywiście ostrzelali ją z ogromnego moździerza, który spustoszył Śródmieście. Do tej uwagi nikt nawet nie próbuje odnieść się merytorycznie. Nie zauważam żadnej wzmianki o miejscu wypadku w kontekście Huoyan House i planów budowy osiedla Fabryka Domów.

Wreszcie przychodzi dziesiąta. Zuza i Cyprian wciąż nie dotarli do biura. Wzdycham. Trudno, najwyżej z nikim się nie pożegnam, nikt nie odprowadzi mnie do wyjścia. Blokuję komputer i wstaję od biurka.

Adam Sommer siedzi w pokoju sam. Sprawia wrażenie wyluzowanego, uśmiecha się na mój widok. W casualowej marynarce na ciemnym T-shircie, z idealnie wymodelowanym zarostem, ocieniającym mocno wyciosane szczęki, wygląda jak aktor, mógłby grać role zamożnych amantów. Wstaje, podaje mi rękę. Pokazuje, że bym usiadł.

– Od razu przejdę do rzeczy – zaczyna, a ja znów bezwiednie próbuję określić, skąd pochodzi jego akcent. Mówi płynnie, nie ma problemu z doborem słów. – Bez owijania w bawełnę. Mam dla ciebie propozycję.

– Aha?

– Chciałbyś zostać nowym szefem kreacji, *head of creation*? Potrzebujemy kogoś na miejsce Piotra.

– Ja szefem kreacji? – Patrzę na niego, całkowicie zaskoczony.

Spodziewałem się raczej wycedzonej przez zęby informacji, że firma doskonale wie, kto grzebał przy współrzędnych GPS w aplikacji konkursowej i wciąż zastanawia się, jak mnie ukarać. Spodziewałem się groźby, że jeśli jeszcze raz spróbuję wejść w paradę Światła, ostatnim, co poczuję, będzie smak wody z Wisły, zanim wybuchną mi płuca. Spodziewałem się natychmiastowego rozwiązania umowy i sugestii, że najlepiej, gdybym do końca życia nie wypowiadał się na temat Regnum Lucidum ani ich klientów, o ile oczywiście nie chcę stanąć naprzeciw armii doskonale opłacanych prawników. Spodziewałem się wszystkiego, tylko nie

proponycji awansu.

– Przecież jestem tu dopiero od kilku tygodni.

Sommer macha ręką.

– I co z tego? Mamy czekać pół roku? Anna i ja sądzimy, że dałbyś radę. Twoje pomysły podobają się klientom, dobrze dogadujesz się z Cyprianem. Bardzo dobrze wypadłeś na spotkaniu z LuceLume. Wiem, że zrobiłeś na nich duże wrażenie.

Ostatnie zdanie przyozdabia lekkim uśmiechem. Pewnie wie o Agacie i o mnie. Pewnie wie o wszystkim, co dzieje się w firmie i wokół niej, o każdym mejlu i wiadomości wysłanej na Facebooku. Na swoim ślicznym makbuczku sprawdza co wieczór, o czym rozmawiają pracownicy. Filtruje po słowach kluczowych naszą prywatną korespondencję.

– Nie jestem pewien, czy się nadaję – mówię. – Nigdy nie ciągnęło mnie do zarządzania zespołem, nie mam w tym żadnego doświadczenia. W poprzedniej firmie zdarzało mi się tylko prowadzić stażystów.

Adam kiwa głową.

– Oczywiście rozumiem, ale jak mówiłem, jesteśmy przekonani, że dałbyś radę. Pomyśl tak. Odkąd z nami jesteś, praktycznie wszystko, co robiła kracja, zaczynało się od ciebie. – Patrzy mi w oczy, wciąż z tym uśmiechem jak z filmowego plakatu. – Wszystko, co się tu ostatnio działo, działo się przez ciebie.

– Przeze mnie?

– Dzięki tobie – poprawia się. – Przepraszam. Byłeś pomysłodawcą większości naszych ostatnich działań, to miałem na myśli.

– No tak.

– W twojej codziennej pracy tak naprawdę nie zmieni się wiele. Po prostu będziesz raportował prosto do mnie i Anny, a Cyprian i Zuzanna do ciebie. Pewnie za jakiś czas zatrudnimy jeszcze jednego copywritera, ale tym zająłbyś się już sam.

Muszę mieć bardzo dziwny wyraz twarzy, mam wrażenie, że patrząc na mnie, Adam powstrzymuje się od śmiechu. Staram się również uśmiechnąć.

– Zaskoczyłeś mnie – mówię. – Nie spodziewałem się.

– Nie oczekuję, że zdecydujesz się od razu. Wiem, że to niecodzienna sytuacja. Przemyśl sobie spokojnie. Jutro Anna będzie w biurze,

moglibyśmy ustalić nowe warunki współpracy.

Znów wydaje mi się, że nieco inaczej akcentuje ostatnie słowa.

– Tak, jasne, przemyślę. – Waham się. – Mogę cię o coś zapytać?

– Pewnie, pytaj.

– Czemu właściwie Piotr odszedł?

– Mówiłem wam wczoraj. Sam przyznał, że nie jest obecnie w stanie łączyć życia zawodowego i prywatnego. Wiedzieliśmy już od pewnego czasu, że ma swoje problemy. Decyzja nie mogła być inna. Bardzo go szanujemy, był w Regnum Lucidum od samego początku. Ale teraz trzeba go zastąpić.

– Rozumiem.

Umawiamy się na kolejną rozmowę jutro, już we trójkę z Anną. Sommer sugeruje, żebym zastanowił się, jaka kwota podwyżki mnie usatysfakcjonuje. Dodaje też, że dzisiaj nie pojawią się żadne nowe tematy, więc mogę iść do domu, i generalnie teraz jest dobry czas na odpoczynek, bo wkrótce zaczniemy bardzo dużą kampanię, jej szczegóły Anna omawia dzisiaj z klientami. Wierzy, że po stronie kreacji poprowadzę ją już jako główna osoba decyzyjna.

Gdy wracam do biurka, kręci mi się w głowie. Cypriana i Zuzy nadal nie ma, pewnie nie pojawią się wcale. Musieli dostać wiadomość, że dzisiaj i tak nie byłoby dla nich zajęcia. Przez chwilę zastanawiam się, czy naiwnie nie uwierzyłem w paranoje Agaty, dałem się wciągnąć w jej szaleństwo, jak pies podążając za feromonami, podczas gdy tak naprawdę pracuję w najzwyklejszej na świecie agencji reklamowej, która ma tylko pecha do mrocznych zbiegów okoliczności. W głowie dźwięczą jednak wypowiedzi bruneta z nagrania wykradzonego z komputera Johana. Myśli i słowa znów zbijają się w litą ścianę szumu. Zanim wyjdę do domu, w kuchni zaparzam jeszcze jedną kawę.

Nie wierzę, że moje życie mogło wyglądać inaczej.

Siedzimy nad dzbankiem kenijskiego dripa. Agata obraca w palcach pendrive'a, nerwowo, jakby zgromadzone na nim pliki parzyły. Bardzo wiele od tych plików zależy, od zrzutów ekranu zgranych na małą kostkę pamięci.

Na przykład – czy zło zwycięży. Czy wiadomości z polskiej stolicy ponownie zagoszczą na pierwszych stronach zagranicznych gazet, a #PrayForWarsaw znów wskoczy na chwilę do top100 najpopularniejszych hashtagów na Twitterze. Czy Agata i ja dożyjemy przyszłego miesiąca, czy któregoś dnia nie znikniemy bez wieści.

Te pliki to w tej chwili nasza jedyna polisa. Nasz największy skarb.

Zajmujemy stolik w samym rogu sali w Ministerstwie Kawy na Marszałkowskiej – jak się okazało, jednej z naszych wspólnych ulubionych kawiarni. Zachodziłem tu jeszcze na studiach. Zabierałem dziewczyny na randki. Niewykluczone, że mijaliśmy się z Agatą w tym wnętrzu dawno temu, być może siadywaliśmy tuż obok siebie.

Mały komputer uruchamia się błyskawicznie. Prosto z pracy pojechałem po najtańszego netbooka, dokupiłem od razu modem pod USB i dostęp do internetu mobilnego na kartę.

Agata podaje mi pendrive'a. Wpinam go w port, uruchamiam skan antywirusa.

– Nie mam pojęcia, co myśleć o tej propozycji Sommera – mówi Agata, wracając do naszej rozmowy.

– Ja też nie – przyznaję.

– Sądzisz, że on może naprawdę nie zdawać sobie sprawy, że zmiana cyferek GPS to twoja robota?

– Nie wiem. Może to głupie, ale podejrzewam, że mogli uznać za winnego Piotra. I dlatego nie ma go już w firmie.

– Próbowałeś się z nim kontaktować?

– Nie, bo nie mam do niego numeru, a wolałem nie pisać ze służbowego kompa. Może teraz się odezwę, z naszej tajnej radiostacji.

Skan pendrive'a dobiega końca. „Nie znaleziono żadnego wirusa”. Zaczynam kopiować pliki na dysk.

– Podejrzewam, że w ten sposób chcą cię lepiej kontrolować.

– Ja też. Zobaczymy, jutro mam rozmowę z Sommerem i Karwińską.

– Przyjmiesz propozycję?

– Przyjmę. – Wyjmuję pendrive'a i kładę na stoliku. – Muszę, jeśli chcę grać z nimi w tę grę. Nie ma innego wyjścia. Każdy na moim miejscu by przyjął. Gdybym odmówił, zaczęliby dopytywać. Na pewno coś podejrzewają i staliby się jeszcze bardziej czujni. Może mnie w ten sposób sprawdzają.

Agata kiwa głową.

– Masz rację, tak będzie rozsądniej. I może tobie też uda się zdobyć jakieś dowody, dadzą ci pewnie dostępy do budżetów. Będiesz miał szerszy ogląd. Właśnie, pokaż mi wreszcie tę stronę.

Pracowałem nad nią, odkąd wróciłem do mieszkania ze Złotych Tarasów. Wrzuciłem na WordPressa wszystkie pliki, które poprzednio przekazała mi Agata. Wmurowałem tym samym kamień węgielny pod konstrukcję, w której schronimy się przed Światłem. Bunkier ze ścianami z obrazów i słów. Widać już ich zarys, jest już co poczytać.

– Jasne.

Włączam przeglądarkę, loguję się na konto na WordPressie. Odwracam ekran komputera do Agaty.

– Masz coś do pisania? Dam ci login i hasło.

Sięga do torebki, podaje mi długopis. Szybko zapisuję, co trzeba, na odwrocie rachunku ze sklepu, który znalazłem w kieszeni. Dziewczyna przygląda mu się i uśmiecha.

– Nazwa wegeburgera! – Chowa karteluszkę razem z długopisem.

Puszczam do niej oko.

Agata szybko przegląda moje dzieło. Od razu wchodzi na podstronę „Kim jesteśmy”.

– Pusto? – dziwi się.

– Nie wiedziałem, co napisać – przyznaję. – Ale teraz to chyba najmniej ważne.

Rozglądam się po sali. Znudzony barista czyta coś na ekranie telefonu, pod oknami szczebioczą dwie młode parki, wąsaty hipster powoli pisze na laptopie z obudową upstrzoną kolorowymi naklejkami. Nudny obrazek, wczesne popołudnie w śródmiejskiej kawiarni. Nikt nie wygląda na szpiega wysłanego przez LuceLume, hakera usiłującego włamać się do mojego netbooka za sześćset złotych. My też nie wyglądamy na osoby, które zastawiają właśnie pułapkę na zbrodniczą korporację.

Przeoglądam pliki, które przyniosła Agata. To w większości screenshotsy korespondencji Johana. Trochę po polsku, w większości jednak po angielsku.

– Kojarzysz jego rozmówców?

– Tylko niektórych. Na przykład tutaj. – Agata wskazuje na obraz, który właśnie wyświetla się na ekranie. – Pisze do naszego CEO, widzisz? Mimo że temat dotyczy Huoyan House.

W wysłanej wiadomości Johan Kellerman upewnia się, czy zwiększyć liczbę uczestników konkursu ze stu do stu czterdziestu czterech. Rozmówca potwierdza. Określenie „uczestnicy” zastępuje innym: „ofiary”. Mejla kończy uśmiechniętą emotikoną.

Na kolejnym screenie Johan pisze, że okej.

Takich screenów jest kilkadziesiąt. Uwieczniają korespondencję o bieżących biurowych sprawach, wyceny działek i nieruchomości, ale też rozważania, z którym ekspertem od pirotechniki warto się zawczasu skontaktować oraz jak prasa zareaguje na eufemistycznie ujmowane „wyniki konkursu”. Wyobrażam sobie, ile nerwów kosztowało Agatę zdobycie tego materiału. Wyobrażam sobie miny decydentów z LuceLume, gdy zobaczą te rzuty ekranu w telewizji.

Wybieramy, które pliki zamieścić na stronie. Wszystkich nie trzeba, nie ma sensu, tylko te najbardziej jednoznaczne. Selekcja zajmuje nam kwadrans.

Chcę przegrać pierwszy ze screenshotów, gdy Agata trąca mnie w ramię.

Wąsaty hipster wstaje od swojego pstrokatego laptopa i rusza w naszą

stronę. Przez krótką chwilę patrzy mi prosto w oczy, prześlizguje się wzrokiem po naszym stoliku, na moment zawiesza spojrzenie na Agacie; zdaje mi się, że dostrzegam delikatny uśmiech. Zamieram z ręką na touchpadzie, ułamek sekundy dzieli mnie od decyzji o zamknięciu komputera i wtedy hipster skręca, idzie dalej wzdłuż baru, wreszcie niknie w drzwiach do toalety.

Patrzymy z Agatą po sobie. Zaczynamy się śmiać.

Nalewam do szklanki i spokojnie wypijam kilka łyków dripa, który zdążył już przestygnąć i ma teraz kwaskowaty, rzeński smak. Jesteśmy jeszcze jedną parą przybyłą tu, by napić się dobrej kawy i popracować nad niszowym projektem, który nikogo nie obchodzi. Bez pośpiechu zamieszczamy na stronie kilkanaście screenów, podkładając kolejną bombę pod fundamenty LuceLume. Ustawiam datę publikacji na za dwa dni. Na dziś to tyle, misja wykonana.

Czuję dotyk na udzie. To Agata powoli przesuwając rękę, wyczuwam chłód nawet przez materiał dzinsów.

– Chodźmy – mówi miękko.

Znam już ten wzrok i ten tembr głosu. Z Ministerstwa Kawy jest bardzo blisko do jej kawalerki, właściwie wystarczy przejść przez podwórze. Wyłączam komputer, chowam do torby. Ubieramy się.

Za kilka chwil będziemy się w pośpiechu rozbierać.

Dociera do mnie, że inne życie nie istniało. Jeśli nawet, nie było życiem.

8

Milczymy przez dłuższą chwilę, mierząc się wzrokiem jak dwa wilki. To Adam Sommer pierwszy odpuszcza i odsłania w uśmiechu równe białe zęby.

– Cieszę się, że się zgadzasz, Szymon – mówi.

Uśmiecha się również Anna. Mam wrażenie, że całkiem szczerze jej ulżyło.

– Wiedziałam, że się zgodzisz.

Adam wstaje, wyciąga do mnie rękę. Ściska mi dłoń niespodziewanie mocno, to nie pasuje do jego postaci.

– Witamy nowego szefa kreacji Regnum Lucidum.

– Umarł król – dodaje Anna. – Niech żyje król.

Śmieją się oboje. Staram się zachować pogodny, przyjazny wyraz twarzy.

Wczoraj widziałem na własne oczy zrzuty ekranu z mejlami, w których Adam zgadzał się na wykorzystanie mojego hasła o arteriach w filmie przygotowywanym dla LuceLume przez kogoś nazwanego „vlam”; z kontekstu nie wynikało, czy to pojedynczy człowiek czy grupa ludzi. Adam wyrażał nadzieję, że film samoistnie „uderzy w viral” i nawet nie trzeba go będzie dodatkowo promować. Kopia tej wiadomości zaadresowana była także do Anny. Moi szefowie wiedzieli o wszystkim od samego początku.

– Jesteś zadowolony z warunków?

– Tak – mówię. – To dobra propozycja.

Anna podaje mi do podpisania aneks do dotychczasowej umowy. Na jego mocy moje wynagrodzenie wzrasta o niemal trzydzieści procent. Jeszcze niedawno nawet nie marzyłem, żeby ktoś na tyle wycenił moje umiejętności.

Pobieżnie przeglądam obie kopie aneksu. To krótki i zwięzły dokument, zawiera tylko dwa jasno sformułowane punkty. Oprócz kwoty wynagrodzenia zmienia się zakres obowiązków, dochodzi koordynowanie

pracy zespołu kreatywnego; pozostałe punkty dotychczasowej umowy zachowują ważność. Sięgam po długopis, żeby złożyć autograf.

Niespodziewanie powstrzymuje mnie Adam – delikatnie, ale stanowczo łapie mnie za rękę.

– Jeszcze drobiazg – mówi. – Nowe NDA.

– To tylko formalność. – Anna uśmiecha się przeprasząco. – U nas każdy na stanowisku managerskim parafuje nową umowę poufności.

– Jasne. – Kiwam głową.

Podają mi gęsto zadrukowaną stronę. Na pierwszy rzut oka nie różni się mocno od NDA, które podpisywałem, rozpoczynając współpracę.

– Chcesz to sobie na spokojnie przeczytać?

– Ufam wam.

Prześlizguję się wzrokiem po zapisach mówiących, że zobowiązuję się zachować w tajemnicy wszelkie wrażliwe dane firmy, ze szczególnym uwzględnieniem wewnętrznej korespondencji. Nie użyję informacji poufnych niezależnie od tego, czy projekty, których dotyczą, zostaną zrealizowane czy nie. „W razie naruszenia obowiązku nieujawniania informacji poufnej drugiej stronie przysługuje prawo żądania kary umownej”. Wpisanej w pole obok kwoty nie uzbierałbym przez najbliższą dekadę. Wiem, że Adam przygląda mi się z tym swoim półuśmiechem.

Wzruszam ramionami i składam podpis na obu kopiach umowy, tuż obok zamasztych autografów CEO. Podaję mu jeden egzemplarz.

Mogę już podpisać aneks do umowy o współpracy. Robię to błyskawicznie. Żadnego drzenia, żadnych zawahań, żadnych oznak słabości.

– A więc to już oficjalne – mówi Anna.

– Na to wygląda.

Wczoraj wieczorem leżałem na łóżku w mieszkaniu Agaty i przyglądałem się, jak płomyk świecy odbija się w krzywiznie pustego kieliszka po winie. Dziewczyna leżała obok i wodziła dłonią po mojej klatce piersiowej, zamyślona kreśliła palcem jakieś wzory, kaligrafowała tajemne znaki. Idiotycznie starałem się utrzymać napięte mięśnie brzucha, jakby nigdy nie widziała mnie zupełnie zatraconego w cielesności, gdy jakiegokolwiek pozory przestają się liczyć.

– To dobrze, że dają ci awans – powiedziała. – Wyżej wejdiesz, więcej zobaczysz.

– I sam bardziej wystawię się na widok. O to im chodzi.

Położyła głowę na moim ramieniu. Płomyk świecy odbijał się teraz także w jej oczach, w tej chwili bardziej brązowych niż zielonych.

– Szymon, wiesz już, co to za ludzie. Oni nie zawahają się przed niczym. Wstawiają emotki w mejlach, gdy szacują liczbę ofiar eksplozji. Czasem mam wrażenie, że nie do końca to do ciebie dociera.

– Bo to prawda – przyznałem. – Wciąż mi się wydaje, że to wszystko tylko się śni. Zamachy, spiski. To nie jest prawdziwe. Ty nie jesteś prawdziwa.

Agata podniosła się, podparła na łokciu. Wiem na pewno: jak długo bym nie żył, układ miękkich łuków jej ciała będzie wracać do mnie w snach. Widziałem, że podoba jej się sposób, w jaki na nią patrzę.

– Nie, Szymon. Właśnie tylko to jest prawdziwe – powiedziała. – Tylko oni, ty i ja.

Położyła głowę na moim ramieniu.

– To najdziwniejsza bajka świata – mruknąłem.

Adam Sommer patrzy w ekran komputera, chyba coś czyta. Pewnie dostał mejla. Może ktoś się niecierpliwi. Może ktoś chce wiedzieć, jak Królestwo Światła sobie ze mną poradziło.

– Zależało nam, żebyś jak najszybciej przejął nadzór nad waszym teamem – mówi. – Niedługo ruszymy z kampanią, o której wam wczoraj wspominałem. Jeszcze za wcześnie, by was briefować, ale mogę zdradzić, że będą to działania na skalę, jakiej do tej pory chyba nie podjęła się w Polsce pojedyncza agencja.

– Powiedz coś więcej. – Uśmiecham się.

– To będzie kampania, która dosłownie przekształci przestrzeń miejską. Wydarzenie, o którym będzie się mówić latami. Warszawa Hardkor, to robocza nazwa.

Czuję, że przechodzi mnie dreszcz.

Agata wsunęła się na mnie powoli i miękko. Nowa fala podniecenia porwała

precz zmęczenie. Poczułem, jak przyśpiesza mi tętno.

– My też piszemy tę bajkę – powiedziała. – Zabiją nas oboje, ale to nie znaczy, że nie pociągniemy ich ze sobą.

Położyłem ręce na jej biodrach.

– Od jutra będziesz jednym z nich – mówiła dalej. – Wejdiesz między wilki jak do siebie. Bo ty też jesteś wilkiem, Szymon. Nie dasz się zjeść jak bezbronne zwierzę. Zdobędziesz dowody, lepsze i mocniejsze niż ja. Patrz im na ręce, patrz im w oczy.

– Kąsaj ich – dorzuciła.

Patrzę w oczy Adama Sommera.

– Warszawa Hardkor – powtarzam za nim. – Ładnie. Dźwięcznie. Nie mam pojęcia, co to będzie, ale czuć w tych słowach moc. Czuć, że to będzie potężne. Że wyznaczy trendy. – Pauzuję na chwilę, uśmiecham się szeroko. – Pożar Warszawy oświetli drogę tym, którzy przyniosą nowe dni.

Uśmiech na chwilę znika z twarzy CEO. Widzę w jego oczach zdziwienie. Ucieka spojrzeniem, na krótki moment zatrzymuje wzrok na podpisanych dopiero co dokumentach. Gdy znów patrzy na mnie, chyba widzi już kogoś innego. Rozumiem: aż do tej pory CEO nie wiedział, że obejrzałem drugie nagranie. Światło nie przewidziało tego w rozpisanej dla mnie roli, nie na tym etapie scenariusza. To zawahanie, poluzowanie się maski na twarzy trwa krótką chwilę, ale wystarcza, żebym poczuł się pewniej.

Anna zapowiada, że zaraz oficjalnie ogłosi mój awans w firmie. Chyba nie zrozumiała, co się między nami wydarzyło, nie zdołała odczytać tej sytuacji. To dla mnie także cenna informacja. Wychodzę z pokoju i czuję, że Agata po raz kolejny miała rację.

Ja też jestem wilkiem.

Zastanawiam się, czy potrafiłbym wiarygodnie opisać Piotra, gdyby poprosił mnie o to ktoś, kto go nigdy nie poznał. Czy byłbym w stanie powiedzieć o nim cokolwiek więcej niż kilka niezbyt rozbudowanych zdań. Cokolwiek, co charakteryzowałoby tylko i wyłącznie jego. Czy rozpoznałbym go, patrząc na portret pamięciowy sporządzony na podstawie moich własnych zeznań. Nie sądzę.

Profil Piotra zniknął z Facebooka. Przez chwilę podejrzewałem, że może on także mnie zablokował, ale nie – korzystając z okazji, że na czacie odezwała się do mnie Dorota, proszę ją, by wpisała w wyszukiwarke jego imię i nazwisko. Niespodzianka: Piotr się nie pojawił. Nie znajduję go też na LinkedIn ani w Google Plus.

Może uznał, że ma tego wszystkiego dość – pisze Dorota. – Może na jakiś czas odciął się od social media, od internetu.

Pewnie tak – odpisuję.

Szukałem go w Google'u, wychodząc z założenia, że któryś z branżowych portali, czujnie śledzących transfery pracowników między agencjami reklamowymi, musiał odnotować zatrudnienie go na stanowisku szefa kreacji w Regnum Lucidum. Bezskutecznie. Jakby Piotr w ogóle nigdy nie istniał, a przynajmniej nigdy nie pracował w marketingu. Przemknęło mi przez myśl, że może w Królestwie podpisywał się pseudonimem, ale to mało prawdopodobne – niby czemu miałyby tak robić? W telefonie mam zapisany tylko jego służbowy numer; postanawiam zapytać jutro o prywatny moich nowych podopiecznych.

On odszedł z firmy tak nagle? – pyta Dorota.

No, nic tego nie zapowiadało.

Dziwna trochę historia. Kolejna dziwna z tej agencji...

Ano :)

Ale z drugiej strony – zrobił Tobie miejsce. Jak w ogóle koledzy z zespołu zareagowali na Twój awans?

Przez dłuższą chwilę zastanawiam się, jak najcelniej streścić i podsumować dzisiejsze reakcje Zuzy i Cypriana. Nie przychodzi mi do głowy nic lepszego niż:

Właściwie to nijak.

Kilka minut po mojej rozmowie z Adamem za zamkniętymi drzwiami szefowie weszli do pokoju działu kreacji.

– Mam dla was komunikat – powiedziała Anna.

Cyprian popatrzył na nią z uprzejmym zainteresowaniem, Zuza zaś chyba trochę się wystraszyła – zjechała niżej na krzesło, jakby instynktownie chciała się schronić za murem z ogromnych monitorów. Dziś znów przyszła do pracy ostentacyjnie skacowana i nawet dobrotliwy niedźwiedź skrzywił się, mówiąc, że przesadza.

– Uznaliśmy, że nie pozwolimy wystygnać krzesła Piotra. – Anna wskazała na puste biurko. – Szczęśliwie udało nam się przetrwać czas bezkrólewia w kreacji, ale teraz chcę wam przedstawić nowego szefa działu.

Cyprian odruchowo spojrział na drzwi, spodziewając się najwyraźniej, że dołączy do nas ktoś nowy. Anna zauważyła to, pokręciła z uśmiechem głową.

– Od dziś tę funkcję będzie pełnił Szymon.

Zapadła cisza.

– No, co jest, brawa dla Szymona. – Adam zaklaskał w dłonie. Zaraz dołączyła do niego Anna, wreszcie kilka razy klasnęli też graficy. Scena wydawała się mocno surrealistyczna.

– Gratulacje, typie – powiedział Cyprian. – To się nazywa błyskawiczna kariera. Blitzkrieg normalnie. Już ci współczuję użerania się z nami.

– Nie wiem, czy możemy dalej razem obiady jeść – zażartowała Zuza, ale takim tonem, że nikt się nie zaśmiał.

Anna poprosiła grafików o wsparcie dla nowego szefa, zapowiedziała też,

że niedługo spróbujemy rekrutować nowego copywritera. Przeprosiła, że przygotowania do rozpoczęcia nowego projektu przeciągają się tak długo, przez co wciąż nie może dać nam nic ciekawego do roboty. Ustaliliśmy już wszyscy razem, że korzystając z wolnych mocy przerobowych, graficy przygotowują nowy layout dla naszej firmowej strony internetowej, bo obecny jest gorzej niż ubogi. A potem każdy znów wbił wzrok w swój monitor i tak naprawdę nic się nie zmieniło.

To i tak nieźle – pisze Dorota. Przynajmniej bez jawnej wrogości.

Co prawda Zuza patrzyła na mnie jak na zwłoki w stanie zaawansowanego rozkładu, ale dziś patrzyła tak na wszystko. Zastanawiałem się, kiedy wstanie, żeby pójść do łazienki i w końcu wymiotować.

Zobaczmy, jak się to jeszcze rozwinie :)

Dorota nie odzywała się w ogóle od naszego spotkania w Café Chmiel, a jednak rozmawia nam się teraz bardzo naturalnie, jakby nigdy nie doszło do nieudanej randki, po której milczenie z jej strony było całkowicie zrozumiałe. Nawiązanie kontaktu odbieram jako bezsłowny sygnał, że chce po prostu utrzymywać ze mną zwyczajną, kumpelską relację.

Rozmowa z Dorotą jest jak wehikuł czasu. Jej wypowiedzi na czacie pochodzą z coraz trudniejszego do przypomnienia sobie świata, w którym wszystko dawało się wyjaśnić i mniej lub bardziej opornie, ale zawsze zrozumieć. Czuję absolutną pewność, że w alternatywnej rzeczywistości, tylko minimalnie przesuniętej względem naszej – w rzeczywistości, w której nigdy nie przydarzyło mi się Królestwo Światła i nie poznałem Agaty, a zamachy w Warszawie są niczym więcej jak tematem newsów i medialnych spekulacji – zaczynamy się z Dorotą spotykać i wkrótce zostajemy zgodną parą. Może nawet układamy sobie razem przyszłość, tak na poważnie, jak dorośli, przyszłość, której miarą są lata, a obecność drugiej osoby wydaje się oczywistością. W tej odnodze uniwersum nie muszę rozważać, czy pracodawcy naprawdę planują mnie zabić.

Gdyby jednak Dorota przesłała mi załącznik z biletem na podróż do tego

innego wymiaru, skasowałbym go bez otwierania.

Tymczasem rozmawiamy, teraz ona opisuje mi pierwsze dni w nowej pracy, wydawnictwie specjalizującym się w literaturze dziecięcej. Dobrze się tam czuje i nie żałuje wyboru, choć wcale nie zarabia lepiej niż w Crème de la Creation. Ma świetny dojazd, w dodatku od razu dostała umowę o pracę na czas nieokreślony i zaczyna całkiem poważnie zastanawiać się, czy nie kupić mieszkania. Nieszczęśliwie mnie to interesuje.

Rozmawiamy, wymieniamy komunikaty.

Piotr wciąż nie istnieje.

Zaświaty wyobrażam sobie jako nieskończenie wielki portal internetowy, którego jedyną treścią są strzępy opowieści o ludzkich żywotach, zagubione wśród terabajtów informacyjnego szumu. Trafi tam każdy, kogo spotkam na swej drodze. Niech nasze drogi się skrzyżują, a prędzej czy później zamienisz się w cyfrowe widmo, bezkształtny konstrukt utkany z newsów do kliknięcia.

Oj, Janku, Janku. Mógłbyś siedzieć teraz w swoim pokoju, popijać piwo i wrzucać na Facebooka kolejne linki do hiphopowych teledysków. Mógłbyś oglądać jakiś gamingowy kanał na YouTube. Mógłbyś spokojnie sobie żyć, jak wcześniej, nie obchodząc zupełnie nikogo.

Artykuł w dziale lokalnym pyta: PRZEŁOM W SPRAWIE MORDERSTWA EWELINY KULICZKI? Tak naprawdę materiał to w większości kompilacja innych publikacji, posklejane przekopiowane akapity, recykling treści. Nowy jest tylko sam początek.

Czy samobójstwo Jana Pietruszyńskiego, dwudziestosześcioletniego mieszkańca Warszawy, którego ciało znaleziono przed kilkoma dniami w mieszkaniu na Żoliborzu, wiąże się z głośną sprawą zaginięcia i morderstwa Eweliny Kuliczki? W toku postępowania ustalono, że Pietruszyński znał Kuliczkę osobiście, pracowali razem w jednym z warszawskich call center. Po zaginięciu dziewczyny sam zgłosił się na przesłuchanie na policję, miał też brać udział w poszukiwaniach. Jak się nieoficjalnie dowiedzieliśmy, w jego komputerze znaleziono folder zawierający kilkadziesiąt zdjęć zamordowanej. Zdjęcia dziewczyny, najpewniej wykonane z ukrycia, znajdowały się też w jego telefonie. Policja i prokuratura odmówiły komentarza. Jan Pietruszyński zginął dzień przed odnalezieniem zwłok Eweliny Kuliczki. Trwa dochodzenie w sprawie okoliczności jego zagadkowego samobójstwa.

Poniżej przypominane są już tylko najważniejsze fakty dotyczące zaginięcia Eweliny. Wciąż nie wiadomo, kto ją uwięził i zamordował. Nieznane pozostają motywy sprawcy. Wyłączam głośną reklamę, która uruchomiła się, gdy przewinałem stronę niżej, i odważnie nurkuję w bagno komentarzy.

Jaco90 pisze:

dla mnie to oczywiste że sprawa sięga jakichś bardzo wpływowych ludzi pewnie polityków i wielkiego biznesu. Komuś zależy żeby śledztwo nic nie wykazało. Ten biedak pewnie za dużo węszył i za blisko już był prawdy.

IrekK zauważa, że:

ej sorry ale ten gość na zdjęciu wygląda jak skończony debil.

Mary_Jane jest podejrzliwa:

Bardzo dziwna historia. Chłopak chyba miał jakąś obsesję na jej tle, skoro zbierał jej zdjęcia. Sam zgłosił się na policję, niby pomagał w poszukiwaniach... Równie dobrze mógł mataczyć.

W odpowiedzi na jej komentarz lord_kalafior znajduje racjonalne wyjaśnienie:

hehe no wolał do zdjęć konia walić niż lecieć z pamięci :)

Mary_Jane w kolejnej wypowiedzi sugeruje mu, że jest idiotą.

Głos zabiera także GallAnonim:

Pisaliście że ciało Jana Pietruszyńskiego znaleziono w obcym mieszkaniu. Tak samo było z Eweliną Kuliczką. Ludzie nie idą sobie ot tak do nie swojego mieszkania żeby tam umrzeć, do jasnej cholery! To przecież jasne że nie było żadnego samobójstwa tylko są dwa morderstwa ale policja się do tego nie przyzna bo i tak już się kompromituje. Na co idą podatki no na co? Na nieudaczników w mundurach którzy od tygodni nie potrafią powiedzieć kto wysadził się na metrze! W jakim my żyjemy kraju?!!!

Barry jest pewny, że:

*Proste, popatrzcie na tego knura a potem na Kuliczkę. Gruby wiedział, że jedno co może, to popatrzeć na fotki... chyba że siły użyje. Coś poszło nie tak. A potem sumienie gryzło, to się powiesił. I dobrze, ch*j mu na drogę.*

Oj, Janku. Przecież wiem, że chciałeś dobrze.

A może go nie doceniałem? Może pod maską pociesznego imbecyla krył się uważny obserwator? Janek był upartym osłem, to na pewno. Ale też nie sposób mu odmówić intuicji. Gdyby w mieszkaniu, do którego zawiózł ode mnie Ewelinę, nie działo się nic złego, nie skończyłyby tam z głową w pętli z kabla. Mógł mnie posłuchać, zostać w domu, machnąć na wszystko ręką.

Przypominam sobie, że dziś odbył się pogrzeb Eweliny. Dwa dni temu Gosia wysłała mi informację z godziną ceremonii i adresem kościoła. Nie odpisałem jej.

Ewelina lubiła pogrzeby. Twierdziła, że to fascynujące obserwować ludzi, członków dalszej rodziny, udających smutek i powagę, a w rzeczywistości wyczekujących tylko na koniec pochówku i stypę. Pogrzeby są najbardziej teatralne ze wszystkich katolickich rytuałów, mówiła. Powinniśmy brać w nich udział w maskach. Lubiała też pogrzebowe pieśni, jako dziecko zaszokowała rodzinę, śpiewając przy choince *Anielski orszak* zamiast kolędy. No i kwiaty, oczywiście. To tak szczerze ludzkie, mówiła, kłaść kwiaty na grobie. Ponoć już w grobach neandertalczyków znaleziono pyłki kwiatowe.

Dziś miałaś okazję obserwować bardzo wiele twarzy, Ewelinko. Mam nadzieję, że ksiądz nie fałszował. Jestem pewien, że twoja mogiła utonęła w kwiatkach.

Patrzę na zdjęcie Janka. Uśmiecha się łagodnie, wyrośnięty dzieciak. Próbuję wyobrazić go sobie, jak wnosi pobitą do nieprzytomności Ewelinę do pustego mieszkania, wiąże i zostawia na pewną śmierć. Wcześniej robi jej jeszcze ostatnie zdjęcia. Nie jestem w stanie utrzymać tego obrazu przed oczami, drży i niknie w szumie.

Oczywiście, zdaję sobie sprawę, co nowe wiadomości o Janku oznaczają dla mnie: wielce prawdopodobne kolejne przesłuchanie. Wzdycham. Zamykam laptopa; nie mam teraz czasu dla duchów.

Niegdyś świat był miejscem dalece mniej skomplikowanym. W obliczu zagrożenia człowiek stawał przed prostą alternatywą: ucieczka albo walka. Adrenalina uderzała do głowy, wyboru należało dokonać w ułamku sekundy. Realne niebezpieczeństwo groziło wówczas przede wszystkim ze strony dzikich zwierząt oraz innych ludzi. Dawało się z grubsza przewidzieć. Wystarczyło przeżyć kilkanaście lat, aby wyrobić sobie sprawdzone schematy zachowań i nauczyć się bezbłędnie szacować zagrożenia. Walka o przetrwanie szybko stawała się rutyną.

Gdy myślę o mojej sytuacji, kaskadowo rozwija się obszerna lista możliwych zachowań. Cursor myszy przesuwają się nad nimi jak natrętna mucha, kreśli nerwowe kółeczka, a żaden wybór nie wydaje się właściwy.

Dzień w Królestwie trwał dziś wieki, godziny wlokły się jedna za drugą jak wagony na przejeździe kolejowym. Chyba nigdy w dotychczasowej karierze nie zdarzyło mi się, żebym przez trzy kolejne dni robocze nie otrzymał żadnych zadań do wykonania. Przeglądałem newsy, celowo zaglądałem do najbardziej absurdalnych zakątków internetu, wyszukiwałem idiotyczne hasła w Google'u; jeśli jestem śledzony, niech monitoring ma się czym zająć. Pod koniec dnia na mejla spłynęły raporty od Zuzy i Cypriana. Też nie zrobili dziś wiele. Dystans, z jakim traktowała mnie zielonowłosa graficzka, jeszcze wzrósł, chyba nie powiedziała do mnie żadnego słowa, które nie było niezbędne. Na dłuższą metę taka atmosfera w pracy byłaby nie do zniesienia.

Już na Granicznej, zamykając za sobą drzwi na klatkę schodową, pomyślałem, że z całego serca nie chcę spędzić w Regnum Lucidum ani jednego dnia więcej. Chwilę potem zajrzałem do skrzynki pocztowej. Przesyłka już na mnie czekała. Znajoma nieopisana koperta, list znikąd.

Patrzę na arkusz. To znów wydruk zdjęcia. Mężczyzna leży na wznak na ziemi usianej odłamkami gruzu, tuż obok wyrasta betonowy słup ażurowy. Mężczyzna ma na sobie ciemną kurtkę, jego ręce i nogi rozrzucone są pod

dziwnymi kątami, jakby spadł z dużej wysokości. Wokół gładko ogolonej głowy, niczym aureola, rozlewa się ciemna plama.

– Piotr – mówię na głos.

Identyczne słupy ażurowe dźwiżyły zadaszenie hal przemysłowych w Fabryce Domów. Pamiętam je wyraźnie, rzucały się w oczy, gdy przeglądałem fotografie.

Odwracam kartkę. Znajome równe litery.

Bardzo nie lubię braku zaufania. Tak to się kończy.

Odkładałam wydruk na półkę. Siadam w fotelu, ale po chwili wstaję, idę do kuchni. W lodówce powinna się jeszcze uchować puszka piwa. Rzeczywiście, stoi na półce na drzwiach. Otwieram. Jest lodowate jak śmierć. Najlepsze.

Analizuj, Szymonku. Pierwsza z opcji – ucieczka. Dokąd niby? Do matki, z którą widuję się tylko przy okazji ważniejszych świąt? Za granicę? Teoretycznie mógłbym kupić bilet na lot dokądkolwiek, niedrogo, w ofercie last minute, wybrać z konta wszystkie pieniądze i zniknąć. Wystarczyłoby mi na kilka tygodni biedowania w hostelu, ale co dalej? Co może robić za granicą polskojęzyczny copywriter?

A więc jednak walka? Tekst o braku zaufaniu to oczywiste odniesienie do strony internetowej, o której Światło w jakiś sposób się już dowiedziało. Są cały czas krok przed nami. W pewien sposób ta groźba z ich strony jest dobrą wiadomością, znaczy bowiem tyle, że Światło boi się ujawnienia prawdy. Uciekają się do zastraszenia, a więc z jakichś względów jeszcze nie mogą uciszyć mnie w inny sposób.

Tknięty złym przeczuciem wracam do pokoju. Wiedzą, gdzie mieszkam i w jakich godzinach przebywam w biurze. Skoro mogli mi wykonać zdjęcie dronem, skoro dysponują ogromnymi środkami, nie byłoby dla nich problemem dyskretne włamanie do mieszkania pod moją nieobecność. Poprawiam zasłony w oknie, dla pewności gaszę jeszcze światło. Po ciemku otwieram skrzynię łóżka, wyczuwam w pościeli chłód plastikowej obudowy. Jest, śpi sobie grzecznie. Wyjmuję netbooka, idę z nim do łazienki. Uruchamiam go i łączę się z internetem mobilnym. Loguję się na konto na WordPressie. Oddycham z ulgą – wszystkie materiały pozostały na swoim

miejscu. Data publikacji strony wyznaczona jest na jutro. Powiniennem przesunąć ją o kolejny dzień. Waham się, czy nie opublikować wszystkiego natychmiast. Baza wysyłkowa nie jest jeszcze kompletna, ale przy odrobinie szczęścia nawet zwyczajny post na Facebooku, wypromowany za kilkaset złotych, mógłby dotrzeć do grona odbiorców szerokiego na tyle, żeby przedostać się do mediów.

Wiem jednak, że jeszcze mi nie wolno, nie bez konsultacji z Agatą. Zbyt łatwo przychodzi mi wyobrażenie sobie scenariusza, w którym jej kawalerkę odwiedza w środku nocy trzech wynajętych zbirów. Strona musi jeszcze chwilę poczekać. Bomba została podłożona, zapalnik jest uzbrojony. Ważne, żeby detonacja nastąpiła w odpowiedniej chwili, gdy sami będziemy daleko, a eksplozja naruszy fundamenty.

Zamykam netbooka, chowam z powrotem w łóżku. Włączam światło w pokoju, siadam przy biurku, uruchamiam stary komputer. Przyglądam się routerowi migającemu przyjaźnie zielonym światełkiem. To tędy wróg przedostał się do mojego życia. To przez ten wyłom Światło zagląda mi przez ramię. Dlatego netbook musi pozostać w cieniu.

Spokojnie otwieram Facebooka. Widzę, że Wika jest dostępna na czacie. Zagaduję ją:

Hej, laska! Szybkie pytanie.

Po chwili wyświetla się odpowiedź:

No siema, co jest?

Zrobisz coś dla mnie, gdyby mnie zakatrupił jakiś psychol?

Znowu Ci jakieś zjeby wysyłają pogróżki? Czy okazało się, że ta chuda ruda ma zazdrosnego ex?

Znowu zjeby.

Ech, typie, to już wtedy nie były żarty. Idź z tym na policję...

Spokojnie, to przecież jakaś gimbaza. Nikt mi nic nie robi. Po prostu mnie przez to wszystko nachodzi jakieś wiesz, memento mori. Więc jak mówiłem, mam prośbę.

Dawaj.

W razie czego zrób z mojego zdjęcia mema. Poproszę o napis: Zabawa skończona, nie ma już Szymona.

Po dłuższej chwili ciszy przychodzi wiadomość:

Teraz dopiero naprawdę się martwię, to może być rak poczucia humoru.

No weź.

Wyobrażam sobie, że umierasz, ktoś wywołuje Twojego ducha, a Ty napieprzasz z zaświatów suchary przez ten talerzyk z literkami.

Wysłałam roześmianą emotikonę.

Tak by było.

A generalnie jak tam? W porządku? Trzymasz się jakoś?

Tak, dzięki. Z naciskiem na jakoś.

Zbieram się na trening zaraz. Jak chcesz pogadać czy coś, daj znać, albo wbijaj do mnie po prostu. Jutro czy tam kiedy.

Pewnie, dzięki! W kontakcie!

Nara!

Router puszcza do mnie zielone oko. Uśmiecham się. I co wy na to, skurwysyny? Wracam do kuchni, na blacie stoi porzucone piwo. Widzę w oknie własne odbicie, podnoszę puszkę.

Za Piotra.

Szesnastego lipca 1945 roku, na krótko przed wschodem słońca, skalistą pustynię w Nowym Meksyku zalało oślepiające światło. Temperatura gwałtownej eksplozji, przez ułamek sekundy wielokrotnie wyższa niż na powierzchni Słońca, stopiła skały i piasek; później okazało się, że całe epicentrum pokryła połyskliwa glazura zielonkawego, radioaktywnego szkliwa. Fala uderzeniowa przetoczyła się z furją nieznaną dotąd ludzkości przez rozległą okolicę, nazwaną jeszcze przez konkwistadorów Jornada del Muerto, czyli Drogą Umarłego. Szyby zatrzęsły się w miejscowościach oddalonych o ponad trzysta dwadzieścia kilometrów, a charakterystyczna chmura pyłu w kształcie grzyba dosięgnęła dolnych warstw stratosfery. Całe to upiorne misterium obserwowali za pomocą systemu kamer najwybitniejsi fizycy, najtęższe umysły ówczesnej ludzkości, połączone wspólnym wysiłkiem pracy nad bronią atomową.

Legenda głosi, że jeszcze dnia zero, tuż przed detonacją, zgromadzeni w podziemnym schronie późniejsi laureaci Nobla wcale nie byli przekonani, że sztucznie wywołana reakcja łańcuchowa w ogóle się zakończy. Innymi słowy, przynajmniej część z nich dopuszczała scenariusz, w którym na sekundy po wciśnięciu czerwonego guzika wyparują nie tylko oni sami, nie tylko cały Nowy Meksyk, Stany Zjednoczone i planeta Ziemia, ale też najdosłowniej cała istniejąca materia. Mimo głosów sprzeciwu próby nuklearnej nie zaniechano. Ważniejsza od obawy o losy wszechświata okazała się chęć pokonania wroga.

Siedzimy w Starbucksie na Mokotowskiej. Patrzą na Agatę i próbuję dobrać odpowiednie słowa, ułożyć z nich solidne, przekonujące zdania, które by przemówiły jej do rozsądku. Ale wiem, że nie posłucha mojego głosu sprzeciwu. Czuję się bezradny. Nie stać mnie na nic lepszego niż:

- Dajmy sobie jeszcze chwilę. Jeden dzień. Tylko tyle. Zastanówmy się. Agata kręci głową.
- Musimy to opublikować. Natychmiast. Teraz.

– Nie.

Wśród dokumentów, które w ostatnich tygodniach przepłynęły przez skrzynkę mejlową Johana, znajduje się między innymi wzór umowy z aktorem radiowym, który miał przeczytać zadany tekst, stojąc tyłem do kamery. To umowa o dzieło, sugerowana kwota honorarium za nagranie łącznie czterech minut materiału wynosi tysiąc złotych brutto. Z historii korespondencji wynika, że do umowy dołączono aneks o poufności. Na wątpliwości Johana, czy aktor wytrzyma presję i po wszystkim nie zgłosi się na policję, rozmówca odpowiada, że w tym środowisku nie brakuje niespełnionych artystów, którzy spędzają wieczory z flaszką, a gdy w końcu psychika pęka, wieszają się w łazience. Był tylko aktorzyzna stawiał się na nagranie.

– Szymon – mówi miękko Agata. – Nie możemy czekać. Tu już nie ma na co czekać.

– Spokojnie. – Staram się panować nad głosem. – Przygotujmy jakiś plan. Wyjdźmy z tego żywi, dziewczyno.

Do innego mejla załączono dwa pliki: szczegółową analizę planów stacji metra Świętokrzyska oraz raport Zarządu Transportu Miejskiego o natężeniu ruchu. Zamachowiec – o którym pisano per „figurant” – miał otrzymać bardzo dokładne instrukcje, w którym miejscu na peronie umieścić ładunek, aby razić jak najwięcej osób.

– Zabiją nas tak czy inaczej. Zobacz jeszcze raz.

W kolejnej rozmowie Adam Sommer i Johan zastanawiali się, czy naprawdę warto organizować spotkanie w biurze Regnum Lucidum. Adam podtrzymywał, że lepiej przekonać Piotra i zwłaszcza nowego copywritera, iż podobieństwo hasła z billboardu do wypowiedzi aktora z filmu jest zupełnie przypadkowe – nie wiadomo, jak zareagują, jeśli zaczną podejrzewać, że to nie koincydencja. O ile Piotra trzyma w garści Anna, o tyle nowy może być potencjalnie niebezpieczny. Na pytanie Johana, czy copywriter nie mógłby po wykonaniu zadania zniknąć, Adam odpowiedział, że chyba ma lepszy pomysł, o którym opowie mu w cztery oczy. Prosił, żeby na spotkanie koniecznie przyszła Agata.

– Od samego początku nami manipulowali. – Agata z trudem panuje nad emocjami. – Byliśmy im potrzebni, Szymon. Byliśmy narzędziami. Ta szopka w waszej salce konferencyjnej została przygotowana tak naprawdę

dla dwóch osób. Dla ciebie i dla mnie.

– To czemu jeszcze żyjemy?

– Nie widzisz? Bo Sommer miał lepszy pomysł.

– Pewnie potrzebuje wiarygodnych świadków, na wypadek gdyby do naszych biur zapukała prokuratura.

Wiadomości jest oczywiście znacznie więcej i dotyczą bardzo różnych tematów. Choćby sprzedaży nieruchomości należących do LuceLume – między innymi kamienicy, w której znajduje się biuro Królestwa Światła, ale nie tylko. Firma posiada zaskakująco dużo budynków i ziemi, ten wątek wciąż się przewija. Jeśli dobrze rozumiem, planowane są też gigantyczne transakcje walutowe. Nie padają kwoty, ale nietrudno się domyślić, że prawdziwy ocean pieniędzy przeleje się wkrótce przez konta na całym świecie. Johan sugerował, żeby na potrzeby przyszłych transakcji powołać całkiem nowe spółki.

– Agata – mówię. – Nikt jak dotąd nie próbował nam zrobić krzywdy. Pomyśl o tym. Nie podkładajmy głów pod topór. Schowajmy się, dajmy sobie szansę. Nie podejmujemy żadnych kroków, dopóki nie będziemy bezpieczni. Wciąż mamy czas.

– Czas? Jeśli dobrze kojarzę, dostajesz pogróżki.

– Tak – zgadzam się. – Ale to właśnie znaczy, że LuceLume wcale nie sądzi, że koniecznie musi nas zabić. Wierzą, że można nas po prostu zastraszyć i w ten sposób uciszyć.

– Szymon, ty naprawdę nic nie rozumiesz – mówi, zaciskając usta w wąską kreskę. – Gdyby oni działali racjonalnie, nie zapowiadaliby swoich zamachów. Nie tworzyliby całej tej dziwacznej otoczki. Nie byłoby żadnych haseł na murach ani prób ściągnięcia ludzi do opuszczonej fabryki. Nie byłoby nagrań na YouTube. Im chodzi o coś więcej niż samo zabijanie przypadkowych ludzi.

– O co?

– Jeszcze nie wiem. I nie wiem, czy chcę wiedzieć.

Obracam w dłoniach pustą filiżankę po kawie.

– Wydrukujmy te mejle i anonimowo wyślijmy do prokuratury – proponuję. – Jeśli obiecują objęcie nas programem ochrony świadków, zgodzimy się na współpracę i przekazanie reszty dokumentów. Niech nas

gdzieś wywożą, zmieniają nam tożsamość, zapłacą za operacje plastyczne. Zaczniemy razem spokojne życie.

Kręci głową.

– Myślisz, że gdyby nie mieli swoich ludzi w prokuraturze, śledztwo w sprawie Świętokrzyskiej dalej stałoby w miejscu? Dzisiaj, gdy w Europie na walkę z terroryzmem wydaje się miliardy euro?

– Nie wiem.

– Te mejle nigdy nie ujrzą światła dziennego, jeśli je wyślesz do prokuratury. Już oni się o to zatroszczą. A my i tak nie dożyjemy poranka. Szymon, tu chodzi już tylko o jedno. O to, żeby jak najwięcej ludzi poznało prawdę. Te dokumenty muszą zostać upublicznione. Muszą ruszyć niezależne śledztwa. Wszystkich nie będą w stanie zatrzymać. To jedyna szansa.

– A my? Co jest naszą szansą? Kto nas uratuje? Niezależni dziennikarze?

– Jeśli chcesz mieć pewność, że nie będzie bolało, możemy razem otworzyć sobie żyły w wannie.

– I ty, i ja mamy w łazienkach kabiny prysznicowe – staram się zażartować.

Agata kiwa głową.

– Możemy też zrobić inaczej. Usuń z naszej strony wszystkie informacje o sobie. Teraz, od razu. Daj mi komputer i modem. Sama opublikuję wszystko w nocy, roześlę linki, gdzie trzeba. Ty się wszystkiego wyprzesz, powiesz, że nie masz z tym nic wspólnego. Wszystkie materiały, które znajdują się na stronie, wykraść z komputera Johana. Nie ma tam nic, co obciążałoby bezpośrednio ciebie. Może rzeczywiście nic ci nie zrobią.

– Przestań – mówię. – Tkwimy w tym razem.

– A więc opublikuj tę jebaną stronę – cedzi, patrząc mi w oczy. – Nawet jeśli zginiemy, zostaniemy zapamiętani. A świat pozna prawdę. Nie będzie więcej zamachów w Warszawie.

– Nie chcę zostać zapamiętany. Chcę żyć.

Agata wzdycha.

– Szymon, jeśli żyjemy, to dlatego, że wciąż nam na to pozwalają. Nie wiesz, ile to jeszcze potrwa. Mogą upozorować wypadek. Mogą zrobić tak, żeby wyglądało, jakbym zabiła cię we śnie, a potem popełniła samobójstwo.

O, posłuchaj, jaka ładna historyjka. Schizofreniczka morduje kochanka. Z jej dziennika znalezionej w mieszkaniu, w którym doszło do zbrodni, wynika, że do uduszenia chłopaka, z którym się od niedawna spotykała, namówiły ją głosy w głowie. Nad ranem wariatka najprawdopodobniej zdała sobie sprawę, co zrobiła, i otruła się lekami, popijając je dla pewności butelką wybielacza.

– Przestań – powtarzam.

– Kradzież danych z komputera Johana może wyjść na jaw przez jakiś przypadek. Po powrocie Johan może, szukając jakiegoś dokumentu, sprawdzić daty ostatnio otwieranych plików. Ktoś mógł zajrzeć do pokoju, gdy zgrywałam dane na pendrive'a, i donieść w międzyczasie szefom.

Nic nie mówię. Obracam w dłoniach filiżankę.

– Trzymasz w rękach broń, Szymon. Broń masowej, kurwa, zagłady. Uderz w nich pierwszy. Nie czekaj. Niszcz.

Mówię jej, że może i ma rację, ale wolałbym trzymać się póki co wcześniejszego planu. Jeśli cokolwiek nam się stanie, strona tak czy inaczej zostanie opublikowana. Nie powinniśmy tak długo przebywać w Starbucksie, lepiej się już rozejdźmy. Widzę, że jest niezadowolona, ale wiem, że bez mojej zgody nie zdecyduje się sama przyspieszyć publikacji. O to się nie boję.

Wychodzi z kawiarni jako pierwsza, na pożegnanie całuje mnie tylko w policzek, idzie prosto do drzwi, nieco zbyt energicznie. Źle oceniłem jej emocje: jest wściekła. Gdyby ktoś się nam przyglądał, uznaliby, że właśnie się ze sobą rozstaliśmy.

W pewien sposób może to właśnie się wydarzyć.

Zamykam komputer, chowam do torby. Myślę o ogniu płonącym w oczach Agaty, gdy powiedziała:

– Niszcz.

Adam Sommer pewnymi ruchami kreśli na tablicy linie. Najpierw dwie poziome, równoległe, potem dwie kolejne, przecinające je na skos. Powstaje lekko pochylona kratka. W mediach społecznościowych to symbol świętszy od krzyża. Magiczna runa, nadająca nową moc słowu, które po niej nastąpi. Na początku był hasztag, a hasztag był u Boga, i Bogiem był hasztag.

Adam odrywa marker od tablicy. Spogląda na nas, uśmiecha się. Stawia ładne, równe litery. „Warszawa”. Znów na chwilę przerywa. Pisze dalej: „Hardkor”.

– Zapamiętajcie to – mówi. – Ten hasztag zmieni internet. Ten hasztag zmieni świat.

#WarszawaHardkor.

W salce jest nas czworo: oprócz Adama i mnie za stołem z ciężkim blatem zasiadają także Anna i Cyprian.

Wczoraj wieczorem zmieniłem hasło do konta na WordPressie. Nie powinienem, wahałem się, ale to zrobiłem. Skłamałbym, mówiąc, że całkowicie wbrew sobie. Chociaż tyle mogłem. Oczywiście, Agata posiada kopie wszystkich dokumentów, które mi przekazała, dysponuje też bazą adresów do ewentualnej wysyłki dla mediów. Wcale nie potrzebuje mnie do ujawnienia sekretów Świata, nie byłbym w stanie jej powstrzymać. Rano, jeszcze zanim się na dobre obudziłem, rzuciłem się to sprawdzić – strona pozostawała niepubliczna. Przetawiałem datę publikacji o kolejną dobę. Z bijącym sercem wkleiłem w Google’a pierwsze zdania tych wykradzionych mejli, które wydawały mi się najmocniejsze, tych dotyczących Świętokrzyskiej, ale wyniki nic nie pokazały. Odetchnąłem z ulgą i poszedłem umyć zęby.

Sprawdziłbym znowu, czy nic nie opublikowała. Sprawdzałbym co godzinę, ale boję się robić to w biurze.

– Po raz pierwszy kampania digitalowa dosłownie przemieni przestrzeń miejską. To będzie coś, na co nie porwał się dotąd nikt. Najdosłowniej

dokonamy konwersji pikseli na beton i szkło.

Analizując treść jednego z wątków wewnętrznej korespondencji LuceLume, można dojść do logicznego wniosku, że korporacja sposobi się do nabycia brudnej bomby. Potrafię sobie wyobrazić detonację o siódmej trzydzieści w hali głównej Dworca Centralnego, ewakuację całego Śródmieścia, komunikaty o skażeniu radioaktywnym, zalecenia, by pozostać w domach. Potrafię sobie wyobrazić, co wygłosiłby aktor obrócony tyłem do kamery, o ile nie powiesił się jeszcze w łazience.

Adam mówi:

– Klient oczekuje od nas maksymalnej kreatywności, pomysłów świeżych jak woda z górskiego strumienia, nieszablonowego myślenia. Dlatego podejmiemy do tematu zupełnie inaczej niż zwykle. Wbrew temu, co pisze się w podręcznikach. Kochani, nie będzie normalnego briefu.

Wśród licznych załączników krążących po serwerach pocztowych LuceLume znajdowała się też mapa miasta, na którą naniesiono strefy największego natężenia ruchu pieszych w godzinach szczytu. Potrafię sobie wyobrazić, jak wypakowana materiałami wybuchowymi awionetka spada na rondo Dmowskiego albo przebija pofalowany dach Złotych Tarasów i zamienia wewnątrz centrum handlowego w instalację ze szkła, mięsa i krwi. Może do wspólnej zabawy udałoby się wciągnąć internautów – w głosowaniu wybieraliby lokalizację, która zostanie zniszczona jako następna. Dzielnicę, w której tym razem dokona się rzeź.

– Nie zamykajcie się w żadnych z góry określonych ramach. Nie ma żadnych barier. Możemy wszystko. Wyobraźcie sobie, że macie nieograniczony budżet, a wasze jedyne zadanie to wypromowanie we wszelkich dostępnych kanałach hasztaga #WarszawaHardkor. Myślcie o hasłach, myślcie o obrazach.

Patrzemy po sobie z Cyprianem.

– Adam... – niedźwiedź zaczyna niepewnie. – Mówisz poważnie? Mamy robić kreację zupełnie w ciemno?

CEO uśmiecha się szeroko.

– Nie myśl tak, Cyprian. Nie w ciemno. Wyobraź sobie, że to, co robisz, jest właśnie promieniem światła. Masz oświetlać drogę.

– No tak.

Światło i ciemność. Kreacja i destrukcja. Pożar Warszawy oświetlający drogę tym, którzy nadejdą. Szymon Piotr i Szymon Mag, który z nas był którym? Piotr nie żyje, jego zwłoki spoczęły w sekretnym grobie Fabryki Domów. Nie dałoby się utrzymać tego w tajemnicy, gdyby w czyjaś kieszeń nie powędrował tłusty plik banknotów.

– Przecież nie jesteśmy byle agencją tłukącą posty na Facebooku dla producentów zupek chińskich. Chłopaki, jesteśmy Królestwem Światła! – Adam podnosi głos o pół tonu. – Właśnie dla kampanii takich jak ta założyłem tę firmę. Dla takich kampanii was rekrutowaliśmy. To będzie moment zwrotny w waszych karierach, w waszych życiorysach.

#WarszawaHardkor. Z tego prostego komunikatu zapisanego czarnym flamastrem na tablicy suchościeralnej bije tajemnicza siła. A może to tylko refleks, odbicie światła w oczach władcy Królestwa?

Adam jeszcze raz zachęca nas do przekraczania granic i popuszczenia wodzów wyobraźni. Cyprian bez większego przekonania próbuje podpytać go chociaż o jakieś wskazówki, dowiedzieć się, dla kogo ma to być kampania, jakiej dotyczy branży – ale nie dowiadujemy się nic. Adam powtarza te same frazesy.

Kilka minut później siedzimy z Cyprianem we dwóch w naszym pokoju. Zuza wyszła na obiad, jej chłopak akurat ma wolną godzinę w centrum, umówili się gdzieś na burgery.

– Tak na moje, to mister prezes poszedł w ostry romans z kwasem – mruczy wielkolud. – Nic z tego nie rozumiem, Szymon. Nic.

– Ja też niewiele – przyznaję ostrożnie.

Przyglądam się twarzy Cypriana. Oczy niemal nikną w opuchniętych, ciemnych worach, włosy odrosły na tyle, by zauważyć, że całe skronie posiwiały. Ktoś tu nie wyspał się porządnie od wielu, wielu nocy. Na końcu języka mam pytanie, czy grafik wie, co stało się z Piotrem. Czy nie otrzymywał niedawno dziwnych przesyłek w niepodpisanych kopertach.

– Odklejam się całkowicie – mówi. – Nie wiem już zupełnie, co się dzieje w tej firmie, dokąd to wszystko zmierza. Nie wiem, dla kogo i po co pracuję.

Chcę spojrzeć mu w oczy, ale ucieka spojrzeniem.

– Widzisz, Szymon – mówi. – Szefie mój. Rzuciłbym to wszystko w cholere.

– Ale?

– Ale nie mogę.

Wzdycham.

– Chodź może na browar po robocie, co?

Kręci głową.

– Nie mogę dzisiaj, sorki.

– Jasne.

Nakładamy słuchawki. Po chwili wraca Zuza, Cyprian przedstawia jej kilka wstępnych pomysłów na ogranie motywu „przemiany przestrzeni miejskiej”. Do końca dnia piszę bzdury, z których nie wynika już zupełnie nic. Gdy zbieram się do wyjścia z biura, mijam Adama. Bez słowa puszcza do mnie oko, uśmiecha się półgębkiem.

Wychodzę i czuję ulgę na samo wyobrażenie, że mógłbym tu już nigdy nie wrócić.

Jedną ze sztuczek, które chętnie stosują projektanci gier komputerowych, jest rozmieszczenie podpowiedzi w taki sposób, aby wydawały się integralną częścią poziomów. To niełatwe zadanie, ale oszczędza graczom wielu momentów frustracji, powodowanej przez bezradne błędzenie po wirtualnym świecie. Wykorzystuje się więc nienachalne metody: grę światła, perspektywę, pracę kamery. Podpowiedzi powinny być odbierane niemal podświadomie. Dobrze, jeśli gracz nigdy nie poczuje się wprost zmuszany do podjęcia działań przewidzianych przez twórców gry – choć najczęściej porusza się tak naprawdę jak po sznurku. Idealnie, jeśli podczas rozgrywki odniesie wrażenie, że na wszystkie rozwiązania wpadł sam.

Wetknięte w drzwi awizo, kłujące w oczy, gdy tylko wysiadam z windy, to rozwiązanie skrajnie odległe od subtelności. Wzdycham, przyglądając się karteczce. Spodziewam się tylko jednego: na odbiór czeka list polecony z prokuratury.

Wchodzę do mieszkania, zostawiam plecak, ale nie zdejmuję butów. Zbliży się osiemnasta. Poczta przy placu Bankowym, gdzie czeka na mnie przesyłka, jest otwarta do dwudziestej. Najchętniej podarłbym awizo na kawałki i udawał, że nie widziałem go na oczy, ale to przecież nic nie zmieni. Za tydzień znalazłbym w drzwiach nowe, a po kolejnych siedmiu dniach przesyłka zostałaby automatycznie uznana za doręczoną. Tak to działa. Machina ruszyłaby, nie oglądając się na mnie. Lepiej wiedzieć przynajmniej, o co chodzi.

Spacer na pocztę to tylko kilka minut. Warszawa pachnie mokrymi liśćmi i dymem, miasto okrył zimny całun smogu. Niby nie pada, ale w powietrzu wisi lepka wilgoć. Światła mają rdzawą dominantę.

Nie pamiętam, kiedy ostatni raz zachodziłem na pocztę. Nie pamiętam, kiedy nadawałem albo odbierałem papierowy list. Spodziewałem się kolejek jak do toalet na letnim festiwalu, tymczasem, o dziwo, jestem tu sam, jeśli nie liczyć znudzonych pań na stanowiskach za okienkami. Odbieram

przesyłkę, chowam do kieszeni. Przychodzi mi do głowy, że to jednak nieodpowiedzialne zostawić awizo z prokuratury w drzwiach. Mógłby je zabrać złośliwy sąsiad.

Wracając, odwiedzam jeszcze Żabkę i na dwunaste piętro wjeżdżam cięższy o trzy kraftowe piwa, które akurat były w promocji. W prokuraturze na Rakowieckiej mam się stawić w przyszłym tygodniu, wzywają mnie w charakterze świadka. Widzisz, Szymonku, jak jesteś wszędzie potrzebny, każdy czegoś potrzebuje. Proszę, niech nic się już dzisiaj nie wydarzy. Najchętniej zamknąłbym się z piwem w komorze deprywacji sensorycznej. Zanurzyłbym się w ciepłym roztworze soli, odciął od obrazów i dźwięków. Odciąłbym się od wszystkiego, odpłynął poza rzeczywistość. Żadnych niechcianych bodźców. Jeśli szept, to tylko w mojej głowie.

Ale nie mam komory deprywacji sensorycznej. Mam za to komputer na biurku. Włączam go bezmyślnie, właściwie nie wiem po co. Sam proszę się o kolejny cios, sam wystawiam się na strzał.

Loguję się na pocztę i strzał oczywiście pada. Wiadomość od qwertytrewqwerty przyszła ledwie minutę temu.

Konsekwencja to słowo klucz. Po A zawsze przyjdzie B. Akcja i reakcja, prawda? Pozdrowienia do więzienia!

Do mejla załączone są cztery pliki jpg, zatytułowane tylko ciągami liczb, jakby świeżo zgrane z aparatu. Wzdycham, pobieram je wszystkie. Otwieram.

Zaglądam przez okno do czyjogoś mieszkania. Pusty, pozbawiony mebli pokój. Na podłodze leży naga kobieta, rozciągnięta na brzuchu, z podkulonymi nogami i nienaturalnie wykręconymi rękoma. Jeden z nadgarstków oplata ciasnym zwojem sznurek. Skłębione czarne włosy przypominają skrzydła martwej wrony. Plecy, pośladki i szczupłe uda pokrywa gęsta siatka sinych pręg. Nad kobietą pochyła się zakapturzony mężczyzna, stoi bokiem, z twarzą zwróconą pod kątem ku obiektywowi, z wbitymi w kieszenie rękoma.

Pozostałe zdjęcia to zbliżenia. Jedno przedstawia dłoń, fioletowe, opuchnięte palce, ciemne strupy w miejscu paznokci. Drugie to zbliżenie jej twarzy, przyklejonej policzkiem do desek parkietu. Oczy wyglądają jak

bryłki mętnego szkła, a usta to otwarta rana, ale przecież natychmiast rozpoznaję tę twarz. Ostatnie ze zdjęć to z kolei zbliżenie na twarz mężczyzny. Ocenia ją kaptur, ale również nie mam problemu z rozpoznaniem.

Kiwam głową. Podnoszę wzrok na swoje odbicie w oknie, ustawiam się bardziej bokiem. Znow patrzę w ekran: rozpoznałby mnie każdy.

Przyglądam się pierwszemu zdjęciu. Zapewne także wykonano je dronem. Znam to mieszkanie, oczywiście, że tak, znam bardzo dobrze. Jak tego dokonali?

Chce mi się śmiać. Nie mam szans, najmniejszych. Zamykam oczy, otwieram. Nic się nie zmienia. Na ekranie komputera wciąż widzę zdjęcie przedstawiające mnie stojącego nad zmalretowanymi zwłokami Eweliny. Zamykam oczy, otwieram. Nic.

Wstaję od biurka. Sięgam na półkę po wydruki zdjęć, które wcześniej wyjmowałem ze skrzynki na listy. Chcę jeszcze raz zobaczyć całą tę fotostory.

Zamiast wydruków znajduję umowę poufności zawartą z Regnum Lucidum. Leży na samym wierzchu. Nie przypominam sobie, żebym tam ją kładł. Może jednak? Przeglądam dokument, prześlizguję się wzrokiem po kolejnych zapisach. Punkt ósmy podkreślono jasnożółtym flamastrem. Nie przypominam sobie, żebym cokolwiek podkreślał, nie sędzę, żebym miał w mieszkaniu flamastry.

Punkt ósmy umowy głosi:

W razie naruszenia obowiązku nieujawniania informacji poufnej drugiej stronie przysługuje prawo żądania kary umownej pod postacią kary śmierci.

Umowę wieńczą: zamaszysty podpis Adama i mój, pokraczny, jakby dziecinny. Zawsze się go trochę wstydzilem, ale nigdy nie wypracowałem lepszego, bardziej dojrzałego. Przesuwam palcem po tym autografie. Czuję wgłębienia w papierze od nacisku długopisu, więc to nie ksero. Ale przecież tego absurdalnego zapisu nie było w dokumencie, który podpisywałem. Była wpisana wysoka kwota kary umownej. Ktoś włamał się do mojego mieszkania i podmienił umowy. Oczywiście nowy zapis nie ma żadnej mocy prawnej, ale nie sędzę, żeby autor przesadnie poważał literę prawa.

Wracam do komputera. Tak jak się spodziewałem, mejl od qwertytrewqwerty zdążył już zniknąć, wyparował, nie ma po nim śladu. Zniknęły też zdjęcia z załącznika, choć przecież przed minutą pobrałem je na dysk, a wstając, zostawiłem otwarte na ekranie. Nie widzę ich w folderze „Pobrane”. Nie widzę ich w folderze z ostatnio używanymi dokumentami. Ale to już nieważne. Ważne, że widziałem je w ogóle, że wciąż mam je przed oczami. Ważne, że wiem, do czego są zdolni.

Otwieram piwo. Jednak nie wytrzymuję, śmieję się na głos. Wszystko układa się w upiornie spójną całość, to konsekwentnie realizowany plan, którego częścią jestem od samego początku. Anonimowe pogróżki na Facebooku i komentarze pod artykułami na portalach informacyjnych, wydruki zdjęć przedstawiających nieistniejące sceny. To wszystko cegły, z których Światło cierpliwie i konsekwentnie wzniosło ściany labiryntu zaprojektowanego specjalnie dla mnie, labiryntu, z którego ucieczka możliwa jest tylko w jeden sposób.

Znów podnoszę wzrok na odbicie w szybie. Jestem rozedrganym widmem, kolejnym fotomontażem. Powoli przestaję przynależać do świata żywych. Zacierają się moje kontury; chyba nie dostrzegam twarzy.

Gdyby klient zawarł w briefie wytyczną, abym obrazowo przedstawił, jak wygląda przyjaźń, mieszcząc się przy tym w stu czterdziestu znakach ze spacjami, napisałbym, że jak „natychmiastowa zgoda na nieplanowane spotkanie o dwudziestej drugiej, w samym środku miasta, w środku tygodnia, bez zadawania zbędnych pytań”. Wiedziałem, że ze wszystkich ludzi na ziemi jedna Wika mi nie odmówi.

Siedzimy w Beerokracji, pubie ulokowanym przy samym rondzie Dmowskiego, niemal dokładnie pod słynnym licznikiem długu publicznego Balcerowicza, straszącym warszawiaków monstrualnymi kwotami. Nie można umówić się bardziej w centrum. Zaczynam tu już drugie piwo, Wika nie dopiła pierwszego nawet do połowy.

– Wstaniesz rano do roboty? – Przygląda się sceptycznie pustej szklance, którą zabiera właśnie barman. Lojalnie uprzedziłem, że przed przyjściem osuszyłem trzy żywce na Granicznej.

– Nie idę rano do roboty.

Dwie godziny temu postanowiłem, że muszę opowiedzieć jej o wszystkim, nieważne, co pomyśli. Czuję, że opowieść o Świetle rozsądzi mnie od środka, jeszcze moment i eksploduję, jeśli się nią z kimś nie podzielę. Potrzebuję, żeby ktoś posłuchał, choćby miał jedynie pokiwać głową i powiedzieć z troską, że już do reszty mi odpieprzyło. Choćbym miał zostać wyśmiany. Żebym chociaż do rana mógł uwierzyć, że robię z siebie durnia, a wszystko będzie dobrze.

Wychodząc z klatki schodowej, nasłuchiwałem, czy ponad szum miasta nie wybija się charakterystyczny dźwięk silników drona. Obserwowałem mijanych przechodniów, czy nie przyglądają mi się zbyt uważnie. Zapamiętałem numery rejestracyjne samochodu, który ruszył akurat w momencie, gdy z Granicznej skręciłem w Królewską, i przyśpieszyłem kroku, gdy auto na chwilę zwolniło, zrównawszy się ze mną.

Nie potrafiłbym nakreślić Wice od razu całej sytuacji, w jakiej się

znalazłem. Nie teraz, nie przy piątym piwie. Lepiej po trochu, po kawałku. Zaczynam od wezwania do prokuratury, wydaje mi się, że to dobry punkt wyjścia, wokół niego nadbuduję resztę.

Zanim wyszedłem z domu, próbowałem jeszcze zadzwonić do Agaty, wbrew naszym ustaleniom, żeby nie kontaktować się telefonicznie. Nie odebrała. Mam nadzieję, że po prostu nie chciała ryzykować. Mam nadzieję, że nic jej nie zrobili.

Że nie zaczęli od niej.

Wika daje mi opowiadać, taktownie nie przerywa. Dopiero gdy milknę, mówi:

– To chyba zupełnie normalne, że w przypadku zabójstwa przesłuchuje się wiele osób. A już zwłaszcza bliskich ofiary, jej krewnych, dawnych partnerów. Byłeś już przecież na policji, wiesz, jak to wygląda. Nie masz się czego bać. Posadzą cię teraz po prostu za innym biurkiem, opowiesz to samo jeszcze raz.

– Właśnie wcale nie jestem pewien.

Wypijam kilka łyków piwa i mówię dalej, o zdjęciach, które otrzymałem w załączniku do mejla od qwertytrewqwerty. O zdjęciach, które wcześniej wyjmowałem z niezaadresowanych kopert. O jawnych pogroźkach, o kpinach, o „pозdrowieniach do więzienia”.

– Wiem, jak to zabrzmie – mówię. – Ale wydaje mi się, że jestem, no kurwa, wrabiany w morderstwo. Że to jest wszystko starannie zaplanowane.

Wika skupia laserowy wzrok cyborga. Nieznacznie kiwa głową, widzę, że waży słowa, przez krótki moment zastanawia się, co powiedzieć.

– I myślisz, że kto ma w tym interes? Prawdziwy zabójca chce twoim kosztem uniknąć kary?

Rozglądam się po sali. W Beerokracji nie ma dzisiaj tłumu, bliżej baru studenci zajmują kilka stolików. Dzięki Bogu nie zanoszą się, żeby ktoś miał występować na scenie.

– To chyba będzie dość długa historia.

– Mamy czas.

Snuję więc mroczną balladę o moich pracodawcach i ich powiązaniu z zamachem na Świętokrzyskiej. O konkursie dla Huoyan House i zmianie koordynat GPS, która ocaliła życie wielu przypadkowym ludziom, ale

najpewniej zabiła Piotra. O mejlach Johana, które Agata wykradła z jego komputera. O naszym planie opublikowania na stronie internetowej wszystkiego, czego dowiedzieliśmy się o LuceLume. I o rozwijającym się gdzieś równolegle wątku Eweliny, jej pojawieniu się na Sympatii, zdublowanym profilu na Instagramie, o śmierci Janka Pietruszyńskiego. Może pojedyncze słowa czasem uciekają gdzieś na boki, może czasem się powtarzam, ale ani na moment nie wypuszczam z rąk sensu wypowiedzi, trzymam się jej kurczowo jak tonący liny.

– Szymon – mówi powoli Wika. – To wszystko rzeczywiście brzmi... wiesz jak.

– Wiem.

– Znikające mejle, znikające zdjęcia. Znikający ludzie.

Kiwam głową. Uśmiecham się ciut szerzej, niż zamierzałem. Nie wiem, kiedy skończyłem piwo.

– No tak.

– Nie rozumiem chyba tylko jednego. Czemu to wszystko miałoby właściwie służyć? Co firma taka jak LuceLume mogłaby zyskać dzięki zamachom terrorystycznym w Warszawie?

– Nie wiem. Wiem, że to, co wiem... – płaczę się. – Że to tylko czubek góry lodowej. Ta firma to jest grzybnia, Wika.

– Grzybnia...

– Tak. – Kiwam głową. – Jest wszędzie, przeżera wszystko na wylot.

– Szymon. Jeśli dobrze rozumiem, twierdzisz, że twoi pracodawcy wykorzystali cię do przygotowania zamachu w metrze, a gdy zorientowali się, że przejrzałeś ich grę, postanowili cię ukarać, wrabiając w zabójstwo Eweliny.

– Tak to widzę.

– Dowodów dostarczyła ci dziewczyna chora na schizofrenię.

Odsuwam pustą szklanę.

– Wika... – Krzywię się. – Ja naprawdę zdaję sobie sprawę, że to brzmi jak obłąd. Ale o to właśnie chodzi, to jest nic innego jak czysty, skroplony obłąd. Nic nie poradzę. To skrajnie popierdolona historia.

– No dobrze – mówi ostrożnie. – I w takim razie co dalej?

– Nie mam pojęcia. Jutro antyterroryści mogą wpaść po mnie do mieszkania. Wynajęty zabójca może zlikwidować mnie we śnie. A może nic się nie wydarzy. Wezmę jeszcze jedno piwo.

Patrzy mi prosto w oczy, jej spojrzenie niemal boli.

– Dużo przeszedłeś, Szymon. Bardzo dużo. Niezależnie od tego, czy rzeczywiście twoi szefowie należą do jakiegoś morderczego spisku czy nie, sama historia ze śmiercią Eweliny to ogromny ciężar. Nie idź jutro do pracy. Zostań w domu. I nie chciałabym zabrznieć jak stara ciotka dewotka, ale może jednak piwa już na dzisiaj wystarczy.

– Nie jestem pijany.

– Nie mówię, że jesteś. Nie wyglądasz. Wyglądasz za to jak ktoś bardzo zmęczony. Schudłeś chyba parę kilo, odkąd się ostatnio widzieliśmy. Odpocznij. Wyśpij się porządnie. Nabierz sił przed rozmową w prokuraturze.

– Chyba masz rację. – Wzruszam ramionami. – Mam jeszcze tylko jedną prośbę.

– Aha?

Wyjmuję z kieszeni pendrive'a, podaję go Wice. Zaskoczona waży kostkę pamięci w dłoni.

– Tu znajdują się wszystkie dokumenty, o których ci mówiłem. Cała zawartość strony internetowej. Wszystko, co zgromadziłem z Agatą. Przejrzyj to na spokojnie sama.

– Pewnie. – Chowa pendrive'a do torebki.

Dopija wreszcie swoje piwo. Jest już po dwudziestej trzeciej, czas się zbierać, zanim rozum całkiem zaśnie. Waham się, czy to powiedzieć, zacynam się, ale słyszę własne spokojne słowa:

– Gdybym jutro już się nie odezwał, roześlij to wszystko mediom. Jest tam gdzieś plik z adresami, gotowa lista wysyłkowa. To ważne, naprawdę. Jakkolwiek by nie brzmiało, no. – Przez chwilę szukam odpowiednich słów. – Zemsta to też jakieś zwycięstwo.

Spogląda na mnie już nie tylko zaskoczona, ale też chyba zaniepokojona, jakby dopiero teraz uznała za prawdopodobne, że przez całe nasze spotkanie jednak nie żartowałem, a mojej opowieści nie podyktował dżin z dna szklanki.

– Odezwił się więc, Szymon. Będę czekała.

Piwo powinno mnie uśpić, ale nie, nic z tego – miotam się w pościeli, co dwadzieścia minut kompulsywnie wstaję do łazienki. Skończyły się tabletki nasenne, więc złorzeczę sobie, że nie wyżebrałem więcej u Wiki. Zresztą pewnie i tak by mi odmówiła, benzodiazepiny nie miesza się z alkoholem. Przez niedokładnie zaciągnięte zasłony do pokoju wpada trupie światło, to księżyc w pełni rozgonił chmury. Skurwiel wisi nad Warszawą, tłusty i blady jak ryba jaskiniowa. Zawsze źle sypiam podczas pełni. Godziny płyną jedna po drugiej, sen nie przychodzi. Myśli gorączkowo wirują w głowie, przestaję nad nimi panować, scenariusze wydarzeń rozpisują się same, gdy tylko na to pozwolę, gdy na chwilę tracę koncentrację. Dochodzi czwarta. Wstaję z łóżka, robię dwadzieścia pompek, ostatnie już na drżących rękach. Włączam światło, kręcę się po mieszkaniu jak zepsuty robot. Zmęczony wracam do łóżka, ale gdy zamykam oczy, galopada myśli tylko przyspiesza.

Zasypiam dopiero rano, w pościeli mokrej od potu, jakoś przed szóstą, gdy noc już się rozrzedza, a księżyc spełza poniżej linii dachów. Niespokojnie śpię niemal do południa, a po przebudzeniu czuję się tylko bardziej zmęczony.

Od trzech godzin powinienem siedzieć za biurkiem w Królestwie Światła. Ale nikt z firmy do mnie nie dzwonił. Włączam laptopa, loguję się na służbową pocztę: nikt też nie pisał. Tak jak się spodziewałem.

Żadna z myśli wysnutych nocą nie przybliżyła do odpowiedzi na najważniejsze z pytań: co robić? Wyjść z mieszkania? Niby dokąd? Zostać i czekać?

Zaglądam na Facebooka. Piszę do Wiki, że jeszcze żyję, na wszelki wypadek dostawiam uśmiechniętą emotikonkę. Mija minuta, dwie – nie wyświetla mojej wiadomości.

Zastanawia mnie, czy Agata poszła do pracy. Na facebookowym czacie nie widać jej aktywności, zagaduję więc w ciemno, ale najwyraźniej ona

także jest czymś zajęta. Przez moment podejrzewam, że umarłem w nocy i świat wokół już nie istnieje, to tylko fatamorgana utkana z gasnących powidoków, hologramowy czyściec zaprojektowany wyłącznie dla mnie. A może wciąż się nie obudziłem.

Patrzę na zegarek: dwunasta zero jeden. Patrzę znowu: nadal dwunasta zero jeden. To dobrze, to znaczy, że jednak nie śnię.

Biorę prysznic, piję kawę, jem to, co znajduję w lodówce, czyli jogurt na granicy terminu ważności i obeschnięte kabanosy. Wyjmuję ze skrzyni łóżka netbooka, uruchamiam go, ale na razie nie podłączam do mobilnego netu.

Dzwonię do Agaty. Spodziewam się informacji, że abonent jest czasowo niedostępny, słyszę jednak normalny sygnał, jeden, drugi, trzeci. Nie odbiera, ale jej telefon wciąż działa; to w pewien sposób pocieszające.

Wracam do netbooka. System już się załadował. Włączam notatnik. Od czego zacząć? Patrzę na kursor migający rytmicznie na białym tle. Przekonajmy się, czy w ogóle jeszcze potrafię napisać słowa, które coś znaczą.

Być może znasz już moją twarz.

Dalej jest już znacznie łatwiej, dalej pisze się niemal samo. Uderzam palcami w klawiaturę, zaskakuje mnie, jakie to proste. Płyną kwadranse.

Znów próbuję dodzwonić się do Agaty, znów bezskutecznie. Może właśnie siedzi w biurze, wie, że jest obserwowana, woli teraz ze mną nie rozmawiać, walczy jeszcze o zachowanie pozorów. Poczekam, wytrzymam. Piszę dalej, robię przerwy, wstaję od komputera i wracam. Płyną godziny.

Wciąż nie odzywa się nikt z Królestwa. Widocznie moja nieobecność nikogo nie dziwi. Zaglądam do drugiego komputera. Żadnych nowych mejli na służbowej skrzynce, żadnych zapytań na naszym wewnętrznym komunikatorze. Wyobrażam sobie, jak Adam Sommer z tym swoim jadowitym uśmiechem oznajmia Cyprianowi i Zuzie, że musiałem wziąć urlop na żądanie. Co chwilę z niepokojem przeglądam newsy w internecie, niepotrzebnie – nie wydarzyło się nic, co mogłoby mnie dotyczyć. Kończę pisać. Jest już po siedemnastej.

Dzwonię do Agaty po raz trzeci. Znowu słyszę w słuchawce sygnał. Może

powiniennem po prostu pojechać do niej bez zapowiedzi. Drugi sygnał. Trzeci.

I nagle, gdy chcę już odłożyć telefon, odbiera połączenie.

– Halo? – mówię, słysząc ciszę. – Agata?

W słuchawce wybucha głośny męski śmiech.

Zamieram. Ktokolwiek to jest, śmieje się do utraty tchu, ryczy, niemal się dławi.

Rozłączam się. Telefon nagle wydaje się potwornie ciężki. Z trudem odkładam go na biurko, ręka drży jak stuletniemu starcowi. Czuję pot na plecach.

A więc to już.

Istnieją tylko dwa wytłumaczenia i obydwie oznaczają dla mnie dokładnie to samo. Czekałam, aż uspokoi mi się oddech.

Dzwonię do Wiki.

– No hej. – Odbiera niemal natychmiast. – Co tam?

– Przyjadę do ciebie, dobra?

– Wszystko w porządku...?

– Nie.

– Coś się stało?

– Przyjadę, dobra?

Proszę, żeby zamówiła mi ubera, oddam pieniądze. Nie pod klatkę, nie na Graniczną, tylko kawałek dalej, na skrzyżowanie Królewskiej z Marszałkowską. Nie pyta już o nic, zgadza się od razu.

Siadam jeszcze do netbooka, podłączam go do sieci przez modem USB. Loguję się na konto na WordPressie. Wklejam na stronę notatkę, którą napisałem. Nawet teraz odzywa się wyrobiony przez lata nawyk – szybko skanuję wzrokiem bloki tekstu, wyłapuję podwójne spacje i literówki. Sprawdzam, czy wrzucone wcześniej materiały wyświetlają się poprawnie.

Spodziewałem się, że jednak nie pójdzie to tak łatwo, że pojawi się moment zawahania – a tu proszę, nic z tych rzeczy. Klikam w przycisk „Opublikuj”, jakbym odświeżał stronę transmisji sportowej.

Kilka sekund później strona wisi już online.

Loguję się na utworzoną specjalnie na tę okazję skrzynkę pocztową.

Kopiuje treść mejla, który przygotowaliśmy z Agatą. Ładuję listę adresatów i pozostaje tylko kliknąć w przycisk „Wyślij”.

Wpisuję w przeglądarkę adres strony. Wszystko wygląda tak, jak powinno. Zamykam netbooka, wrzucam go do plecaka razem z ładowarką. Szybko zgarniam z szuflady kilka par skarpetek i bokserek, właściwie nie wiem dlaczego, zakodowałem sobie widocznie, że tak trzeba. Jakbym szokował się do ucieczki z domu.

Wika pisze w esemesie, że zaraz przyjedzie po mnie biały nissan, kierowca ma na imię Vladimir.

Wrzucam do plecaka jeszcze dwie czyste koszulki i kilka rzeczy, które akurat wpadają mi w rękę, a mogą się przydać, nigdy nie wiadomo. Ładowarka do telefonu, pendrive, zapasowe słuchawki. W kieszeni kurtki chowam kuchenny nóż, chociaż tyle. Nie ma czasu. Błyskawicznie się ubieram, wiążę buty. Zamykam za sobą mieszkanie.

Winda czeka na dwunastym piętrze. Rozglądam się, na klatce schodowej jestem sam. Zbiegam po schodach, bo przychodzi mi na myśl, że zbyt łatwo można zablokować kabinę windy między piętrami. Zdyszany wypadam z klatki schodowej. Znów zapadł zmrok, mam wrażenie, jakby noc płynnie przeszła w kolejną, między nimi powinien być dzień, ale chyba go przegapiłem. Księżyc jest dziurą w niebie, a niebo to w rzeczywistości nic więcej jak licha zasłona próbująca osłonić nasze wrażliwe ciała przed lodowatym światłem kosmosu.

Zaciskam dłoń na rękojeści noża. Chyba pociąłem wewnątrz kieszeni. Szybko, niemal biegiem ruszam w stronę Królewskiej. Zastanawiam się, czy nie wyjąć więcej gotówki z bankomatu, ale nie, każda sekunda jest cenna. Mijam starszego człowieka, przygląda mi się uważnie, przykładą do ucha telefon. Powstrzymuję się przed wytrąceniem mu urządzenia z ręki.

Biały nissan czeka przy skrzyżowaniu z włączonym silnikiem.

– Pan Vladimir?

Kierowca przytakuje, kulturalnie pyta, czy otworzyć mi bagażnik. Kręcę głową, dziękuję, nie trzeba, wezmę plecak do środka. Wsiadam, nie wyjmuję ręki z kieszeni. Vladimir rusza, gwizdże cicho jakąś melodię. Po chwili włącza radio.

Skrećamy w Marszałkowską. Przeciwnym pasem nadjeżdżają trzy

policyjne furgonetki, suną dostojnie, bez sygnału. Schylam się, udaję, że grzebię w plecaku. Przejeżdżają obok. Odwracam się, patrzę przez tylną szybę: dwie skręcają w Królewską, jedna jedzie dalej, pewnie oskrzydli blok od strony placu Żelaznej Bramy. Vladimir udaje, że nie widzi, jak odruchowo kulę się na siedzeniu. Zauważam w lusterku wstecznym, że lekko się uśmiecha.

A więc to już.

Każda sekunda, gdy czekamy na zmianę świateł, dłuży się w nieskończoność. W lusterku wstecznym widzę, jak Vladimir porusza ustami, bezgłośnie powtarza słowa ukraińskiego rapera z radia. Całkiem przyzwoite audio ma w samochodzie, muzyka nie gra głośno, ale czuć przepastną głębię syntentycznego basu. Zapętlone takty pianina wpadają w ucho. Zupełnie nie rozumiem, o czym jest ten rap.

Szybko przecinamy plac Bankowy. Tramwaje i autobusy ustawiły się w długą kolejkę przed przystankiem Ratusz Arsenal, ludzie tłoczą się na peronie, pewnie znowu doszło do jakiejś awarii. Przesiadałem się tu, jeżdżąc kilka lat temu do pierwszej pracy na Pragę, koło Dworca Wileńskiego. Nie działała jeszcze wtedy druga linia metra. Przystanek Ratusz Arsenal już na zawsze będzie mi się kojarzył z zimnym wiatrem i zacinającą w twarz drobną, ostrą kaszą deszczu ze śniegiem.

Mijamy skrzyżowanie z aleją „Solidarności”. Na placu przed kinem Muranów zebrało się kilkanaście osób. To chyba moje ulubione warszawskie kino, nie zliczę, ile filmów w nim obejrzałem. Na studiach poszliśmy tam z Wiką na jakiś skrajnie niszowy dramat, bodajże rumuńskiej produkcji. Rozsiadliśmy się w ostatnim rzędzie w tej większej sali, wówczas niemal pustej, i w połowie filmu zapaliliśmy dżointa. Na ekranie ktoś strasznie długo konał, jego żona płakała, wszystko w czerni i bieli, a my śmialiśmy się bez sensu, w zupełnie przypadkowych momentach, jakby zepsuł się śmiech z offu, i nieliczni inni widzowie w końcu zaczęli się śmiać razem z nami; niewykluczone, że uratowaliśmy im ten seans. Do Muranowa zabierałem Ewelinę, gdy jeszcze przyjeżdżała do mnie na weekendy. Po przeprowadzce szybko przestaliśmy gdziekolwiek wychodzić razem, tłumaczyła się zmęczeniem; jeśli już szła do kina, to ze znajomymi z pracy. Gdy mieliśmy oboje wolny wieczór, wołała wcześniej położyć się spać. Co kto lubi. Teraz może sobie spać przez całą wieczność. Pewnie jej niewygodnie, w ciasnej trumnie, na wznak, z pociętymi przed śmiercią plecami.

Skręcamy w Nowolipki i zaraz w Zamenhofa. Na chodniku stoi karetka ratunkowa, pulsują niebieskie światła. Ktoś leży, chyba jakiś starszy mężczyzna, pochylają się nad nim ratownicy w jaskrawopomarańczowych kombinezonach. Nie wiem, kim pan jest, ale mam nadzieję, że pana uratują. Czy jeśli ktoś umiera w pobliżu karetki na sygnale, może się zdarzyć, że pomyli wejście do świetlistego tunelu ze świetlnym sygnałem alarmowym?

Vladimir raz za razem rzuca mi w lusterku szybkie spojrzenie. Sprawdza, czy nie próbuję uciec? Jak w ogóle mógłbym się bronić, gdyby okazało się, że dostał polecenie wywiezienia mnie gdzieś pod Warszawę, do lasu za Zielonką? Teraz usypia moją czujność, grzecznie obrał najdogodniejszą, najbardziej oczywistą trasę, ale zaraz odbije z powrotem na Andersa i zanim zdążę zaprotestować, wjedzie na most Gdański. Nie zatrzyma się, dopóki nie przekaże mnie czekającym w umówionym miejscu oprychom.

Echo śmiechu, który usłyszałem, dzwoniąc do Agaty, dźwięczy mi w głowie, zamienia się w potężny, ogłuszający huk. Jakby monstrualnego pożaru, jakby z bliska słuchać płonącego miasta.

Kierowca uśmiecha się. Z całej siły zaciskam palce na rękojeści noża w kieszeni. Spróbuj tylko, gnoju, no spróbuj, ze mną nie pójdzie tak łatwo. Wbiję ci ten nóż w kark, podziurawię potylicę. Puścisz kółko i rozpieprzysz się o latarnię, a ja się jakoś wywinę.

– Słucham pana? – pyta uprzejmie.

– Nie, nic.

Co okazałoby się gorsze, bardziej bolesne? Śmierć Agaty czy jednak jej zdrada? Nawet nie muszę zamykać powiek, żeby wyraźnie zobaczyć oczy koloru oliwek, smukłe dłonie i to miejsce na szyi, gdzie marchewkowe włosy odcinają się od jasnej, gładkiej skóry. Czy ona też mnie oszukała, wysłali ją, żeby zaprowadziła mnie za rękę do komory gazowej? To byłoby tak oczywiste, tak proste.

Tamtego wieczoru, gdy w Fortyfikacji zegnaliśmy się z ekipą Cremè de la Creation, powinienem był zostać z Dorotą. Powinienem skorzystać z drugiej szansy, gdy zaprosiła mnie na spotkanie. Oglądalibyśmy teraz serial, siedząc u mnie na kanapie. Może szykowałibyśmy się do wyjścia do teatru.

Nissan Vladimira skręca w Anielewicza. To już tylko kilkaset metrów. Nawet jeśli podsłuchali moją rozmowę z Wiką, nie zdążyli zareagować. Być

może po raz ostatni udało mi się ich ubiec. Uśmiecham się, ale nie zwalniam chwytu, ściskam nóż tak, że omdlewają mi palce. Puszczę, gdy wejdę do mieszkania Wiki.

Znowu postój na światłach, ale zaraz jedziemy dalej. Kręci mi się w głowie. Świat za oknem auta to mokre szare smugi.

– Szymon. – Wika przygląda mi się uważnie. – Co się dzieje?

– Ścigają mnie – mówię.

Siedzimy naprzeciwko siebie przy stoliku w kuchni. Panuje półmrok, świeci tylko mała lampka na parapecie. Tak jakby Wika wiedziała, że dzięki temu poczuję się bezpieczniej.

– Kto?

– LuceLume.

Dziewczyna nie spuszcza ze mnie wzroku. Spięte z tyłu dredy wyglądają jak antena, za pomocą której ten blady android komunikuje się z bazą na orbicie. Siedzi na krześle po turecku. Zastanawia się, procesuje dane.

– W porządku – mówi spokojnie. – Dlaczego w takim razie nie zgłosisz się na policję?

– Nie jestem pewien, czy policja z nimi nie współpracuje. Czy nie mają tam swoich ludzi.

Wika powoli kiwa głową. Jej rozszerzone w tym półmroku źrenice to czarne dziury, spojrzysz raz i zostaniesz tam na zawsze, staram się odwrócić wzrok, ale nie jestem w stanie. Hipnotyzuje mnie jak kobra.

– Wiem, jak to brzmi. – Próbuję się uśmiechnąć. – Naprawdę wiem. Ale chyba znasz mnie nie od wczoraj, wiesz, że nie jestem wariatem.

– Nie podejrzewam cię o to. Choć tak byłoby łatwiej.

– Przejrzałaś pliki z pendrive'a?

Cicho wzdycha. Nalewa do szklanek wody mineralnej, podaje mi. Zauważam, że bardzo chce mi się pić. Wypijam duszkiem pół szklanki.

– Na tym pendrivie, który mi wczoraj dałeś, nic nie było.

– Słucham?

– Nic na nim nie było – powtarza. – Pusto. Szesnaście gigabajtów wolnej pamięci.

– Niemożliwe. Zgrałem tam kilkaset plików.

– Nie wiem. – Wzrusza ramionami. – Gdy go podłączyłam, był pusty. Chcesz zobaczyć? Komputer jest włączony.

Kręcę głową.

– Spokojnie, wierzę ci. Zresztą to już nieważne.

– Nieważne?

– Opublikowałem wszystkie dokumenty. Strona jest już dostępna. Link trafił do mediów. Wkrótce każdy się dowie.

Unosi brwi. Widzę na jej twarzy zainteresowanie.

– O proszę.

– Chodź – mówię. – Pokażę ci.

Idziemy do pokoju. Tu także świeci tylko stojąca przy biurku lampa podłogowa, stylizowana na staroświecką latarnię gazową. Daje miękkie, żółte światło.

Wika porusza myszą i komputer wybudza się ze snu. Tapeta na ekranie wielkiego monitora przedstawia zimowy górski pejzaż. Sterylnego chłodu nie zaburzają żadne ikony, żadne skróty do folderów i dokumentów, pulpit jest całkiem czysty. Nigdy tak nie potrafiłem, pulpit każdego z moich komputerów po dwóch tygodniach zamieniał się w chaotyczną mozaikę, w której sam nie mogłem się połapać. Nie wiem, jak można pracować bez śmietniska ikon rozsypanych na ekranie.

– Włącz przeglądarkę.

Chrome uruchamia się w sekundę. Dyktuję:

– Szymon mag, pisane razem, kropka, wordpress, com.

Wika wstukuje adres, puentuje enterem. Przez chwilę czuję niepewność, ale niepotrzebnie – strona ładuje się bez problemu.

– Miłej lektury.

Zostawiam ją przy komputerze i staję w oknie. Ulicą suną samochody, goniec rowerowy wytrwale pedałuje pod wiatr z ciężkim kanciastym pakunkiem na plecach. Na gałęzi jednego z wyłysiałych drzew naprzeciwko przysiada gawron, kręci głową, jakby dziwił się temu wszystkiemu, i wzbija się do lotu.

– Szymon, co to właściwie jest?

Podchodzę do biurka. Wika przegląda screeny z mejlami wymienianymi przez Johana Kellermana i Adama Sommera. Tu akurat panowie zastanawiali się, jak skutecznie przekonać Piotra, mnie i grafików, że wynajęty przez nich aktor nawiązał do hasła o arteriach zupełnym przypadkiem.

– A na co wygląda?

– Nie jestem pewna. – Waha się. – Albo na wewnętrzną firmową korespondencję, z której niewiele tak naprawdę wynika, albo na efekt zabawy w Photoshopie.

– To nie jest zabawa w Photoshopie.

Wika przewija stronę. Czyta mejle, w których Johan szacuje liczbę ofiar eksplozji na Świętokrzyskiej. Potem te, w których zastanawia się, czy dziennikarze nie zaczną zbyt natarczywie węszyć wokół Fabryki Domów. Kolejne już tylko pobieżnie przegląda, scrolluje stronę coraz niżej.

Odwraca się do mnie i krzywi w grymasie, w którym przez lata naszej znajomości nauczyłem się zauważać uśmiech.

– Naprawdę sądziłeś, że w ten sposób z nimi wygrasz?

– To jedyne, co mogłem zrobić – mówię ostrożnie.

– Wiesz, jak łatwo można zakwestionować autentyczność tych dokumentów?

– Zapewne nie trudniej niż fotomontaży, które mi wysyłali.

– O ile to fotomontaże, prawda?

– Przepraszam...?

Dopiero teraz zaczyna do mnie docierać. Nagła myśl obrasta w kontury, staje się coraz wyraźniejsza. Jakby pewne drzwi w głowie odrobinę się uchyliły, jakby drgnął pewien mechanizm. Nagle czuję się bardzo, ale to bardzo zmęczony.

– Wika – zaczynam. – Chyba nie sądzisz...

Znów świdruje mnie czujnym, badawczym wzrokiem. Patrzy jak na zwierzątko. Bogowie, którzy przed dziesiątkami tysięcy lat przybyli na Ziemię z gwiazd, patrzyli tak zapewne na pierwsze oswojone małpoludy.

– Niesamowite. – Wzdycha. – Ty wciąż nic nie rozumiesz. Wciąż nie chcesz rozumieć.

W jej głosie słyszę coś, co brzmi jak rozczarowanie. Podnosi się zza biurka, rusza w moją stronę.

Odskakuję, na co dziewczyna wybucha tylko śmiechem.

– Szymon, błagam.

Zamieram. W momencie niespodziewanej iluminacji kontury myśli nagle stają się już całkiem ostre i wyraźne, wypełnia je treść. Już wszystko wiem, wszystko rozumiem.

Pendrive wcale nie był pusty. Znow wybrałem najgorzej, jak tylko mogłem.

– Wika...

Zastanawiam się, czy zdążyłbym doskoczyć do drzwi. Nie ma szans, choć to tylko kilka kroków. Jest czujna, cały czas bacznie mnie obserwuje. Obezwładniłaby mnie, nawet nie zauważyłbym kiedy. To żyłasty robocop z pierwszym kyū w karate tradycyjnym. Zapuszczony pracownik biurowy po nieprzespanej nocy to dla niej żaden przeciwnik. Nie chcę więcej upokorzeń.

– Daj spokój – mówi, jakby czytała mi w myślach. – Chodź lepiej do kuchni. Usiądziemy, porozmawiamy.

Wika wyjmuje z lodówki dwie butelki piwa. Stawia je na stole, sięga na półkę po szklanę.

– Pszeniczne – mówi. – Zawsze takie lubiłeś.

Podaje mi butelkę, sama przelewa sobie do szklanki cierpliwie, po ścianie, żeby za mocno się nie spieniło. Siada naprzeciwko mnie.

– Na zdrowie. – Unosi szklanę.

Chciałbym w tym widzieć banalną scenkę rodzajową. Spotkanie dwojga starych przyjaciół świętujących jakiś mały sukces, awans albo nową pracę. Sympatyczny wieczór, którego nikt nie zapamięta.

Może mógłbym z całej siły uderzyć ją butelką w głowę, pchnąć na nią stół, poprawić jeszcze krzesłem. Nie spodziewa się, że mnie na to stać. Siedzę bliżej drzwi wyjściowych, może zdążyłbym wyskoczyć z mieszkania. Wolę nie zastanawiać się, co działałoby się później.

– Pracujesz dla nich od samego początku – mówię.

Nie zaprzecza. Kiwam głową.

– Powiedz, że to nie ty przygotowałaś te wszystkie zdjęcia.

– Nie wszystkie.

Cały czas przygląda mi się uważnie. Nigdy dotąd nie bałem się jej spojrzenia. Piję łyk piwa, dobre, orzeźwiające. Rzeczywiście: zawsze lubiłem pszeniczne.

– To ty przekazałaś im klucze do mojego mieszkania. Miałaś je przecież od zawsze. Wiedzieli, kiedy nie ma mnie w domu, kiedy można spokojnie wejść. Podmienili umowę o poufności, zabrali wydruki zdjęć. Wcześniej zainstalowali mi w komputerze jakieś gównno, stąd te schizy z Instagramem. Ta strona wyświetlała się lokalnie, tylko u mnie. Wszystko, co robiłem na kompie, było monitorowane. Coś jeszcze przegapiłem? Pewnie zamontowali u mnie mikrofony i kamery?

– Szczerze? Nie wiem. Nie znam szczegółów.

– Po co właściwie to wszystko? Skoro mogliście po prostu przyjść i mnie zabić.

– Nikt nie chciał i nie chce twojej śmierci, Szymon.

– Nie rozumiem.

– Widzę.

Spokojnie popija piwo ze szklanki.

– To może wyjaśnij. Dlaczego padło właśnie na mnie? – pytam. – Czemu ja, a nie ktokolwiek inny? Dlaczego ty mi to zrobiłaś?

Wika znów krzywi się w tej swojej unikalnej interpretacji ludzkiego uśmiechu.

– Szymon – mówi łagodnie, jak do dziecka. – Masz bogatą wyobraźnię, więc spróbuj sobie wyobrazić świat, w którym jednak nie wszystko kręci się wokół ciebie. LuceLume wybrało cię, bo spełniałeś szereg kryteriów, jakie wcześniej założyli. Nie znam ich wszystkich, nie jestem w stanie rzetelnie ci odpowiedzieć. Prawda jest taka, że po prostu nadawałeś się do tej pracy.

– Po prostu się nadawałem.

– Dokładnie tak. Za twój talent copywritera ręczyłam osobiście, pamiętam przecież, jak było o tobie głośno, gdy zaczynałeś. Gdyby nie picie i ta wyjebka w pierwszej firmie, od dawna miałbyś własną agencję, jestem tego pewna. No ale twoje cechy osobowości dokładnie przeanalizowali. Na pewno nie byłeś jedynym rozpatrywanym kandydatem, ale okoliczności sprawiły, że firma zainteresowała się właśnie tobą.

– To jakaś zemsta?

– Zemsta? – Wika patrzy na mnie zdziwiona. – Szymon, jeszcze raz. Nikt nie kierował się osobistymi pobudkami. Nie chodzi i ani przez moment nie chodziło o ciebie. Jeśli meteoryt spada na polanę, to co to niby znaczy? Zemsta kosmosu na lesie? Nie, to znaczy tyle, że akurat tak przebiegła trajektoria lotu. Kawałek kamienia zapieprzał przez miliony kilometrów, mógł po drodze zderzyć się z milionem innych kamieni, mógł spaść w atmosferę Jowisza albo rozbić się o Księżyc. Ale spadł akurat na polanę. W tym nie ma żadnej metafizyki.

– A jednak z jakiegoś powodu wybraliście akurat mnie.

– Tak. Już mówiłam, mogłam cię z czystym sumieniem zarekomendować, bo jesteś dobrym copywriterem i masz odpowiednie cechy osobowości.

Firma potrzebowała dobrego copywritera. Nie bez znaczenia na pewno było też to, że dobrze cię znałam.

– Chryste, niby do czego mnie potrzebowali? Do przetestowania tych wszystkich popierdolonych gierek? Chcieliście zobaczyć, ile zniosę, zanim oszaleję?

Wika wzdycha.

– Wciąż uważasz, że chodzi o ciebie.

– A o co innego? Czym się właściwie ta firma zajmuje, do czego dąży?

Wika patrzy mi w oczy, przeświewa na wylot. Jej źrenice są ogromne i puste jak niebo. Z koślawym uśmiechem na twarzy wygląda teraz jak psychotyczny cyborg zabójca z japońskich anime.

– Nasz ostateczny cel to ofiara z Warszawy.

– Słucham?

– Ofiara z Warszawy – powtarza beznamiętnie.

– To jakaś chora metafora, tak?

Nic nie mówi, kręci tylko głową. Chryste, niech ktoś mnie stąd zabierze. Niech okaże się, że to tylko dziwaczny zły sen. Przed oczami przesuwiają się historyczne nagłówki newsów o zamachu w metrze i eksplozji na Tarchominie. W uszach dźwięczą słowa aktora zapowiadającego, że wszystkie domy Warszawy zamienią się w groby.

– Jesteście obłąkani, Wika. Ty, oni, wy wszyscy. Macie krew na rękach.

Koniuszki bladych ust delikatnie się unoszą.

– Mocne słowa jak na mordercę Eweliny Kuliczki.

– Wiesz, że to bzdura.

– Nie, Szymon. Jeśli coś jest bzdurą, to twoje zaprzeczenia.

Nie wiem, co powiedzieć. Jaki w ogóle sens mają jeszcze słowa? Bardziej na miejscu byłoby przeciągłe, rozedrgane wycie.

– Dobra – rezygnuję. – A co w takim razie z innymi? Z Agatą? Z Jankiem Pietruszyńskim?

– Janek ma się dobrze i na pewno zrobi mu się miło, że o niego zapytałeś. Polubił cię. Przekazę pozdrowienia.

– Od samego początku był podstawiony – domyślałam się. – I on, i ten drugi, rudy. Newsy w internecie o jego śmierci mogłem przeczytać tylko ja,

to także były pliki wyświetlane jedynie lokalnie.

– Jeden nazwie to paranoją... – Wika puszcza oko. – Inny dostarczeniem cyfrowych treści skrojonych idealnie pod oczekiwania indywidualnego odbiorcy.

– Obserwowaliście mnie na długo, zanim przyszła oferta od Anny. A Ewelina musiała zniknąć, żebyście mogli rozpocząć tę popierdoloną grę ze zdjęciami i znikającymi stronami w necie. Wrabiacie mnie w morderstwo, żeby mieć pełną kontrolę, móc mnie szantażować.

Nic nie mówi, przygląda mi się tylko. Boję się odpowiedzi, ale jednak pytam:

– A Agata? Ona też była podstawiona? To aktorka, której zapłaciliście, żeby odegrała swoją rolę, tak?

Wika kręci głową.

– Wszystko, co wydarzyło się między wami, jest jak najbardziej prawdziwe. Agata się w tobie zakochała, Szymon. Nie zauważyłeś nawet tego?

– Nie odpowiedziałas mi na pytanie.

– Agata także została rekrutowana do LuceLume. I także jest nam bardzo potrzebna, to bystra dziewczyna.

– Nic jej się nie stało? – upewniam się.

– Nie, spokojnie. Jest cała i zdrowa. Wkrótce będziesz mógł się z nią zobaczyć.

Ciągnę z butelki jeszcze kilka łyków.

– Wiesz, że opublikowałem w necie wszystkie materiały, które Agata mi przekazała. Widziałas stronę. LuceLume raczej się to nie spodoba, nie? Nie sądzę, żebyście zamierzali nam kulturalnie podziękować. Przecież mnie za to zabijecie. Mnie i Agatę.

– Nadal nie rozumiesz.

Spogląda na zegarek.

– Dopij spokojnie to piwo – mówi. – Ktoś jeszcze chciałby zamienić z tobą kilka słów.

Z ekranu monitora spogląda na mnie Piotr. Jasny, pociągły owal twarzy odcina się od ciemniejszego tła, widmo wyłania się z mroku. Uśmiecha się łagodnie, tak jak wtedy, gdy siedział naprzeciwko mnie podczas rozmowy rekrutacyjnej.

Wika pokazuje, żebym usiadł na krześle przy biurku. Posłusznie zajmuję miejsce.

– Cześć, Szymon. – Słyszę głos niedawnego szefa. Dźwięk jest minimalnie przesunięty względem obrazu, słowa o ułamek sekundy rozmijają się z ruchami ust. – Cieszę się, że cię widzę. Wszystko w porządku?

Przez dłuższą chwilę milczę.

– Ty żyjesz.

– Zupełnie jak ty.

Przyglądam mu się. Przed oczami wyświetla się fotografia, na której leży martwy wśród ruin Fabryki Domów. Wtedy wydawał się bardziej rzeczywisty.

– Nie spodziewałem się, że jeszcze kiedyś cię zobaczę.

– Wyobrażam sobie.

Kiwam głową, milczymy obydwoj.

– Widziałem już twoją stronę internetową – mówi. – Podoba mi się. Layout kiepski, będę szczerzy, ale za to tekst bardzo dobry, emocjonalny, świetnie napisany. Naprawdę można w niego uwierzyć. A to najważniejsze, dokładnie czegoś takiego potrzebowaliśmy. Zastanawiałeś się już, jak chcesz to promować?

Nagle przerywa i wybucha śmiechem. Na moment transmisja traci płynność, obraz rozpikselowuje się, ale ostrość natychmiast wraca. Poznaje ten śmiech, mam wrażenie, że przez cały czas dźwięczał mi w uszach. Robi mi się zimno. To Piotr, nie kto inny, odebrał telefon Agaty.

– Widzisz się w kamerze? – pyta. – Ale minę zrobiłeś...!

Spoglądam na Wikę, uśmiecha się po swojemu. Patrzę w rozbawione oczy fantoma na ekranie.

– O czym właściwie mówisz?

– Zawsze powtarzałem Adamowi i Annie, że w przypadku ludzi takich jak ty brief wyrażony wprost zabija kreatywność. Was nie powinno się ograniczać. Żebyście znaleźli w głowie coś naprawdę dobrego, trzeba wam zostawić jak najwięcej miejsca na poszukiwania. Żadnych łańcuchów, żadnych kajdan. Twórcza wolność, co najwyżej subtelne wskazówki. Wiedziałem, że to się musi udać.

– A więc o to chodziło. – Wzdycham. – Wiadomości o roli LuceLume w zamachach od samego początku miały trafić do opinii publicznej. Wcale nie zależało wam na zachowaniu tajemnicy.

Piotr przytakuje.

– Oczywiście. Odkąd zobaczyłem, jak poradziłeś sobie z zadaniem o krwi, byłem pewien, że to właśnie ty opowiesz całą tę historię w najlepszy możliwy sposób. Nie zawiodłeś mnie.

– I tylko po to ta cała intryga? Mejle znikąd, fotomontaże, nieistniejące strony internetowe? Żebym napisał wprost, że to wy jesteście mordercami?

– Tylko po to? – Piotr unosi w zdziwieniu brwi. – Nie użyłbym takich słów. Wiele osób ciężko pracowało, żeby dostarczyć ci odpowiednich inspiracji. Ale warto było, bo efekt okazał się znakomity. Oddałeś produkt najwyższej jakości.

– Przecież sami mogliście wypuścić te mejle do prasy.

– Mogliśmy, ale to nie byłoby to. Czasem opowieść tworzona jest także przez osobę opowiadającego, ma sens tylko w jego kontekście. Przecież sam wiesz o tym najlepiej.

Odwracam głowę od ekranu, patrzę w ciemny prostokąt okna. Gdzieś tam, niewyobrażalnie daleko, pozostał prawdziwy świat.

– Po co to wszystko, Piotr? Powiedz mi po co? Martwi powracający do życia, bawienie się ludźmi? Wszystkie te chore gry?

Uśmiecha się znów z tą dziecięcą łagodnością, najbardziej szalony z nich wszystkich.

– Boję się, że cię rozczaruję. Potrzebowaliśmy bardzo mocnej historii,

która odwróci uwagę mediów od dwóch rzeczy. Po pierwsze, od sprzedaży gruntów i nieruchomości w mieście. Wczoraj dokonaliśmy transakcji na ogromną skalę, sprzedaliśmy kilku funduszom setki hektarów ziemi i kilkanaście kamienic, dopóki jeszcze są cokolwiek warte. Media zaraz by się tym zainteresowały. Potrzebujemy teraz dwóch, trzech dni spokoju, zanim przejdziemy dalej. Ty kupiłeś nam ten czas.

– Tylko po to zginęło tyle osób? Żeby sprzedaż domów przeszła bez echa?

– Nie tylko. Bo po drugie, wkrótce wydarzy się coś, co bezpowrotnie zmieni całą Polskę. Więcej, całą Europę. Spróbuj zgadnąć, ile można obecnie zyskać w funduszach hedgingowych, grając na upadek złotówki i dobrowolne wyjście Polski z Unii Europejskiej.

– Kolejne zamachy – domyślam się. – A po nich paraliż państwa i wściekłość ludzi.

– Niedługo ludzie dadzą się poprowadzić komukolwiek, kto da im gotowe odpowiedzi. Wystarczy sprowokować ich do stawiania odpowiednich pytań. Na przykład takich, jakie muszą paść po lekturze materiałów zamieszczonych na twojej stronie. Światło może wywołać pożar, ale potrzebna jest do tego soczewka, która skupi je w ostrą wiązkę. Potrzebujemy właśnie ciebie, żebyś odpowiednio ustawił wszystkim optykę. Żeby ludzie we właściwy sposób spojrzeli na to, co ich czeka. A wkrótce wszystko się zmieni.

– Warszawa Hardkor – odzywa się Wika. – Całopalenie.

Przechodzi mnie dreszcz.

– LuceLume nie istnieje – domyślam się.

– To spółka założona tylko w jednym celu – przytakuje Piotr. – Żeby odwrócić od nas uwagę. Wydmuszka, nieważna skorupa, ochłap, który rzucimy ludziom na pożarcie. Który sam im już rzuciłeś.

– Nieistotny owocnik grzyba.

– Proszę?

Wzruszam ramionami.

– Nieważne.

Znowu milczymy, Wika, ja i widmo zmartwychwstałego Piotra na ekranie. Czuję się bardzo, ale to bardzo zmęczony.

– Dla kogo pracujecie? Dla Rosjan? Chińczyków?

Piotr znów wybucha śmiechem.

– W porządku. – Wzruszam ramionami. – Wszystko rozumiem. Zrobiłem swoje, jestem już niepotrzebny. Zaraz zginę, tak?

– Ranisz moje serce! – protestuje Piotr. – Ostatnie, czego mógłbym chcieć, to twoja śmierć. Dowiodłeś, jak skutecznie potrafisz pracować. Zrealizowałeś idealnie brief, chociaż nigdy go nie widziałeś. Jesteś dla nas bardzo cenny, Szymon. Chcę, żebyś z nami został. Żebyś do nas naprawdę dołączył.

– Proszę?

– Potraktujmy naszą dotychczasową współpracę jako okres próbny. Dowiodłeś, że można na tobie polegać. Chcę, żebyś związał się z nami na dłużej. Na zawsze. Teraz to będzie już zupełnie inna praca, zupełnie inne życie. Gdy ruszy nowy projekt, znów padną niezliczone pytania. Chcemy, żebyś wówczas to ty dawał im odpowiedzi. Nikt nie nada się lepiej. Udowodniłeś już, że jesteś jednym z naszych najcenniejszych zasobów. Opowieść, którą opublikowałeś, to bez wątpienia najlepsza z naszych kreacji. A teraz będziemy potrzebować takich więcej. Gdzie chciałbyś zamieszkać? Nowy Jork? Londyn? Może Tel Awiw?

Patrzę na Wikę.

– Ja myślę o Tokio – mówi dziewczyna. – Co najmniej na rok.

– Jak to sobie wyobrażacie?

Widmo uśmiecha się na ekranie.

– Zmienimy ci tożsamość, zmienimy ci wygląd. Jako zupełnie nowy człowiek zamieszkas w wygodnym apartamencie w mieście, które ci się spodoba. Z Agatą, jeśli się dogadacie, czemu nie. Albo z kimś innym. Zajmiesz się tym, w czym jesteś najlepszy. Zarobisz pieniądze, jakich teraz nie potrafisz sobie nawet wyobrazić.

– Miałbym zniknąć? Wyjechać z Warszawy?

– Wyjazd z Warszawy to bardzo dobry pomysł.

– Jesteście szaleni – mówię cicho. – Nie chcę mieć z wami nic wspólnego. Prędzej sam się zabiję, niż do was dołączę.

– Oczywiście, że dołączysz. Przemyślisz to sobie spokojnie. Możemy się zaraz rozejść, jasne. Ale wtedy nikt nie wyciągnie do ciebie ręki, gdy

usłyszysz akt oskarżenia o zabójstwo Eweliny Kuliczki. Spędzisz resztę dni w więzieniu na Rakowieckiej i jeśli coś cię uwolni, to dopiero ogień. Do tego czasu cała Polska będzie cię opluwać.

– Nikogo nie zabiłem.

Piotr puszcza do mnie oko.

– Oczywiście.

Czuję na ramieniu dotyk dłoni Wiki.

– Zastanów się, naprawdę – mówi. – W Warszawie i tak nikogo nie masz. Żadnych przyjaciół, żadnej rodziny, z którą byś utrzymywał kontakt. Znajomi z dawnej pracy? Nie żartuj. Dla nich dasz się wsadzić do więzienia?

– A ty, Wika? Myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi.

Wika kręci głową. Patrzy mi w oczy.

– Ty nie masz przyjaciół, Szymon, nigdy nie miałeś. Mnie potrzebowałeś tylko wtedy, gdy mogłam cię pocieszyć. Nigdy nie zainteresowałeś się, czy ja czegoś potrzebuję. Nie zrozum mnie źle, nie oczekiwałam wcale wzajemności. Teraz też nie oczekuję, a przecież oferuję ci dosłownie nowe życie. Ktoś naprawdę czeka na twoją decyzję. Chcesz iść do Agaty czy do więzienia?

– Nikt nie uwierzy, że mógłbym kogoś zabić.

– Tak? – śmieje się Piotr. – To posłuchaj.

Widzę, jak przesuwam wzrokiem po liniijkach tekstu.

– To jest psychol jakiś – czyta karykaturalnie wysokim, piskliwym głosem. – Założę się, że to on zabił tę laskę. Kurwa mać. W mediach trąbią o jej śmierci, a po nim to w ogóle spływa. Byli ze sobą kilka miesięcy, zamieszkali razem. Co ten koleś ma tam, gdzie ludzie mają serce?

– Co to jest?

– Cytat z twojej podopiecznej, Zuzanny. To z jej rozmowy na Facebooku z narzeczonym. Ładne, prawda? Jak myślisz, co zeznałaby na przesłuchaniu? Chcesz może posłuchać więcej?

Kręcę głową, nic już nie chcę.

Odwracam się, przechodzę obok milczącej Wiki i idę do przedpokoju. Nie próbuje mnie zatrzymać. Patrzę na białą-czarną szachownicę na

podłódze. Chce mi się śmiać. Napiłbym się, już tylko tego potrzebuję, po drodze do mieszkania kupię wódkę. Wiążę sznurówki, ubieram się. Gdzieś tu leży mój plecak.

– Żegnaj, Szymon – mówi Wika.

Warszawa jest konstelacją jasnych światła. Nie istnieje już nic więcej, tylko światła zawieszona w nieprzeniknionym mroku, w zimnej, czarnej materii. Z wysokości dwunastego piętra łatwo pomylić gwiazdy z neonami, a niebo z chodnikiem. Okno otwarte na oścież, listopadowy wiatr owiewa twarz. Noc nie skończy się chyba nigdy. Minęło kilka godzin, odkąd wróciłem od Wiki. Dopilem wódkę, ale czuję się przeraźliwie trzeźwy.

Przeglądam galerię zdjęć w telefonie, jakbym szukał potwierdzenia, że ostatnie tygodnie wydarzyły się naprawdę. Od wielu dni praktycznie nie używałem aparatu, nawet nie zrobiłem żadnej fotki Agacie. Żałuję, bo chciałbym ją jeszcze zobaczyć. Dzwoniła do mnie dwa razy, najpierw chwilę po tym, jak wróciłem do mieszkania, i teraz, przed kilkoma minutami. Pewnie też nie spała całą noc. Nie odebrałem, nie wiem, o czym moglibyśmy rozmawiać.

O, proszę. Selfie w Hoppiness z Zużą i Cyprianem, tuż po zamachu na Świętokrzyskiej, gdy zabarykadowani czekaliśmy w pubie na dalszy rozwój wypadków. Nie pamiętam, żebym robił to zdjęcie. Absurdalne chwile, nieistotna stopklatka. Może faktycznie zachowujemy tylko te ważne.

Przewijam kolejne zdjęcia. Deszczowy pejzaż za oknem. Puste butelki po piwie, zebrane w szafie pod zlewem, nie mam pojęcia, dlaczego postanowiłem je uwiecznić.

Przewijam dalej.

Twarz Eweliny. Martwe oczy jak zaropiałe skaleczenia, opuchnięta, pociemniała skóra, strup półotwartych ust. Ktoś zrobił to zdjęcie z bliska, stojąc nad zwłokami. Ktoś skopiował to zdjęcie do galerii w moim telefonie.

Nie wiem, jak długo stoję tak, wpatrzony w mały ekran. Telefon wibruje, Agata dzwoni po raz trzeci. Znów odrzucam połączenie. Nie, dziecińco, nie porozmawiamy.

Jeszcze raz okrążam pokój. Światło wciąż obserwuje mnie z oddali, przyczajone tuż pod linią horyzontu. Jeszcze go nie widać, ale przecież tam

jest. Nie będę czekał. Nigdy nie dowiem się, kim są ci ludzie. Nie chcę wiedzieć. Zostawili mnie samego. Za chwilę wstanie dzień, za chwilę padnie jeszcze więcej pytań. Usunąłem stronę internetową, ale nie mam wątpliwości, że opublikują jej kopię. W każdej chwili mogą po mnie przyjść, wyłamać drzwi. Zawloką na prokuraturę, pochwycą i być może już nigdy nie wypuszczą. Moje zdjęcie obiegnie Polskę. Wszyscy poznają Szymona Pelawskiego, który, choć podobny, nie będzie przecież mną.

Telefon znów wibruje. Tym razem to wiadomość na Messengerze. Wika wysłała mi zdjęcie.

Patrzę na swoją fotografię i napis:

ZABAWA SKOŃCZONA, NIE MA JUŻ SZYMONA.

Kiwam głową. Tak, właśnie tak.

Podchodzę do okna. Biorę zamach i rzucam telefonem najdalej, jak potrafię. Aparat zakreśla łagodny łuk, z tej wysokości nie słyszę uderzenia o ziemię.

Inaczej to sobie wyobrażałem. Mogłem się domyślić, że fala nadciągnie w ciszy, to logiczne, świat musi skończyć się w ten sposób: życie to krzyk, śmierć jest milczeniem.

Zastanawiam się, czy jednak nie powinienem czegoś jeszcze napisać. Powinienem chociaż wyjaśnić wszystko Gosi. Może na kartce papieru, chociaż tyle po sobie zostawię. Ale przecież nikt nie spodziewa się po mnie prawdy. Cały składam się z kłamstw.

Nagle na wschodzie eksploduje złote światło, uderza mocniejszy podmuch wiatru. Łuna dostojnie rozlewa się na niebie. Wstaje nowy dzień, pierwszy dzień nowego świata.

Patrzę na swoje odbicie w szybie, płaskie i niewyraźne. Nie chcę znać tego człowieka, kimkolwiek jest. Jego historia nie należy do mnie, nie będzie moją historią. Mogę zrobić już tylko jedno.

Wspinam się na parapet. Zamykam oczy, rozkładam ręce i czekam, aż stopię się w jedno ze złocistym blaskiem.